

AKTUALIZACJA SYSTEMU

GALA TERAZ POLSKA

Dolata, Komurkiewicz, Kuczyński, Mikulewicz, Paczeński, Skarżyńska, Skrzek, Wojewodzik, Zaczykiewicz

MAGAZYN

Teraz Polska

nr 1 (45), 2026



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395



LAURA GUTOWSKA



Od 35 lat **FAKRO** tworzy polskie okna dachowe, które eksportuje na cały świat. To dzięki Wam, lojalnym partnerom, powstają wyjątkowe wnętrza, ponieważ nasza współpraca umożliwia tworzenie wymarzonej przestrzeni dla naszych klientów. W tej współpracy **architekt** projektuje, **dystrybutor** dostarcza, a **dekarz** montuje okna dachowe. Dzięki Waszemu zaangażowaniu z dumą świętujemy dzisiejsze osiągnięcia. **Dziękujemy!**

FAKRO to coś więcej niż firma.
TO LUDZIE, WARTOŚCI I MARZENIA, KTÓRE NAS ŁĄCZĄ.

TO MY – 35 LAT RAZEM.



© KAMIL BROSZKO

Wyrozumiałość i wspólnota

Można sobie wyobrazić fotografię z początku lat 90., na której wszyscy jesteście. Uśmiechamy się szeroko, trzymamy transparenty „Solidarność”, mamy poczucie, że historia zaczyna nabierać sensu. Na tym wyobrażonym zdjęciu nikt jeszcze nie wie, że za 30 lat polskie społeczeństwo będzie mierzyć się z podziałami tak głębokimi, że skrajne polityczne i ideologiczne spory będą nam siadać do stołów jak nieproszeni goście.

Dziś żyjemy w kraju, w którym wskaźniki polaryzacji systematycznie rosną, a zdolność do akceptacji przeciwstawnych poglądów przypomina pęknięcie w szybie – niewidoczne z daleka, ale śmiertelnie groźne, gdy przyjdzie kolejny wstrząs. Temu tematowi poświęcamy sporo miejsca w naszym „Magazynie Teraz Polska”, ze szczególnym wskazaniem na wywiady z panią prof. Krystyną Skarżyńską i panią prof. Anną Pacześniak. Zaś ja dodam od siebie, że to, co kiedyś było zwykłą różnicą zdań i miało konstruktywny potencjał, dziś bywa bezwzględny testem lojalności plemiennej: albo jesteś „z nami”, albo „przeciw nam”. A jeśli nie mieścisz się wygodnie w żadnej z tych szuflad, stajesz się podejrzany – tak jakby współczesna wyobraźnia polityczna nie przewidywała miejsca dla zwykłej, ludzkiej ambiwalencji.

Gdy już zdiagnozujemy siebie jako zbiorowość, rozpoznamy bolączki naszego społeczeństwa i systemu, powinniśmy się zastanowić, czego się chwycić, gdzie znaleźć otuchę na tej wyboistej, niepewnej drodze do przyszłości. Wbrew pozorom, jest w czym pokładać nadzieję, bo nasze społeczeństwo, mimo niszczącej polaryzacji, zachowuje zadziwiającą zdolność do adaptacji.

To immanentna cecha Polaków – umiejętność radzenia sobie w stale zmieniających się warunkach. Po 1989 r. przeszliśmy transformację ustrojową, społeczną i gospodarczą w tempie, które wielu obserwatorom wydawało się nie do udźwignięcia. Poradziliśmy sobie z bezrobociem, zapaścią całych sektorów przemysłu, ko-

lejnymi kryzysami finansowymi, pandemią, wojną za wschodnią granicą – płacąc za to wysoką cenę, ale jednak trwając i stale się rozwijając.

W ramach Konkursu „Teraz Polska” od ponad trzech dekad kulturowo opowiadamy o wielkim sukcesie gospodarczym Polski. Natomiast jako Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego i „Magazyn Teraz Polska” mamy potrzebę opowiadania o tym, że mimo przeciwności zawsze warto pozostać razem. Że demokracja i wspólnota wymagają żmudnej nauki życia w grupie – umiejętności słuchania, znoszenia różnicy, powstrzymania pierwszego impulsu, aby zawłaszczać przestrzeń publiczną. Tego nie da się wprowadzić ustawą ani rozporządzeniem. To powolne ćwiczenie mięśni empatii, które – jak każdy mięsień – słabną, gdy przestajemy ich używać.

A przecież Polska ma w swojej najnowszej historii momenty, w których potrafiliśmy działać razem: spontaniczne akcje pomocy powodziom, społeczne mobilizacje w obronie praw obywatelskich, fala wsparcia dla uchodźców wojennych, codzienna, cicha solidarność w sąsiedzkich mikroświatach. Te chwile rzadko mieszczą się w logice medialnego sporu, bo nie nadają się do prostego podziału na „za” i „przeciw”. A jednak to one mówiły – i wciąż mówią – najwięcej o tym, kim jesteśmy.

Być może przyszłość okaże się jeszcze trudniejsza do przewidzenia niż dotychczas. Jedyne, co możemy planować i kształtować, to nasze codzienne wybory: czy słabszy będzie dla nas naturalnym sojusznikiem, czy łatwym celem, czy w różnicy poglądów zobaczymy zagrożenie, czy pretekst do rozmowy, czy zechcemy – mimo zmęczenia – po raz kolejny spróbować stworzyć coś wspólnie, zamiast tylko dzielić.

Nawet jeśli antagonizmy i lęki będą od czasu do czasu brały górę, to w długim trwaniu wygrać jednak wyrozumiałość, umiejętność bycia razem, gotowość do wspólnej nauki.

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”*

Temat numeru

6 **Jeśli druga strona sporu politycznego postrzegana jest jako ucieleśnienie zła, rozmowa wydaje się stratą czasu.**

Z prof. **Krystyną Skarżyńską** rozmawia *Kamil Broszko*.

12 **Czy Unia Europejska może się rozpaść?**

Z prof. **Anną Pacześniak** rozmawia *Kamil Broszko*.

Gospodarka

22 **Polska wciąż będzie budować.**

Z **Januszem Komurkiewiczem** rozmawia *Kamil Broszko*.

27 **Najpierw krach, a później całkowita zmiana systemu.**

Z **Piotrem Kuczyńskim** rozmawia *Kamil Broszko*.

34 **Polskie prawo kontra biznes.**

Adwokat o kulisach wymiaru sprawiedliwości.

Z **Sebastianem Mikulewiczem** rozmawia *Kamil Broszko*.

Polacy

42 **Obrazy traktują jak żywe istoty.**

Z **Laurą Gutowską** rozmawia *Katarzyna Rij*.

47 **Wciąż głównie opowiadamy o miłości.**

Z **Bartoszem Zaczykiewiczem** rozmawia *Marzena Tataj*.

52 **El-instrumentarium i sacrum.**

Niezwykła muzyczna podróż Józefa Skrzeka.

Opracował *Kamil Broszko*.

Idee

59 **Czy AI może zastąpić człowieka?**

Z drem **Krzysztofem Wojewodzicem** rozmawia *Kamil Broszko*.

64 **Wielokrotnie niższe szanse mimo tych samych wyników.**

Z prof. **Romanem Dolatą** rozmawia *Anna Siedlińska*.

Regiony

72 **Dunikowski i inni, czyli co kryją magazyny studyjne w Muzeum Rzeźby w Królikarni.**

Z dr **Ewą Ziemińską** rozmawia *Marzena Tataj*.

80 **Do maleńkiej wioski w Kujawsko-Pomorskiem zjeżdżają młodzi pianaści z całego świata.**

Z dr **Agnieszka Brzezińską** rozmawia *Marzena Tataj*.

84 **Jak tworzyć polską markę spożywczą i osiągnąć sukces globalny.**

Michał Lipiński zaprasza na relację z Debaty „Teraz Polska”.

86 **Gala „Teraz Polska” – katalog.**



MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO

www.terazpolska.pl

Magazyn
TERAZ POLSKA

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadząca:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko
Okładka:
Laura Gutowska

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.magazynterazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Kamil Broszko

Druk:
KRM Druk Miller Sp. k.

POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER 

Poczuj komfort podróży w LOT Business Class

Ważne, z kim podróżujesz



Saloniki
biznesowe
LOT



Priorytetowa
obsługa



Serwis
restauracyjny
na pokładzie



Komfort
i odpoczynek

Jeśli druga strona sporu politycznego postrzegana jest jako ucieleśnienie zła, rozmowa wydaje się stratą czasu

- Nasilają się antagonizmy międzygrupowe, rośnie obojętność na los tych, którzy są od nas słabsi. Często stają się kosztami ofiarnymi – na nich skupia się niechęć i wrogość, zamiast na tych, którzy są źródłem frustracji, stresów i lęków.
- Badania pokazują wyraźny związek stresu politycznego z siłą nieufności interpersonalnej, negatywnym schematem świata społecznego jako coraz bardziej zagrażającego, a także z niską społeczną legitymizacją całego systemu społeczno-politycznego.
- Agresja wobec przeciwników nie jest już domeną wyłącznie polityków. Coraz wyraźniej widać ją także w relacjach między obywatelami – sympatykami obozu rządzącego i opozycji.
- Dane wyborcze potwierdzają wysoką stabilność preferencji elektoratów. W 2025 r. na Karola Nawrockiego zagłosowało 94 proc. wyborców Dudy z 2020 r.
- Polaryzacja ogranicza swobodę debaty wewnątrz poszczególnych obozów. Nie toleruje się ani wewnętrznej krytyki, ani prób docenienia inicjatyw przeciwników.

Z prof. **Krystyną Skarżyńską** rozmawia Kamil Broszko.

© KAKAMEDIA



Kamil Broszko: Czy takie emocje jak niechęć, nienawiść i pogarda nasilają się w społeczeństwie i czy są coraz silniej adresowane do przeciwników politycznych?

Krystyna Skarżyńska: Żyjemy w coraz bardziej niepewnym świecie. O kolejnych zagrożeniach, bliższych i dalszych, dowiadujemy się szybciej niż jeszcze kilka lat temu. Dzięki Internetowi „na żywo” obserwujemy wojny i ataki terrorystyczne, oglądamy bezpośrednio transmisje z burzliwych obrad Sejmu i wysłuchujemy wystąpień czołowych polityków, które rzadko przynoszą opinii publicznej ukojenie. Zamiast tego coraz częściej eskalują napięcie – są pełne ostrzeżeń i gróźb, także bezpośrednio artykułowanej wrogości czy pogardy wobec przeciwników, a nawet tych, którzy jedynie ośmielają się krytykować proponowane rozwiązania. W Polsce nasilają się konflikty między rządem a prezydentem i jego politycznym środowiskiem. Badania psychologiczne dowodzą, że obserwacja agresji jest źródłem stresu, czasem długotrwałego, oraz prowadzi do zwiększenia gotowości do agresywnego zachowania i postawy wrogości. Ekonomiści wskazują natomiast bezpośrednie skutki polityki dla naszych obywatelskich kieszeni i stanu gospodarki krajowej czy światowej. Wojna USA z Iranem spowodowała wzrost ceny benzyny i obawy o drożyznę czy brak dostępu do wielu towarów codziennego użytku. Stres ekonomiczny wiąże się z osłabieniem więzi społecznych oraz chęci do współpracy i pomagania innym. Nasilają się antagonizmy międzygrupowe, rośnie obojętność na los tych, którzy są od nas słabsi. Często stają się kozłami ofiarnymi – na nich skupia się niechęć i wrogość, zamiast na tych, którzy są źródłem frustracji, stresów i lęków. Swoiste przeniesienie złości, gniewu, pogardy zachodzi

Prof. zw. dr hab. **Krystyna Skarżyńska** – psycholog społeczny, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się analizą zachowań oraz postaw społecznych i politycznych, zwłaszcza w kontekście zadowolenia z życia i ze społeczno-politycznego *status quo*. W latach 2014–2016 kierowała projektem badawczym pt. „Akceptacja agresji w życiu społecznym i politycznym. Rola struktur poznawczych, indywidualnej agresywności i czynników sytuacyjnych”. Autorka ponad 200 publikacji naukowych i kilkunastu książek (m.in. „Spostrzeganie ludzi”, „Konformizm i samokierowanie jako wartości”, „Człowiek a polityka. Zarys psychologii politycznej”, „My. Portret psychologiczno-społeczny Polaków z polityką w tle”). Ostatnio opublikowała dwie monografie: „Młodzi dorosli: identyfikacja, postawy, aktywizm i problemy życiowe” (2021) oraz „Nieufność: źródła i konsekwencje” (2023), a także artykuły: „Faszycyzacja. Społeczne przyzwolenie na nacjonalizm i przemoc” (2025), „Obywatele w politycznym stresie” (2025). Jest członkiem Rady Naukowej Instytutu Psychologii PAN i Rady Programowej Międzynarodowego Instytutu Społeczeństwa Obywatelskiego (MISO).

także z oddalonych od nas, niedostępnych bezpośrednio decydentów i ważnych polityków, którzy podejmują krzywdzące nas decyzje, na ich zwolenników, których znamy i spotykamy bezpośrednio lub tylko sobie ich wyobrażamy. Przybywa więc osób i grup uznawanych za wrogów.

KB: Czy obojętność i niechęć do innych ludzi i grup ma związek z różnicami poglądów, opisywanych na osi lewica–prawica?

KS: Jeśli oś podziałów politycznych rozumiemy jako różnice w systemach wartości współtworzących tożsamość społeczną jednostki – to zdecydowanie tak jest. Ale jeżeli chodzi o odmienną realnych interesów, a przynajmniej o świadomość programów poszczególnych partii, dotyczącą realizacji grupowych interesów elektoratów, to moim zdaniem jest ona czynnikiem słabo wpływającym na siłę konfliktu w Polsce. Politolodzy i socjolodzy polityki dowodzą, że różnice programowe między obozem rządzącym a opozycją nie są skrajne, zwłaszcza na osi ekonomicznej nie ma ostrych różnic. Znacznie silniejsze są na osi kulturowo-tożsamościowej, dotyczą roli Kościoła w państwie, praw kobiet i mniejszości etnicznych, związków nieheteroseksualnych.

KB: Co w takim razie powoduje tak silny, nasycony wrogością konflikt i polaryzuje opinie Polaków?

KS: Wrogość, pogarda i nieufność wobec osób przypisywanych do odmiennych preferencji politycznych nie mają jednego źródła, tym bardziej że takie przypisania, dokonywane na oko, często okazują się nietrafne. Na eskalację napięć składają się zarówno narastające frustracje, rozumiane jako trwałe przeszkody w realizacji istotnych celów, jak i opisane wcześniej stresory polityczne. Obciążają one procesy poznawcze i wzmagają lęk, zwłaszcza w kontekście polityki międzynarodowej: wojen, realnych i zapowiadanych kryzysów gospodarczych, sporów wokół migracji czy brutalizacji kampanii wyborczych. Skutki wykraczają poza sferę debaty publicznej – oznaczają nie tylko spadek jakości życia obywateli, ale także wzrost liczby pacjentów z rozpoznaniem lękiem lub depresją. Co więcej, ostatnie nasze badanie (z lata 2025 r.) pokazuje wyraźny związek stresu politycznego z siłą nieufności interpersonalnej, negatywnym schematem świata społecznego jako coraz bardziej zagrażającego, a także z niską społeczną legitymizacją całego systemu społeczno-politycznego (Skarżyńska, Ziółek i Kulicki, 2026). Z kolei te oczekiwania i opinie wobec innych ludzi i systemu silnie wiążą się z akceptacją agresji i wykluczaniem „obcych grup”, m.in. emigrantów i osób LGBT+. „Obcym”, a nawet „wrogiem”, łatwo staje się też ten, kto nie popiera w wyborach „naszego” kandydata.

KB: Czy są jakieś stałe indywidualne różnice w sposobie reagowania agresją i pogardą na stres czy odmiennosc?

KS: Tak, są to różnice temperamentalne, związane z łatwością pobudzenia, z tzw. ugodowością czy z zapotrzebowaniem na sty-

mulację. Siła ich wpływu na gotowość do wyrażania negatywnych emocji zależy jednak od trwałych schematów świata. Tak zwane reaktywne, łatwo pobudzające się osoby są zdolne do hamowania agresji po doznanej frustracji, gdy mają pozytywny obraz świata i utrwaloną normę zakazującą wyrażania złości i pogardy. Tolerowanie odmienności jest wyższe wśród osób z dość stabilną otwartością na różne doświadczenia. W ostatniej dekadzie przeprowadzono dużo badań nad rolą narcyzmu w relacjach z innymi ludźmi i grupami. Okazuje się, że osoby i grupy narcystyczne, mające nadmiernie wysoką, ale niepewną samoocenę, domagają się szczególnej pozytywnej uwagi i bardzo źle znoszą krytykę. Roy Baumeister, amerykański badacz agresji i źródeł wrogości interindywidualnej i międzygrupowej, pokazał charakterystyczne dla osób narcystycznych zjawisko agresji „wyprzedzającej krytykę”, polegające na werbalnym ataku – dewaluacji, oczernianiu, wyrażaniu pogardy – na osoby, od których spodziewają się odmiennego niż ich własne stanowiska lub oczekują krytyki. Roszczeniowość, domaganie się szczególnego traktowania jako osoby lub grupy, czyli narcyzm kolektywny, są także powodem konfliktów międzygrupowych. Narcystyczni politycy prowadzą wojny, rujną swoje państwa i inne narody, myśląc głównie o swojej sławie. Nie szanują żadnych zasad.

KB: Coraz częściej komentatorzy polityki mówią i piszą o „dwóch Polskach”. Czy to tylko opowieść o dwóch politycznych narracjach rywalizujących o władzę polityków głównych partii, czy także konflikt społeczny między zwolennikami tych politycznych obozów?

KS: Właśnie, zjawisko identyfikacji z jedną ze stron rywalizujących o władzę jest kolejną – obok obiektywnych zagrożeń, niepewności i odczuwanych frustracji – przyczyną międzygrupowej wrogości. Agresja wobec przeciwników nie jest już domeną wyłącznie polityków. Coraz wyraźniej widać ją także w relacjach między obywatelami – sympatykami obozu rządzącego i opozycji. Im więcej przejawów wrogości, mowy nienawiści i totalnej dewaluacji przeciwnika pojawia się „na górze”, w oficjalnych wystąpieniach i przekazach medialnych, tym silniej rezonują one w społeczeństwie, pogłębiając niechęć wobec drugiej strony. Co istotne, emocje te wykraczają poza sferę sporów politycznych *sensu stricto*, obejmują już nie tylko poglądy i działania, lecz także ocenę samych ludzi. Mamy więc do czynienia z rozległym, głęboko zakorzenionym konfliktem społecznym, który nauki społeczne określają mianem polaryzacji afektywnej. Dla wielu badaczy obserwowany konflikt jest bardziej tożsamościowo-afektywny niż

Spora część najbardziej zaangażowanych zwolenników rywalizujących ugrupowań nie tylko nie zna programu partii, którą popiera, ale także spostrzega go selektywnie, tak by pasował do ich wyobrażeń i życzeń.

związany z wyraźną i uświadamianą różnicą interesów i programów politycznych każdej ze stron. Spora część najbardziej zaangażowanych zwolenników rywalizujących ugrupowań nie tylko nie zna programu partii, którą popiera, ale także spostrzega go selektywnie, tak by pasował do ich wyobrażeń i życzeń.

Źródłem polaryzacji afektywnej jest mechanizm kategoryzacji społecznej: podział na „my” (swoi) i „oni” (obcy). Taki uproszczony obraz świata ułatwia orientację w złożonej rzeczywistości społecznej, zwłaszcza gdy towarzyszy mu pełna zgodność afektywna po obu stronach konfliktu. W jej ramach wszystko, co „nasze”, skłonni jesteśmy lubić, cenić i często przeceniać, zaś wszystko, co „obce” – deprecjonować, odrzucać i traktować z niechęcią, przypisując negatywne cechy grupie, z którą się nie identyfikujemy. Ta emocjonalna spójność bywa pozornie funkcjonalna, bowiem zwalnia z wysiłku poznawczego i potrzeby weryfikacji sądów. Z góry wiemy więc o innych tyle, ile chcemy wiedzieć, niezależnie od faktów. Choć punktem wyjścia dla ocen i emocji bywa różnica w preferencjach partyjnych czy akceptowanej polityce, kategoryzacja szybko

obraza w niepolityczne atrybuty przypisywane „swoim” i „obcym”. Skoro „nasi” słuchają muzyki poważnej i jazzu, to „oni” – jak zakładamy – wybierają disco polo; „my” chodzimy na filmy Almodóvara, „oni” rzekomo ich nie znoszą. W ten sposób tworzymy wygodne stereotypy, które czasem się potwierdzają, a gdy zawodzą – uruchamiamy mechanizmy redukcji dysonansu poznawczego. Podział polityczny przekształca się w trwały element tożsamości, dodatkowo wzmacniany przez media społecznościowe: dostarczają one poczucia słuszności własnych opinii i emocji, a zarazem izolują użytkowników w informacyjnych bańkach. Swoją rolę

odgrywają tu także algorytmy, a politycy po obu stronach chętnie utrwalają te uproszczone obrazy przeciwników.

KB: Czy te identyfikacje są rzeczywiście trwałe? Przecież wyborcy zmieniają swoje preferencje, odpływają w różne strony.

KS: Otóż daleko nie odpływają. Dane wyborcze potwierdzają wysoką stabilność preferencji elektoratów. Niemal wszyscy wyborcy Jarosława Kaczyńskiego z 2010 r., którzy wzięli udział w wyborach prezydenckich w 2015 r., w drugiej turze poparli Andrzeja Dudę. Z kolei w 2025 r. na Karola Nawrockiego zagłosowało 94 proc. wyborców Dudy z 2020 r. Podobną trwałość widać po stronie obozu anty-PiS: w 2025 r. aż 95 proc. wyborców Rafała Trzaskowskiego powtórzyło swój wybór z 2020 r. (IPSOS, sondaż exit poll).



© MAREK KWIAKOWSKI

Również w wyborach parlamentarnych z ostatnich lat obserwujemy znaczną stabilność po obu stronach sceny politycznej. Elektorat PiS w praktyce nie przepływa do obozu anty-PiS (PO/KO), a wyborcy Koalicji Obywatelskiej, jeśli zmieniają preferencje, pozostają w jego obrębie, wybierając ugrupowania takie jak Polska 2050 czy Nowa Lewica, które w tym okresie współtworzyły szeroko rozumiany blok anty-PiS.

Podobne wnioski przynoszą analizy Dominika Batorskiego (2026), które pokazują, że już od 2005 r. w Polsce funkcjonują dwie przeciwstawne tożsamości polityczne: pro-PiS i anty-PiS. Jacek Raciborski (2024) przekonuje, że mamy do czynienia z trwałym podziałem, porównywalnym z wieloletnią identyfikacją Amerykanów z Partią Republikańską i Partią Demokratyczną. Jak podkreśla Raciborski, zarówno w USA, jak i w Polsce przeciwstawne tożsamości polityczne nie są jedynie efektem stabilnych preferencji wyborczych czy wzajemnych stereotypów. Odzwierciedlają głębokie różnice kulturowe, wyraźnie silniejsze niż podziały ekonomiczne. Utrwalają je odmienne doświadczenia środowiskowe i pokoleniowe, a także działania aktorów politycznych po obu stronach konfliktu.

Tożsamość obozu pro-PiS współtworzy silny antyelitaryzm, przy czym „elity” są w zależności od kontekstu redefiniowane przez liderów politycznych – od „liberałów-aferatów”, przez środowiska lekarskie, po protestujące kobiety czy nauczycieli. Istotnymi komponentami tej tożsamości pozostają również tradycjonalizm obyczajowy i religijny, etnicznie rozumiany nacjonalizm (wyrażający się m.in. w niechęci wobec imigrantów czy Niemców) oraz przekonanie o potrzebie silnego państwa narodowego, egze-

kwującego normy społeczne. W latach 2011–2014 ważnym elementem tej narracji było także akcentowanie, że „Polska powinna być dobrym krajem dla Polaków” oraz że „Polacy zasługują na większy szacunek na świecie, ponieważ doświadczyli więcej niż inne narody” (Skarżyńska; 2012, 2023).

Tożsamość anty-PiS jest nasycona podkreślaniami przywiązania do zasad demokracji, praworządności, praw człowieka, tolerancji, świeckości państwa, wolności mediów. Badania Piotra Radkiewicza (2019), odwołujące się do kategoryzacji wartości osobistych, proponowanej przez Shaloma Schwartza, wskazują, że przeciwnicy PiS deklarują, jak ważne są dla nich wartości „podwyższania Ja”, czyli osobiste ambicje, osiągnięcia, skuteczność, oraz „otwartość na świat” – ciekawość świata i niezależność myślenia. Natomiast zwolennicy (wyborcy) PiS wyżej cenili „wartości zachowawcze”, takie jak posłuszeństwo, dbałość o porządek, skromność, lojalność, a także dwie wartości „przekraczające Ja”: współczucie dla innych i sprawiedliwość. Oba obozy dzielą wyraźne różnice w wykształceniu, średniej wieku, miejscu zamieszkania.

KB: Co mogło być początkiem politycznej polaryzacji w Polsce?

KS: Socjologdy (m.in. Batorski, 2026; Cześnik i Grabowska, 2017; Zagała, 2023) wskazują, że historycznej genezy konfliktu należy szukać w rozpadzie obozu postsolidarnościowego po wyborach parlamentarnych w 2005 r. Platforma Obywatelska i Prawo i Sprawiedliwość – wówczas nowe ugrupowania wywodzące się z Solidarności – szły do wyborów z relatywnie zbliżonymi programami i deklarowały gotowość utworzenia wspólnego, centroprawicowego rządu. Dziś brzmi to jak polityczna fantazja, lecz wówczas było realnym scenariuszem. Obie partie, zabiegając o szerokie poparcie, unikały ostrej ideologizacji i wyraźnych różnic programowych.

Sytuacja zmieniła się wraz z konsolidacją sceny politycznej po osłabieniu lewicy i wyłonieniu się Donalda Tuska jako głównego konkurenta Jarosława Kaczyńskiego. PiS, poszukując szerszego zaplecza, także wśród wyborców o bardziej populistycznych postawach, zaostrzył retorykę, przesuwał ją w stronę wyraźnie antyliberalną. Po podwójnym zwycięstwie w 2015 r. linia podziału stawała się coraz wyraźniejsza, a kolejne fazy konfliktu ogniskowały się wokół różnych kwestii: praworządności, praw kobiet, migracji, rozumienia suwerenności, relacji z Unią Europejską, a ostatnio także stosunków z USA.

Z czasem spór objął niemal wszystkie obszary działania państwa. Różnice między obozem pro-PiS (w tym prezydentem) a szeroko rozumianym obozem anty-PiS (Koalicją Obywatelską, Nową Lewicą, częścią PSL i Polski 2050) dotyczą dziś większości decyzji rządu i projektów legislacyjnych. Wyborcy dostrzegają te napięcia i często odczuwają ich konsekwencje, także ekonomiczne, w codziennym życiu. Nic więc dziwnego, że logika „totalnej” opozycji i coraz twardszej odpowiedzi rządzących wzmacnia poczucie odrębności obu elektoratów.

Jak zauważa Dominik Batorski, społeczne oceny działań politycznych są filtrowane przez ukształtowaną już „megatożsamość”, która tworzy emocjonalnie naładowaną przepaść mentalną między obozami (opisywaną m.in. przez Jacka Raciborskiego). Z perspektywy rywalizacji wyborczej sprzyja to utrzymaniu lojalnego elektoratu, lecz utrudnia jego poszerzenie. Wyborcy spoza twardych rdzeni obu stron częściej oceniają sporne kwestie mniej emocjonalnie, bardziej analitycznie i z dystansem. Jednocześnie narastająca ostrość konfliktu i otwarta wrogość mogą zniechęcać część obywateli zarówno do klasy politycznej, jak i do udziału w wyborach.

KB: Może dla części społeczeństwa polaryzacja afektywna jest wygodnym uproszczeniem skomplikowanego świata polityki. A w jaki sposób wpływa na stan konfliktu i kompromisu w społeczeństwie?

KS: Utrudnia porozumienie skonfliktowanych stron i poszukiwanie rozwiązań kompromisowych. Nie tylko z powodu złych emocji wobec przeciwników politycznych. Oczywiście trudno o szukanie kontaktu i podejmowanie poważnej rozmowy, gdy oczekuje się wrogości drugiej strony, gdy nie widzi się nic interesującego u przeciwników, a własne propozycje uznaje się za genialne. Megatożsamość polityczna działa w podobny sposób na polityków, jak i na ich zwolenników. Wbrew nazwie afektywna polaryzacja wpływa także na procesy poznawcze. Przede wszystkim filtruje, dokonuje selekcji i oceny stopnia wiarygodności informacji. Powoduje odrzucanie treści rozbieżnych ze schematem „nas” i „obcych”, a szybkie zauważanie i dalsze przekazywanie informacji zgodnych z naszą megatożsamością polityczną. Moje badania pokazały też, jak afektywna polaryzacja wpływa na sposób wyjaśniania istotnych wydarzeń. Za negatywne zdarzenia i złe decyzje odpowiedzialność przypisuje się politycznym przeciwnikom, za pozytywne – oczywiście „naszym” politykom.

Było to szczególnie widoczne w końcowej fazie pandemii COVID-19. W 2020 r. odpowiedź na pytanie, na kogo głosowało się w wyborach prezydenckich: na Andrzeja Dudę czy Rafała Trzaskowskiego, okazywała się jednym z najlepszych predyktorów tego, komu przypisywano odpowiedzialność za ponadnormatywne zgony. Zwolennicy Dudy najczęściej wskazywali na właściwości samego wirusa, natomiast wyborcy Trzaskowskiego obarczali winą rządzącą wówczas koalicję.

Podobny mechanizm ujawnił się w kwietniu bieżącego roku, gdy w reakcji na gwałtowny wzrost cen paliw przyjęto ustawę obniżającą akcyzę (określaną jako CPN), co przełożyło się na spadek

cen benzyny. Rząd i środowiska anty-PiS uznawały to za „zasługę rządu i naszych posłów”. Z kolei opozycja i elektorat pro-PiS przypisywały sobie autorstwo projektu, jednocześnie krytykując działania rządu jako spóźnione i niewystarczające.

Analogicznie oceniane są prognozowane skutki decyzji politycznych. Działania „naszych” polityków – tych, z którymi się identyfikujemy – postrzegane są jako przynoszące korzyści, podczas gdy inicjatywy przeciwników obarczane są ryzykiem i negatywnymi konsekwencjami. Projekt SAFE był przez stronę rządową i środowiska anty-PiS oceniany niemal wyłącznie pozytywnie, natomiast opozycja i elektorat pro-PiS dostrzegały w nim przede wszystkim zagrożenia: od utraty suwerenności, przez wieloletnie obciążenia finansowe, po zwiększenie zależności od Niemiec czy instytucji unijnych.

Konsekwencją tych procesów poznawczych i emocjonalnych jest osłabienie zdolności do stopniowego łagodzenia konfliktu. Megatożsamościowe różnice utrwalają niechęć do komunikacji między zwaśnionymi stronami. Różnice o charakterze tożsamościowym przybierają taką skalę, że przestrzeń negocjacji i porozumienia przestaje być dostrzegalna. Jeśli druga strona postrzegana jest jako ucieleśnienie zła, trudno oczekiwać od niej cokolwiek dobrego, rozmowa wydaje się więc stratą czasu.

Polaryzacja ogranicza również swobodę debaty wewnątrz poszczególnych obozów. Nie toleruje się ani wewnętrznej krytyki, ani prób docenienia inicjatyw przeciwników. Przykładem może być zawieszenie w klubie parlamentarnym PiS posła, który publicznie skrytykował prezydenta Nawrockiego za decyzję o dopuszczeniu do złożenia ślubowania

jedynie dwojga z sześciu sędziów wybranych przez Sejm do Trybunału Konstytucyjnego.

Podobne mechanizmy działają po drugiej stronie sceny politycznej. Rządząca koalicja oraz związane z nią środowiska anty-PiS również niechętnie patrzą na prywatne kontakty z przeciwnikami. Szymon Hołownia został ostro skrytykowany po nocnym, nieformalnym spotkaniu z Jarosławem Kaczyńskim, a niedawne rozmowy Władysława Kosiniaka-Kamysza z byłym premierem Mateuszem Morawieckim także nie spotkały się z aprobatą jego zaplecza politycznego.

KB: Polaryzacja polityczna jest widoczna nie tylko w Polsce. Jak te podziały rzutują na politykę międzynarodową? Czy i jak rządy „silnych chłopców”, na czele z Putinem i Trumpem, determinują naszą przyszłość?

KS: Widoczny jest wyraźny związek między autorytarnym stylem przywództwa a poziomem polaryzacji społecznej. Politycy o takich skłonnościach konsekwentnie stosują zasadę „dziel

Media społecznościowe dostarczają poczucia słuszności własnych opinii i emocji, a zarazem izolują użytkowników w informacyjnych bańkach.



© MAREK KWATKOWSKI

i rząd”, traktując przeciwników – wraz z ich elektoratem – jako wrogów. Dominują wówczas przekazy oparte na krytyce i oskarżeniach, nierzadko przesadzonych lub fałszywych, o poważne przestępstwa, niemoralność, zdradę narodu czy niekompetencję.

Strony przeciwne autorytarnym tendencjom odpowiadają obronnie, często jednak odplacając pięknym za nadobne. W ich narracji pojawiają się zarzuty pod adresem rządzących dotyczące złego zarządzania państwem, permanentnego kłamstwa, nadużywania środków publicznych, łamania prawa i konstytucji, prowadzenia kraju ku destabilizacji. Taki język wzmacnia wcześniej opisane mechanizmy kształtowania tożsamości politycznej.

W efekcie podziały tożsamościowe osiągają poziom, przy którym społeczeństwa rozdzielają się niemal na dwie równe części, a wyniki wyborów stają się trudne do przewidzenia. Zwycięstwa odnoszone niewielką przewagą oznaczają słabszą legitymizację zwycięzców i ograniczoną satysfakcję ich zwolenników, podczas gdy przegrani częściej doświadczają poczucia krzywdy, straty, a niekiedy gniewu, prowadzącego do podważania uczciwości procedur wyborczych.

Polskie doświadczenie wpisuje się w szerszy kontekst. Podobne emocje towarzyszyły niemal połowie amerykańskiego społeczeństwa po wyborach w 2016 r., gdy zwyciężył Donald Trump, a następnie w 2020 r. – gdy jego zwolennicy nie chcieli uznać przegranej z Joe Bidenem. Kulminacją była przemoc skierowana przeciwko Kongresowi. Retoryka przegranych polityków, polegająca na deprecjonowaniu zwycięzców i obrażaniu ich elektoratu, dodatkowo zaostrza polaryzację afektywną i pogłębia wzajemną wrogość między obiema stronami.

Wracając do konsekwencji rządów „silnych chłopców” – dziś są to raczej starsi mężczyźni z silną potrzebą maksymalizacji władzy,

sprawowanej bez realnych ograniczeń prawnych i moralnych. Łączy ich nacjonalizm, deklaratywne przywiązanie do tradycji i religii oraz podkreślanie znaczenia suwerenności państwa, rozumianej jednak wyłącznie jako suwerenność własnego kraju. Według tej logiki inne państwa można atakować zbrojnie, pozbawiać terytorium, porywać ich przywódców czy przywłaszczać ich zasoby.

Putin grozi Polsce z bliska: prowadzi wojnę hybrydową, szerzy dezinformację, rosyjskie drony spadają na nasze terytorium, a jego ludzie dokonują aktów dywersji. Nic dziwnego, że wielu Polaków obawia się wojny z Rosją. Po wiekach doświadczeń nie ma też podstaw, by ufać rosyjskiej polityce. Tym bardziej że na Ukrainie widać dziś jej prawdziwe oblicze.

Wydawałoby się, że wobec Rosji i Ukrainy powinna panować w Polsce zgoda ponadpartyjna. Tak jednak nie jest – afektywna polaryzacja sięga również polityki międzynarodowej. Część obozu pro-PiS coraz wyraźniej przechyla się ku postawie antyukraińskiej, czego wyrazem stają się nieustanne powroty do przeszłości, żądania natychmiastowych ekshumacji, przeprosin za dawne zbrodnie oraz wdzięczności za bieżącą pomoc.

W lutym Donald Trump publicznie upokorzył prezydenta Ukrainy, obwiniając go o wojnę, opór wobec zawieszenia broni i zestawiając z kremlowskim agresorem, rzekomo skłonny do rozejmu. Wtedy część środowisk bliskich PiS jeszcze mocniej przesunęła się w stronę narracji prorosyjskiej i antyukraińskiej. Późniejsze, znacznie bardziej ceremonialne potraktowanie Putina tylko ten obraz dopełniło.

Ponieważ pro-PiS widzi w Trumpie ideologicznego sojusznika, skłonny jest bezrefleksyjnie naśladować jego antydemokratyczne gesty, a nawet usprawiedliwiać decyzje niekorzystne dla Polski, jak podwyżki ceł czy zapowiedzi ograniczania roli USA w NATO. Podobnie politycy PiS, a także prezydent Nawrocki, coraz częściej przyjmują wobec dziennikarzy postawę arogancką, naśladując Trumpa. Na razie nie składają jeszcze pozwów o milionowe odszkodowania za krytykę, ale już odmawiają ślubowania legalnie wybranym sędziom Trybunału Konstytucyjnego.

Formalnie prezydent nie ma uprawnień do oceniania sędziów, a mimo to analizuje ich przeszłość. Zgodnie z prawem nie powinien tego robić, ale robi – bo tak chce. To także element dążenia do maksymalizacji własnej władzy. A przecież to dopiero początek jego pierwszej kadencji. Z czasem i wraz z wiekiem tendencje autorytarne zwykle się nasilają, więc w razie kolejnej kadencji przyszłość prodemokratycznych obywateli nie zapowiada się pogodnie.

Im więcej „silnych chłopców”, dążących do sławy i pieniędzy po trupach słabszych państw i ich przywódców, znajdzie się u władzy w ważnych lub bliskich nam geograficznie częściach świata, tym gorzej dla demokracji w Polsce. Politycy, którzy przekraczają swoje kompetencje i prawa, odgrywając role monarchów, przyciągają uwagę i stają się wzorem do naśladowania dla innych przywódców o wielkościowych skłonnościach.

Czy Unia Europejska może się rozpaść?

- Odsunięcie poprzedniego rządu od władzy było interpretowane jako dowód, że w kraju, w którym rośnie popularność prawicy i populistów, możliwa jest demokratyczna zmiana.
 - Donald Tusk chyba zrozumiał, że strategia polegająca na wyniszczaniu lewicy i przejmowaniu jej elektoratu ma ograniczoną skuteczność.
- Partie, które chcą zdobywać około 30 proc. głosów lub więcej, siłą rzeczy muszą stać się bardziej „obte” ideowo.
- Jeśli mówimy o najbardziej egzotycznych konfiguracjach koalicyjnych, to są dwie, które wykluczam absolutnie. Pierwsza to Konfederacja z Razem. Druga to wielka koalicja Prawa i Sprawiedliwości z Koalicją Obywatelską.
- Kampania objazdowa Sławomira Mentzena, z jej symbolem, elektryczną hulajnogą, pokazała coś bardzo ciekawego: że bezpośrednia komunikacja wcale nie jest anachronizmem.
 - Coraz częściej mówi się o elastycznej integracji, o Europie różnych prędkości. O tym, że niektóre decyzje mogą zapadać w węższym gronie państw.

Z prof. [Anną Pacześniak](#) rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Pani profesor, poproszę o syntetyczną ocenę działań obecnego rządu. Z punktu widzenia politologii, ale też realnych uwarunkowań, w jakich ten rząd funkcjonuje – czy ma on powody do zadowolenia? I czy obywatele powinni być zadowoleni?

Anna Pacześniak: Jeśli wrzucimy obywateli do jednego worka, to oczywiście jest, że opinie będą podzielone. Jedni uważają rząd za efektywny, inni – przeciwnie; jedni są przekonani, że realizuje obietnice wyborcze, inni – że robi to w stopniu dalece niewystarczającym. Z punktu widzenia wyborców partii tworzących koalicję rządzącą zapewne lepiej byłoby, gdyby tych obietnic spełniono więcej.

W pamięci wielu osób utkwiała zresztą pewna wypowiedź Donalda Tuska: że skoro koalicja otrzymała trzydzieści kilka procent głosów, to spełni trzydzieści kilka procent obietnic. Miało to być żartobliwe, lecz – ze szkodą dla wizerunku rządu – wywołało raczej irytację. Zwłaszcza wśród tych wyborców, którzy uwierzyli, że to właśnie dzięki nim obecna koalicja wygrała wybory. Mówiło się wtedy – nie do końca zgodnie z rzeczywistością, ale jednak – że zwycięstwo Donaldowi Tuskowi zapewnili młodzi i kobiety.

Zacznijmy więc od kobiet. Nie jest tak, że w sprawach ważnych dla tej części społeczeństwa nie wydarzyło się nic. Choćby przywrócenie finansowania procedury in vitro – decyzja podjęta bardzo szybko po objęciu władzy. Oczywiście problem z dzietnością i posiadaniem potomstwa dotyczy zarówno kobiet, jak i męż-

czyn, ale w stereotypowym ujęciu to właśnie kobiety postrzegają się jako bardziej zainteresowane kwestią rodzicielstwa. Jeśli więc przyjmujemy tę konwencję, był to krok znaczący i oceniany pozytywnie, nie tylko przez osoby o poglądach liberalnych czy lewicowych. Warto zresztą zauważyć, że w tej sprawie podział polityczny wcale nie przebiega wzdłuż prostych linii rząd–opozycja. Wystarczy przypomnieć wypowiedź pani prezydentowej Nawrockiej, którą trudno posądzać o liberalno-lewicowe poglądy. W swoim głośnym wywiadzie telewizyjnym stwierdziła ona, że problem niepłodności istnieje i państwo powinno pomagać ludziom, choć – przynajmniej – nie odpowiedziała na pytanie, czy należy to robić poprzez finansowanie procedury in vitro z budżetu.

Natomiast jeśli chodzi o kwestię aborcji, której legalizację obiecywała partia Donalda Tuska podczas kampanii wyborczej – tu sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana. Aborcja w Polsce jest uregulowana, ale w sposób bardzo restrykcyjny, a oczekiwania części elektoratu dotyczyły liberalizacji przepisów. W pierwszych miesiącach rząd mógł jeszcze wskazywać na ograniczenia wynikające z prezydentury Andrzeja Dudy: projekty były przygotowane, lecz wiadomo było, że mogą zostać zawetowane. Kiedy jednak wybory prezydenckie wygrał Karol Nawrocki, sytuacja się utrwaliła i rządzący muszą dziś szukać innych sposobów realizacji przynajmniej części swoich zapowiedzi. Tyle że kontekst polityczny w 2023 r. był jasny, a obietnice padały i tak. Dlatego można

Prof. dr hab. **Anna Pacześniak** – politolożka i europeistka, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, wykładowczyni Uniwersytetu Dzieci we Wrocławiu. Współpracuje badawczo z Wolnym Uniwersytetem w Brukseli, Uniwersytetem Karola w Pradze i Uniwersytetem w Houston. Autorka niemal 150 publikacji naukowych: książek, artykułów i rozdziałów m.in. na temat partii politycznych, systemu politycznego Unii Europejskiej, kobiet w polityce. Publikuje w języku polskim, angielskim i francuskim. Zdobywa i realizuje granty Narodowego Centrum Nauki. Stypendystka Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, rządu francuskiego, Wallonia-Brussels International oraz Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Do 2023 r. była stałą doradczynią Komisji Spraw Zagranicznych i Unii Europejskiej Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.



© UNIWERSYTET WROCŁAWSKI / ALINA METELYSIA

zrozumieć frustrację wyborców KO, dla których akurat ta kwestia była szczególnie ważna.

Bo oczywiście kontekst w polityce zawsze ma znaczenie. Ale z drugiej strony można powiedzieć: żyjemy w demokracji, a wynik wyborów nigdy nie jest pewny. Jeśli więc rząd obiecuje daleko idące zmiany, wiedząc, że nie kontroluje wszystkich ośrodków władzy, to powinien brać pod uwagę ryzyko, że nie będzie w stanie ich przeprowadzić. W tym sensie rozczarowanie części wyborców jest zrozumiałe. Podobnie jest ze związkami partnerskimi. Projekty się pojawiają, pracuje nad nimi minister Katarzyna Kotula i domyślam się, że poziom frustracji tej polityczki musi być niemały. Tyle że wyborcy nie oceniają rządu po staraniach, ale po efektach.

A skoro prosił pan o syntetyczną ocenę, to pozwolę sobie podać jeszcze jeden przykład, dotyczący nas wszystkich: kwestię praworządności. Tu sytuacja jest jeszcze bardziej złożona, bo jednym z głównych oponentów zmian, obok opozycji, pozostaje prezydent. W praktyce oznacza to, że część ustaw jest wetowana, a część nawet nie trafia do procedowania, bo z góry wiadomo, że spotkałaby się z wetem. To niewątpliwie podcina skrzydła tym, którzy próbują reformy przygotować.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że rządowi udało się poprawić relacje międzynarodowe Polski. Oczywiście Prawo i Sprawiedliwość odpowie: gdybyśmy rządili, relacje ze Stanami Zjednoczonymi wyglądałyby inaczej, lepiej. Być może, tylko pytanie, czy byłyby to relacje ze Stanami Zjednoczonymi jako państwem, czy raczej osobista relacja z Donaldem Trumpem. To jednak nie jest to samo.

Natomiast jeśli chodzi o Unię Europejską, to chyba niewielu obserwatorów ma wątpliwości, że relacje Polski z Brukselą w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy były napięte. Wystarczy przypomnieć, że przewodniczącą Komisji Europejskiej jest wciąż ta sama osoba, z którą rząd Mateusza Morawieckiego miał liczne konflikty. Dlatego dziś uruchomienie środków z KPO jest najbardziej namacalnym efektem poprawy relacji. Ale ważne jest też coś mniej spektakularnego: łatwość prowadzenia negocjacji, zarówno w ramach Unii, jak i w innych konfiguracjach, choćby z Wielką Brytanią. W tym sensie obecny rząd funkcjonuje w Europie znacznie swobodniej niż jego poprzednicy.

KB: Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przy praworządności – rząd osiągnął pewien istotny efekt, mianowicie przekonał Unię Europejską, że Polska zmierza w dobrym kierunku. W efekcie środki z KPO zaczęły płynąć. Jak dziś wygląda nasza pozycja w Unii Europejskiej w tym kontekście?

AP: Pamiętam bardzo dobrze moment po wyborach, obserwowałam to także z perspektywy europejskiej. Poczucie ulgi było naprawdę wyraźne. Miesiąc czy dwa po wyborach niemieccy konserwatyści związani z bawarską chadecją zaprosili mnie do Berlina na konferencję o charakterze polityczno-naukowym i tam również poczułam, że zmiana władzy w Polsce naprawi relacje w Unii Eu-

ropejskiej, było namacalne. Oczywiście w Polsce irytuje to część środowisk politycznych, zwłaszcza tych po prawej stronie sceny, które pytają: „Czy naprawdę jesteśmy pełnoprawnym członkiem Europy tylko wtedy, gdy rządzą siły liberalne?”. Jednak faktem jest, że wizerunek Polski za granicą w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy był niekorzystny. Zachodnie media niejednokrotnie mówiły o rządach „skrajnej prawicy”, choć w Polsce wielu z nas uważało to za przesadę.

Odsunięcie poprzedniego rządu od władzy było interpretowane szerzej – jako dowód, że w kraju, w którym rośnie popularność prawicy i populistów, możliwa jest demokratyczna zmiana. I wiele europejskich rządów obserwowało to z ogromnym zainteresowaniem, zwłaszcza tych, które same zmagają się ze wzrostem poparcia dla radykalnych ugrupowań.

Jeśli jednak chodzi o praworządność, to trzeba uczciwie powiedzieć: Prawo i Sprawiedliwość ma w jednym punkcie rację. Kiedy mówi, że poza deklaracjami rządu nic się realnie nie zmieniło, to z formalnego punktu widzenia jest to prawda. Można zrozumieć irytację i zarzuty o polityczne uwarunkowania decyzji Komisji Europejskiej w sprawie odblokowania funduszy z Krajowego Planu Odbudowy.

KB: Dlaczego więc pieniądze z KPO płyną?

AP: Po pierwsze dlatego, że w Brukseli istnieje duże zrozumienie tego, co się u nas w polityce krajowej dzieje. W instytucjach unijnych mają świadomość, że teraz, gdy prezydent blokuje zmiany, decyzja o zakręceniu kurka z pieniędzmi byłaby wodą na młyn dla eurosceptyków w Polsce.

Po drugie dlatego, że Unia Europejska nie jest wyłącznie technokratycznym projektem, jak czasem się ją przedstawia – czymś w rodzaju bankomatu, który wypłaca środki, gdy spełni się określone warunki. To przede wszystkim projekt polityczny. A decyzje polityczne zawsze podlegają interpretacji.

Nie bez znaczenia jest też skład samego rządu. Tworzą go partie należące do dwóch głównych rodzin politycznych w Europie: socjaldemokratycznej i chadeckiej. Nowa Lewica należy do pierwszej, a Koalicja Obywatelska i PSL – do Europejskiej Partii Ludowej. To automatycznie sytuuje obecnie Polskę w głównym nurcie integracji europejskiej.

Dzięki temu łatwiej przekonywać partnerów, że rząd w kwestii przywracania praworządności robi wszystko, co może: przedstawia projekty ustaw, prowadzi dialog, a jednocześnie stara się minimalizować negatywne skutki wcześniejszych zmian w sądownictwie. Bo z punktu widzenia Unii ważna jest także pewność prawna inwestorów, przekonanie, że w razie sporu będą mieli dostęp do niezależnego sądu.

Dlatego nie widzę dziś dużego ryzyka zablokowania unijnych środków w obszarze samej praworządności. Większym problemem mogą być konkretne kamienie milowe. Dobrym przykładem jest dyskusja wokół ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy. Jeśli rząd nie osiągnąłby w tej sprawie porozumienia wewnątrz koalicji, część środków może zostać wstrzymana, a nawet utracona.

KB: Niedawno PiS głosował przeciwko rozszerzeniu uprawnień Państwowej Inspekcji Pracy. I to jest ciekawy przypadek, który pozwala przejść do kolejnego tematu, mianowicie stabilności koalicji. Bo to, że w koalicji czasem trzeszczy, jest raczej oczywiste dla każdego, kto obserwuje polską politykę. Ale szczególnie interesująca była sytuacja z końca ubiegłego roku. Lewicowa minister wraz ze swoim zespołem przygotowała projekt zmian w prawie pracy, a premier, mówiąc wprost, zatrzymał go w zaawansowanej fazie procedowania. Gdybym był członkiem zespołu legislacyjnego, który wykonał ogrom pracy, byłoby mi przykro. Czy tamten moment i zachowanie premiera wciąż może oddziaływać na przyszłość koalicji?

AP: Trzeba przypomnieć jeszcze jeden szczegół z tamtej sytuacji. Premier zasugerował wówczas publicznie, że pani minister z Nowej Lewicy „zaszyla” w projekcie jakieś rozwiązania, o których on nie wiedział. Innymi słowy – że poczuł się w pewnym sensie oszukany.

Należy przyznać, że te zarzuty premiera trafiły na polityczkę o naprawdę stalowych nerwach. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk nie chodziła po mediach, nie opowiadała o swojej frustracji ani rozczarowaniu. Podobnie zachował

się lider Nowej Lewicy, który konsekwentnie mówi o współpracy w koalicji w sposób bardzo koncyliacyjny. Myślę zresztą, że zarówno Donald Tusk, jak i Włodzimierz Czarzasty doskonale rozumieją logikę tej sytuacji. Koalicja Obywatelska jest oczywiście silniejszym partnerem, ale Nowa Lewica pozostaje partnerem przewidywalnym i lojalnym.

Donald Tusk – patrząc już czysto politologicznie – chyba zrozumiał, że strategia polegająca na wyniszczaniu lewicy i przejmowaniu jej elektoratu ma ograniczoną skuteczność. Nawet jeśli część wyborców Nowej Lewicy przejdzie do Koalicji Obywatelskiej, to część po prostu zagłosuje na inne ugrupowania lewicowe, choćby partię Razem. Z punktu widzenia Tuska byłoby to niekorzystne, bo wzmocniłoby siłę ugrupowania, które już raz zdecydowało się pozostać poza rządem i przyjąć rolę bardziej krytycznego obserwatora. I nie może zapominać, że lewicy już raz, w 2015 r., powinęła się noga w wyborach i na jedną kadencję utraciła reprezentację parlamentarną. Pragmatyzm nakazywałby więc przyjazną współ-

Jeśli politycy
działają racjonalnie,
to wiedzą,
że wcześniejsze
wybory są ryzykowne
dla obu stron:
rządzących i opozycji.

pracę między Koalicją Obywatelską i Nową Lewicą, bo każda z tych partii obsługuje inny elektorat.

Dlatego w kwestiach takich jak prawo pracy Nowa Lewica będzie robić swoje. To jest jej socjaldemokratyczne DNA – ochrona pracowników, a nie pracodawców. Donald Tusk z kolei chce pokazać, że rząd jest przyjazny także dla biznesu i przedsiębiorców, dlatego będzie próbował równoważyć te oczekiwania. Nie spodziewałabym się jednak dramatycznych konfliktów. Owszem, koalicja od początku trzeszczy, ale w dużej mierze wynika to z naszej percepcji: przez osiem lat przyzwyczailiśmy się do rządu Zjednoczonej Prawicy, który – mówiąc wprost – był w praktyce rządem jednej partii z mniejszymi przybudówkami. Decyzje zapadały szybko, a jeśli Jarosław Kaczyński uznał, że coś ma zostać uchwalone, to zazwyczaj tak właśnie się działo.

Koalicja, taka prawdziwa, z natury rzeczy działa inaczej. Trzeba negocjować, przekonywać wewnętrznych oponentów, szukać kompromisów. W Polsce wciąż traktujemy to trochę jak patologię, choć w większości europejskich demokracji jest to po prostu norma. Dodatkowo istnieje pewien mit przywództwa Donalda Tuska – ten dziennikarski obraz „kierownika”, który, gdy się zdenerwuje, tupnie nogą i sprawa zostanie załatwiona. Czasem nawet słyszy się żartobliwe pytania, czy premier mógłby się wreszcie wściec na tę czy inną sprawę. Tyle że realna polityka tak nie działa, a Tusk nie może – jak kiedyś Kaczyński – działać bez oglądania się na swoich koalicjantów. W ich szeregach też jest świadomość, że stawianie spraw na ostrzu noża i grożenie wyjściem z rządu w razie nieuwzględnienia postulatów nie byłoby ani skuteczne, ani rozsądne. Dlatego nie sądzę, by koalicja była bliska rozpadu. Opozycja oczywiście chętnie by to zobaczyła, choć paradoksalnie wcale nie jest pewne, czy przedterminowe wybory byłyby dla niej korzystne. Układ sił po prawej stronie sceny politycznej też się zmienia. Zaś jeśli politycy działają racjonalnie – a w większości przypadków jednak tak jest – to wiedzą, że wcześniejsze wybory są ryzykowne dla obu stron: rządzących i opozycji. Niepewność wyniku i jego konsekwencji dla układu sił to argument, który powściąga brawurę w polityce.

KB: Wracając jeszcze na moment do tamtej sprawy – spróbujmy na chwilę wejść w buty premiera, zwanego przez publicystów kierownikiem. Dlaczego właściwie zareagował tak brutalnie? Czy była to chłodna kalkulacja polityczna? A może ktoś przekonał go, że żyjemy w tak turbulentnych czasach gospodarczych, że wprowadzenie proponowanych zmian w prawie pracy mogłoby jednak wstrząsnąć gospodarką?

AP: Myślę, że w dużej mierze właśnie o to chodziło. Po pierwsze, ryzyko, że Nowa Lewica w reakcji na taką decyzję powie, że wychodzi z rządu, było minimalne. Być może nawet zerowe. Premier wiedział więc, że może sobie pozwolić na zdecydowaną reakcję. Oczywiście było jasne, że Lewica będzie niezadowolona. Ale niezadowolenie w koalicji to nie to samo co realne zagrożenie rozpadem rządu.

Zresztą, jeśli dobrze pamiętam, było to już po tym, jak Włodzimierz Czarzasty odnowił swoje przywództwo w Nowej Lewicy, co oznaczało, że nie istniała też szczególna obawa, iż na przykład partia Razem – która konsekwentnie krytykuje swoją siostrzaną partię za to, że weszła do rządu, w którym niewiele może osiągnąć – nagle dostanie politycznego wiatru w żagle i z impetem uderzy w marszałka Sejmu starającego się o reelekcję w wewnątrzpartyjnych wyborach.

Dlatego Donald Tusk mógł uznać, że jego decyzja nie zagrazi pozycji Włodzimierza Czarzastego w partii ani stabilności koalicji. Nie sądzę też, by była to kalkulacja polegająca na próbie zdobycia sympatii wyborców Konfederacji, bo to nierealny scenariusz. Ale

z drugiej strony premier mógł uznać, że nie ma sensu dostarczać Konfederacji dodatkowych argumentów przeciwko polityce rządu. Bo przecież łatwo wyobrazić sobie ich reakcję: „Widzicie, mówiliśmy – z Tuska to po prostu socjalista”.

Możliwe więc, że pomyślał: skoro ktoś ma być w tej koalicji socjalistą, to niech nim będzie Nowa Lewica. Ona zresztą sama określa się jako socjaldemokratyczna, więc jest to dla niej naturalna rola. A on sam – na tyle, na ile to możliwe – może nadal pielęgnować wizerunek gdańskiego liberała z lat 90., polityka,

Niepewność wyniku wyborczego i jego konsekwencji dla układu sił to argument, który powściąga brawurę w polityce.

który patrzy również na interes przedsiębiorców i zastanawia się, czy nowe regulacje nie zahamują rozwoju firm.

Oczywiście pracodawcy zawsze reagują na tego typu zmiany bardzo gwałtownie. Drą szaty, mówią, że jeśli zmieni się prawo pracy, to wiele firm upadnie, ich biznesy przestaną się opłacać, a wielu pracowników straci pracę. To jest niemal rytuał. Ja akurat jestem zwolenniczką bardziej „zeuropeizowanego” prawa pracy i naszego zbliżania się do standardów zachodnioeuropejskich. W Europie istnieje przecież idea Europy socjalnej. Nie wszystkie siły polityczne ją podzielają, to prawda, ale jest to część europejskiego dorobku. A skoro Polska jest wciąż stosunkowo młodą gospodarką rynkową, to naturalne byłoby stopniowe zbliżanie się do europejskich standardów ochrony pracownika. To w dłuższej perspektywie nie tylko działa na korzyść pracowników, ale także stabilizuje system gospodarczy.

Z doświadczenia wiemy zresztą, że pracodawcy ostatecznie zawsze się dostosowują. Na początku protestują, mówią, że rządzący

szukują im katastrofę, ale później funkcjonują w nowych warunkach. Z punktu widzenia politologa przeciąganie liny, naciski i lobb-ing na etapie tworzenia nowych regulacji są zupełnie zrozumiałe.

KB: Wspomniała pani wcześniej, że elektorat prawicowy określa Koalicję Obywatelską mianem lewicy, oczywiście bezzasadnie. Ale czym ona faktycznie jest – ugrupowaniem szeroko centrowym? Czy może bezideowym?

AP: Odpowiedź zależy w pewnym stopniu od osobistych sympatii i wyznawanych wartości politycznych. Warto pamiętać, że dziś funkcjonujemy w zupełnie innej epoce niż jeszcze w połowie XX w. W latach 50. czy 60. partie mogły być bardzo wyraziste ideowo: socjalistyczne, socjaldemokratyczne, chadeckie, ludowe i mimo to zdobywać ogromne poparcie. Dziś jest rok 2026. Tamten świat już nie wróci, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości. Partie, które chcą zdobywać około 30 proc. głosów lub więcej, siłą rzeczy muszą stać się bardziej „oble” ideowo. To oczywiście nie jest termin z podręcznika politologii, ale w moim przekonaniu dobrze oddaje sens rzeczy. Nie chodzi o to, by partie podo-bały się wszystkim, bo to niemożliwe, ale żeby nadmiernie nie drażniły swoją wyrazistością.

Pamiętam, jak Mateusz Morawiecki opisywał kiedyś Prawo i Sprawiedliwość jako „partię dużego namiotu”, w którym zmieszczą się prawie wszyscy. Nie przepadałam za tą metaforą, ale jeśli ją na chwilę pożyczymy, to można powiedzieć, że Koalicja Obywatelska też w pewnym sensie jest takim namiotem. Zresztą już sama nazwa Platforma Obywatelska od początku, od 2001 r., była dość enigmatyczna. Właściwie wszystkie partie mówią o sobie, że są obywatelskie. Platforma nie deklarowała w nazwie konkretnej ideologii, tylko raczej zapraszała: wejdźcie na platformę, zmieścimy się. A gdy przekształciła się w Koalicję Obywatelską, ten sygnał stał się jeszcze wyraźniejszy: mamy tu kompromis różnych wrażliwości.

Ktoś może nazwać to bezideowością. Lub przejawem czystej technokracji, takiej trochę postpolityki, gdzie istnieją tylko „sprawy do załatwienia”, a idee są drugorzędne. Ja jednak uważam, że to złudzenie. Bo nawet w najbardziej technokratycznych dokumentach – wystarczy przejrzeć strategię rozwoju polskich miast – zawarte są pewne idee. Jedne bardziej liberalne, inne bardziej konserwatywne. Jedne kładą nacisk na wsparcie rodzin, inne – na politykę mieszkaniową czy transport publiczny. A jeśli tak jest w dokumentach miejskich, to tym bardziej w wielkiej polityce. Pamiętam zresztą pewien wywiad z Donaldem Tuskiem, sprzed wielu lat. Pytano go o ewolucję jego poglądów. Odpowiedział wtedy,

że z sentymentem wspomina czasy, gdy był trzydziestokilkuletnim gdańskim liberałem. Ale – żartował – będąc ojcem nastoletniej (wtedy) córki, siłą rzeczy poczuł w sobie więcej konserwatyzmu. A im dłużej funkcjonuje w europejskiej polityce, tym lepiej rozumie wrażliwość socjaldemokratyczną.

W rezultacie powstał ciekawy konglomerat: liberał, trochę konserwatysta, trochę socjaldemokrata. Jednego w tej mieszance raczej nie ma – nacjonalizmu. Ponieważ zaś Koalicja Obywatelska, a wcześniej Platforma, jest partią bardzo silnie związaną z osobą lidera, ta ewolucja poglądów Tuska wpływała również na ewolucję samej partii. Ci politycy, którzy tej zmiany nie akceptowali, z czasem odchodzili albo schodzili na dalszy plan. Dlatego dziś nie widzimy już tak silnego nurtu konserwatywnego, który na początku istnienia Platformy był w niej bardzo wyraźny.

KB: W jednym z podcastów Sławomir Mentzen powiedział, że jego zdaniem Donald Tusk w aspekcie najgłębiej wyznawanych poglądów jest podobny do niego samego. Że

jego prywatne poglądy na rodzinę, gospodarkę czy role społeczne są bliższe prawicy, tyle że przy uprawianiu polityki kompletnie się nimi nie kieruje. Z drugiej strony pamiętam wpis w mediach społecznościowych, popularny przy okazji ostatnich wyborów parlamentarnych. Jego autor twierdził, że pochodzi z małej miejscowości, w której ani wyborców, ani lokalnych polityków zupełnie nie interesują najgłośniejsze spory ideologiczne, tylko konkretne sprawy, pieniądze na inwestycje, poprawa lokalnej prasy itp. Czy te przykłady

Przez wiele tygodni potrafimy dyskutować o sporach personalnych czy partyjnych, choć wszyscy wiemy, że gdzieś w tle dzieją się rzeczy znacznie poważniejsze.

rozdźwięku między ideologią i praktyką polityczną da się jakoś wspólnie wytłumaczyć? Może istnieniem jakiegoś trendu?

AP: Zacznę od wspomnianej wypowiedzi Sławomira Mentzena. Nie słyszałam tego wywiadu, ale sama teza jest interesująca z punktu widzenia komunikacji politycznej. Może ona bowiem sygnalizować coś więcej – pewną strategię Konfederacji. W Polsce toczy się przecież nieustanna dyskusja o przyszłych koalicjach. Większość komentatorów skupia się na pytaniu, czy Prawo i Sprawiedliwość będzie kiedyś rządzić razem z Konfederacją, a może nawet z ugrupowaniem Grzegorza Brauna. Ale czasem pojawia się też inna hipoteza – że Konfederacja nie chce być postrzegana jako skazana wyłącznie na PiS. Że chce pokazać, iż jest samodzielnym graczem. W tym sensie wypowiedzi sugerujące, że z Tuskiem „dałoby się dogadać”, mogą być elementem gry. Z jednej strony podważają wizerunek premiera w oczach jego wyborców, sugerując pewną dwulicowość. Z drugiej strony wysyłają sygnał: polityka



© MK/AI

to przestrzeń negocjacji. A kiedy politycy usiądą przy cygarach i whisky, to może się okazać, że jednak więcej ich łączy, niż dzieli.

To zresztą trochę przypomina logikę samorządów, o której pan wspomniał, przywołując w pytaniu wypowiedź mieszkańca małej miejscowości. Na poziomie lokalnym często współpracują ze sobą ludzie o bardzo różnych poglądach. Decydują nie tyle ideologie, ile relacje: kto z kim chodził do szkoły, kto z kim studiował, kto się z kim przyjaźni lub gra wieczorami w siatkówkę. Ekspertów od zarządzania przestrzenią publiczną czy inwestycjami mamy przecież po każdej stronie sceny politycznej.

Natomiast na poziomie ogólnokrajowym obrazy komitewy między politykami potrafią budzić ogromne emocje. Pamięta pan zapewne głośne urodziny Roberta Mazurka. Okazało się wtedy, że politycy z różnych obozów spotykają się prywatnie, rozmawiają, żartują, piją alkohol. Dla wielu obywateli było to wręcz szokujące. Poczuli się oszukiwani, skoro w programach telewizyjnych te osoby kłóciły się i skakały sobie do gardeł, a chwilę później wspólnie bawili się w kawiarnianym ogródku. Ci sami wyborcy, oceniając relacje na poziomie lokalnym, patrzą na takie ponadpartyjne dogadywanie się dużo spokojniej. Mówią, że najważniejsze jest, aby powstał chodnik, była szkoła i żeby gmina dostała więcej pieniędzy z Warszawy.

Mimo wszystko nie powiedziałabym, że polityka jest całkowicie bezieowa. Owszem, istnieje warstwa komunikacyjna, marketingowa. Ale są też politycy, którzy przychodzą do polityki z realnym pakietem wartości. I to naprawdę widać. Wystarczy porównać decyzje rządu Zjednoczonej Prawicy z decyzjami obecnego rządu. Nie twierdzą, że jeden jest lepszy, a drugi gorszy, bo to w dużej mierze zależy od wyznawanych wartości osoby dokonującej oceny. Jednak różnice są widoczne gołym okiem.

KB: Konfederacja twierdzi, że PiS i KO w swej istocie niezbyt się różnią. Z drugiej strony podobną narrację słyszymy od partii Razem. Skoro mamy taką osobliwą symetrię, że z obu krańców sceny politycznej i krańców ideowych słyszymy podobne diagnozy i narracje, to czy powinniśmy być nastawieni na najbardziej fantazyjne scenariusze koalicyjne w 2027 r.? Czy można sobie wyobrazić sytuację, w której Konfederacja i Razem znalazłyby się w jednym rządzie, oczywiście z jakąś dużą partią jako główną siłą?

AP: Tego akurat bym się nie spodziewała. To prawda, że Konfederację i Razem zestawia się ze sobą w analizach politologicznych. Robią to zarówno badacze w Polsce, jak i na Zachodzie. Ale trze-

ba powiedzieć jasno: obie strony na takie porównania bardzo się złością. I w pewnym sensie trudno się dziwić. Twierdzą wtedy, że fakt, iż młodzi ludzie przyciągani są przez ich ofertę, nie oznacza, że są to ci sami młodzi. Bo w rzeczywistości to są zupełnie inne grupy wyborców. Łączy ich właściwie tylko wiek, czasem również płeć, choć i to nie do końca. Wiemy przecież, że oferta Razem przyciąga więcej młodych kobiet, natomiast Konfederacja wyraźnie mocniej rezonuje wśród młodych mężczyzn. To nie jest stereotyp, to po prostu wynik badań. Obie partie upodabnia to, że operują daleko od centrum i są mocno krytyczne wobec dwóch największych partii politycznych, czyli PiS i KO.

Jednak różnice są znacznie głębsze. Inne są wykształcenie wyborców i percepcja własnych życiowych możliwości, inne miejsce zamieszkania. No i przede wszystkim – zupełnie inne wartości. Dlatego właśnie partie spoza głównego nurtu, takie jak Razem czy Konfederacja, akcentują kwestie ideowe znacznie silniej niż ugrupowania centrum. Ich oferta polityczna jest bardziej tożsamościowa, bardziej ideologiczna.

I tu dochodzimy do sedna: nawet gdyby w jakiejś abstrakcyjnej sytuacji pojawiła się możliwość wspólnego rządu, to nie chodziłoby nawet o to, czy partie te byłyby w stanie spełnić swoje obietnice wyborcze. Problem jest głębszy. Ich wyborcy po prostu nie zaakceptowałyby takiego sojuszu.

Jeśli zatem mówimy o tych najbardziej egzotycznych konfiguracjach – takich, które regularnie pojawiają się w publicystycznych spekulacjach – to są dwie, które wykluczam absolutnie. Pierwsza to właśnie Konfederacja z Razem. Druga to wielka koalicja Prawa i Sprawiedliwości z Koalicją Obywatelską. Te dwa scenariusze uważam za praktycznie niemożliwe. Natomiast inne, mniej oczywiste układy, choć dziś wydają się egzotyczne, w polityce nigdy nie są całkowicie wykluczone.

KB: Kiedy Sławomir Mentzen i jego ludzie powinni ponownie „wsiąść na hulajnogi”, żeby osiągnąć najlepszy możliwy wynik w wyborach w 2027 r.? Od razu zaznaczę, że nie chodzi mi o sufłowanie porad strategicznych dla jednej konkretnej partii. Bardziej interesuje mnie, w którym momencie powinna się rozpocząć optymalna, skuteczna kampania. I dotyczy to każdej partii, choć wyszedłem od Konfederacji, bo trudno odmówić im jednego: byli niesłychanie aktywni przy okazji wyborów prezydenckich. W pewnym sensie ustanowili nowy standard kampanijnej mobilności i obecności w terenie.

AP: Rzeczywiście, Sławomir Mentzen rozpoczął swoją pierwszą kampanię prezydencką bardzo wcześnie, właściwie natychmiast po tym, jak Konfederacja zdecydowała, że to on będzie kandydatem. A przypomnę, że sama decyzja nie była oczywista. W partii dyskutowano, czy powtórzyć model z 2020 r., czyli prawybory. Wtedy w ich wyniku wyłoniono Krzysztofa Bosaka. Jednak w 2024 r. uznano, że prawybory mogłyby doprowadzić do wewnętrznych sporów, które tylko osłabiłyby partię. W efekcie, gdzieś około sierpnia, Konfederacja ogłosiła, że kandydatem będzie Mentzen. I wtedy właśnie zaczęła się ta słynna kampania objazdowa i pojawił się jej symbol – elektryczna hulajnoga. To była też odpowiedź na zarzut często stawiany Konfederacji, że jest partią internetową. Że istnieje głównie w mediach społecznościowych, pije piwo z wyborcami, ale nie prowadzi poważnej polityki.

Tymczasem oni pokazali coś bardzo ciekawego: że bezpośrednia komunikacja wcale nie jest anachronizmem. Że nie należy wyłącznie do lat 80. czy 90. Oczywiście nie była to klasyczna kampania „od drzwi do drzwi”. To były raczej krótkie spotkania, często bardzo podobne do siebie, z powtarzalnym przekazem. Dziennikarze trochę się z tego podśmiewali, ale w mediach społecznościowych działało to znakomicie. Rolki, krótkie filmy, fragmenty wystąpień – wszystko to zaczęło krążyć w sieci. I co ważne: ogromną część tej promocji wykonywali sami młodzi ludzie. Często nawet niepełnoletni sympatycy, którzy nagrywali materiały i wrzucali je do Internetu.

To była kampania bardzo charakterystyczna dla trzeciej dekady XXI w. Natomiast powtórzenie dokładnie tej samej strategii nigdy w polityce nie działa, nawet jeśli coś raz się świetnie sprawdziło. Trzeba też pamiętać o kwestiach finansowych. Konfederacja, delikatnie mówiąc, nie ma tu idealnej sytuacji. Oczywiście można liczyć na entuzjazm młodych ludzi, którzy pracują społecznie, ale mimo wszystko kampania kosztuje.

Jeśli więc pytamy, kiedy zacząć, to moja odpowiedź byłaby taka: nie za wcześnie, nie za późno. Nie za wcześnie, by wystarczyło zasobów: pieniędzy, energii, pomysłów. Nie za późno, żeby nie przepaść czasu, kiedy konkurenci polityczni będą już od dawna agitować na swoją rzecz. Jasne, że nikt nie robi kampanii tylko przez czas przewidziany kodeksem wyborczym, tylko rozciągają ją na wiele miesięcy wcześniej.

Ponieważ kalendarz wyborczy w Polsce jest dość przewidywalny – wybory parlamentarne odbywają się jesienią – kampanię warto rozpocząć wiosną roku wyborczego. I bardzo ważne jest, żeby jej nie przerywać w wakacje. Tu akurat Konfederacja ma pewną przewagę. Wakacyjny styl polityki – spotkania przy piwie, mniej formalna atmosfera – dobrze wpisuje się w ich wizerunek.

Nie grozi im na przykład sytuacja, którą pamiętam z dawnych lat, gdy w Platformie Obywatelskiej trwał wewnętrzny pojedynek o przywództwo między Donaldem Tuskiem a Jarosławem Gowinem. Tamta kampania przypadła na wakacje i Gowin jeździł po kraju w pełnym garniturze, można go było spotkać tak ubranym nawet na nadbałtyckiej plaży. A każdy, kto siedzi na plaży w kostiumie kąpielowym, wie jedno: człowiek w garniturze zapadający się w piasku i odskakujący od nadchodzącej fali wygląda co najmniej dziwnie. Konfederatom kampanijna śmieszność w lecie raczej nie grozi. Oni myślą o polityce bardzo marketingowo. Ich „produkt” jest już rozpoznawalny, więc nie trzeba go od zera budować. Ale mam wrażenie, że szykują się do zmiany wizerunku. Coraz częściej otaczają się ekspertami od konkretnych dziedzin: gospodarki, energetyki, polityki zagranicznej. Wysyłają sygnał, że chcą być postrzegani jako potencjalny przyszły rząd, a nie żartownisie i sprawcy politycznej draki.

Taka zmiana percepcji wymaga czasu. Zwłaszcza jeśli część elektoratu przyciągały dotąd w polityce przede wszystkim poczucie humoru i memiczność. Kiedy obserwuję studentów, widzę to bardzo wyraźnie. Są oczywiście tacy, którzy śledzą politykę bardzo poważnie. Ale jest też wielu, którzy co tydzień pokazują mi w telefonach nowe filmiki z mediów społecznościowych i zachęcają, bym zobaczyła, co zrobił ten czy tamten polityk. Z tym Konfederacja będzie musiała się zmierzyć.

KB: Chciałbym porozmawiać o sprawach europejskich. Najpierw pytanie przedwstępne: czy to nie jest temat, który dotyczy dzisiaj nas wszystkich, obywateli, bardziej niż polityka krajowa?

AP: To jest paradoks, że żyjemy polityką krajową, ekscytujemy się sprawami, które z punktu widzenia geopolityki bywają zupełnie drugorzędne. Przez wiele tygodni potrafimy dyskutować o sporach personalnych czy partyjnych, choć wszyscy wiemy, że gdzieś w tle dzieją się rzeczy znacznie poważniejsze. Ale to jest silniejsze od nas. Dlatego na Europę w polskiej debacie publicznej zwykle zostaje trochę mniej czasu i miejsca. A szkoda, bo właśnie tam zapada wiele decyzji, które w długiej perspektywie mają dla nas ogromne znaczenie.

KB: W debacie publicznej funkcjonują właściwie dwie konkurencyjne narracje odpowiadające na pytanie, dokąd zmierza Unia Europejska. Pierwsza, najczęściej powtarzana przez eurosceptyków, mówi, że Unia zmierza donikąd. Że jest organizmem tak zbiurokratyzowanym i powolnym, iż nie jest zdolna do realnego działania. Przywołuje się często, tworząc aurę anegdoty, nakrętki do butelek czy ładowarki USB-C. Druga narracja narodzi-

Kiedy politycy usiądą
przy cygarach i whisky,
to może się okazać,
że jednak
więcej ich łączy,
niż dzieli.

ła się w czasach COVID-19 i wzmocniła przy okazji wojny Rosji z Ukrainą. Przedstawia ona UE jako twór elastyczny, skuteczny, reagujący na wyzwania, czyli cechujący się sprawczością i skutecznością, nawet kosztem tego, że część decyzji podejmowanych jest poza utartymi procedurami ustrojowymi, przez kilkusobowe konwenty przedstawicieli największych państw członkowskich albo komisarzy. W świetle przedstawionych argumentów pozostaje pytanie: dokąd zmierza Unia Europejska?

AP: Ma pan rację, te zarzuty często się wzajemnie wykluczają. Jedni mówią, że Unia jest zbyt powolna i zbyt technokratyczna. Inni, że zbyt śmiało ingeruje w kompetencje państw członkowskich. A zdarza się, że obie te opinie wygłaszają te same osoby. Ale jeśli spojrzymy na mechanikę polityki europejskiej, to widać pewną logikę. Dopóki w Parlamencie Europejskim, który jako jedyna instytucja posiada bezpośrednią legitymację demokratyczną, istnieje większość zdolna przegłosować ugrupowania eurosceptyczne, dopóty główne partie nadal będą prowadziły projekt integracyjny.

Przez długi czas liczone zresztą na to, że te eurosceptyczne ugrupowania po prostu się między sobą nie dogadają. Że są zbyt różne ideowo, zbyt zakorzenione w narodowych politykach, żeby stworzyć spójną siłę. Dziś jest to już trudniejsze, choćby dlatego, że frakcja Patriotów dla Europy, która powstała po wyborach europejskich w 2024 r., stała się trzecią siłą polityczną w Parlamencie Europejskim. Ale mimo to logika działania pozostaje podobna. Jeśli politycy naprawdę wierzą w projekt europejski – a wielu z nich wierzy – to będą go kontynuować nawet wtedy, gdy część wyborców wysyła sygnały sceptycyzmu. Dlaczego? Bo alternatywa wydaje im się znacznie gorsza. W ich przekonaniu alternatywą dla obecnego modelu integracji jest stopniowa degradacja Unii Europejskiej na arenie międzynarodowej. I tu dochodzimy do sedna. Gdyby Unia rzeczywiście zaczęła się cofać, gdyby stała się mniej skuteczna, to natychmiast pojawiłoby się pytanie: skoro nie działa, to po co nam w ogóle taka Unia? A wtedy eurosceptycyzm mógłby rosnąć jeszcze szybciej. Z tego punktu widzenia strategia „robimy swoje” jest całkiem racjonalna.

Poza tym trzeba pamiętać o jednej rzeczy. System polityczny Unii przypomina trochę wielki okręt. Zmiana kursu trwa długo. W politologii często używa się tej metafory także w odniesieniu do polityki niemieckiej – że jest jak ogromny tankowiec, który potrzebuje czasu, aby skrócić. Unia Europejska jest jeszcze większym statkiem.

I rzeczywiście w ostatnich latach obserwowaliśmy momenty, które taką zmianę kursu wymuszały. Najpierw pandemia. Wtedy zobaczyliśmy gwałtowny powrót partykularyzmów narodowych. Państwa członkowskie kłóciły się o wszystko: o maseczki, szczepionki, dostęp

do sprzętu medycznego. Ale po kilku miesiącach sytuacja została opanowana. Wspólne zakupy szczepionek, paszporty covidowe – pamiętamy to dziś głównie jako okres zamknięcia i frustracji, ale z instytucjonalnego punktu widzenia była to demonstracja zdolności Unii do działania. A później nastąpiła rosyjska agresja na Ukrainę. Dla wielu państw Europy Zachodniej był to szok. Atak Putina na Ukrainę wydawał się im irracjonalny z punktu widzenia interesów Rosji, więc zakładano, że do niego nie dojdzie. I wtedy nagle okazało się, że ta rzekomo nieruchawa Unia potrafi działać zaskakująco szybko. Oczywiście wszyscy wolelibyśmy, aby szybkie decyzje nie były podejmowane wyłącznie w sytuacjach kryzysowych, ale rzeczywistość międzynarodowa nie pyta nas o preferencje.

KB: Czyli w pewnym sensie Unia reaguje dopiero wtedy, gdy zostaje do tego zmuszona przez czynniki zewnętrzne?

AP: W dużej mierze tak. Ale równocześnie zmienia się też myślenie o tym, czym Unia w ogóle ma być.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu, zwłaszcza tuż po II wojnie światowej, otwarcie mówiono o projekcie Stanów Zjednoczonych

Europy. Później ten język zaczęto wygłaszać, żeby nie drażnić opinii publicznej i polityków narodowych. Dziś właściwie już nikt poważnie nie mówi o budowie jednego europejskiego państwa. Nie tylko z powodów komunikacyjnych. Po prostu uznano, że taki model jest politycznie niemożliwy. A może nawet – i to jest ciekawsza hipoteza – że siła Europy polega właśnie na jej różnorodności.

Dlatego coraz częściej mówi się o elastycznej integracji. O Europie różnych prędkości. O tym, że niektóre decyzje mogą zapadać w węższym gronie

państw. Oczywiście z polskiej perspektywy budzi to naturalny niepokój. Patriotycznie chcielibyśmy, żeby Polska była przy każdym stole decyzyjnym. Ale trzeba też uczciwie powiedzieć, że nie zawsze jest to możliwe.

KB: A czy w świecie rosnących napięć geopolitycznych – rywalizacji Stanów Zjednoczonych i Chin, wyścigu technologicznego, nowych zagrożeń bezpieczeństwa – nie powinno się wrócić do idei głębszej integracji? Innymi słowy: czy Unia ma jakąkolwiek szansę dotrzymać kroku gigantom globalnym i odpowiadać na niepokojące trendy bez większej centralizacji decyzji i bez wspólnego zadłużania się na dużą skalę?

AP: Tu zaczynają się prawdziwe polityczne emocje. Bo wspólne zadłużanie jest dla wielu państw czymś bardzo niepokojącym. To krok w stronę głębszej integracji finansowej, a więc w stronę czegoś, co jeszcze kilka lat temu wydawało się nie do pomyśle-

Na poziomie lokalnym często współpracują ze sobą ludzie o bardzo różnych poglądach. Decydują nie tyle ideologie, ile relacje.



nia. Fundusz odbudowy po pandemii, z którego finansowany jest między innymi KPO, bywał nazywany w debacie europejskiej „momentem hamiltonowskim”.

To oczywiście odwołanie do historii Stanów Zjednoczonych, gdzie Alexander Hamilton doprowadził do uwspólnotowienia długów stanowych. W wielu interpretacjach był to moment narodzin amerykańskiej federacji. W Europie od razu pojawiło się jednak zastrzeżenie, że to jednorazowy wyjątek. Nigdy więcej. Eurosceptycy reagowali na to z pewnym uśmiechem. Twierdzili, że „nigdy więcej” w polityce oznacza zazwyczaj „do następnego kryzysu”. I coś w tym jest. Bo kiedy raz zaczyna się wspólne zadłużanie, powstaje zobowiązanie, które trwa niezależnie od cyklu wyborczego. To trochę jak z kredytem hipotecznym w życiu prywatnym. Można się rozstać, można zmienić pracę, można nawet przeprowadzić się do innego kraju, ale kredyt pozostaje. Dlatego ta decyzja budziła i nadal budzi ogromne emocje.

Z drugiej strony nie da się oddzielić pytania o ekonomiczną skuteczność od pytania o polityczną akceptację. W demokracji nie da się prowadzić polityki całkowicie wbrew opinii publicznej. I jest jeszcze jeden aspekt, o którym rzadziej się mówi. Mianowicie Unia Europejska nie próbuje konkurować ze Stanami Zjednoczonymi czy Chinami dokładnie na tym samym polu. Europa postawiła na przykład raczej na regulowanie rynku cyfrowego. Nie możemy regulować tego, co dzieje się na terytorium Stanów Zjednoczonych czy Chin, ale możemy określać warunki działania globalnych korporacji na naszym własnym rynku, a przecież jest on ogromny.

KB: Jednak wspomniane mocarstwa po okresie kilkudziesięciu lat spokoju zaczynają skutecznie coraz bardziej ofensywny paradygmat, nie tylko w rozumieniu wojny, ale także w sensie handlowym i politycznym. Czy te dwa megabieguny z czasem nie zgniotą Unii Europejskiej?

AP: Najpierw trzeba odpowiedzieć na pytanie o perspektywę czasową. Bo to rzeczywiście nie jest tak, że projekt europejski powstały w latach 50. XX w., musi istnieć do końca świata i jeszcze jeden dzień dłużej. Każdy system polityczny podlega procesom historycznym. Powstaje w określonych warunkach, a w innych – może zniknąć. My w Polsce wciąż patrzymy na Unię trochę inaczej niż wiele krajów Europy Zachodniej. Mimo rosnącego eurosceptycyzmu nadal traktujemy przystąpienie do niej jako jedno z największych osiągnięć ostatnich dekad. W końcu staraliśmy się o członkostwo bardzo długo, zainwestowaliśmy w ten projekt ogromny wysiłek polityczny i społeczny. Dlatego z naszej perspektywy rozpad Unii byłby czymś szczególnie bolesnym.

Natomiast gdyby Unia Europejska rzeczywiście zaczęła się rozpaść – nawet nie w sposób spektakularny, ale raczej przez powolne osłabianie – skutki byłyby bardzo szybko widoczne. Wyobraźmy sobie, że państwa zaczynają wracać do bilateralnych układów. Albo do mniejszych, regionalnych bloków współpracy. Wtedy globalne rynki natychmiast zorientowałyby się, że Europa przestała występować jako jedna siła. A jeśli tak – można ją rozgrywać. I prawdę mówiąc, pewne symptomy tego procesu już widzimy. Oczywiście zawsze można powiedzieć: poczekajmy na zmianę administracji w Stanach Zjednoczonych, może wtedy retoryka wobec Europy się zmieni. Ale nawet jeśli się zmieni, to pozostaje pytanie bardziej fundamentalne: jeśli kolejny amerykański prezydent zobaczy, że strategia nacisku na Europę działa, że przynosi korzyści, to dlaczego miałby z niej zrezygnować? Polityka międzynarodowa bywa bardzo pragmatyczna. Dlatego w Europie powinniśmy mieć świadomość, że nawet nasi najbliżsi sojusznicy są jednocześnie naszymi konkurentami gospodarczymi. To nie jest sprzeczność, lecz normalny stan stosunków międzynarodowych. I czasem mam wrażenie, że w Europie zachowujemy się

trochę tak, jakbyśmy siedzieli na gałęzi i zaczęli ją piłować. Tyle że nie zawsze z tej strony, z której powinniśmy. Na krótką metę nic się nie dzieje, ale w dłuższej perspektywie może to się skończyć dla nas mocnymi perturbacjami.

W Europie powinniśmy mieć świadomość, że nawet najbliżsi sojusznicy są jednocześnie naszymi konkurentami gospodarczymi.

KB: Wracając do pytania o decyzje podejmowane przez nieformalne konwenty – przedstawiciele kilku największych państw UE: z tego powodu wybuchają u nas polityczne afery, wojny plemion politycznych o to, czy premier brał udział

w spotkaniu, czy był zaproszony, czy wyszedł wcześniej, czy siedział przy właściwym stoliku.

AP: Lub jechał w odpowiednim wagonie... Kiedy patrzy się na efektywność wspomnianych spotkań, trudno nie zauważyć, że mniejsze grono działa szybciej. I znów wracamy do rozważań o skuteczności Unii. Nie należy jej skuteczności rozpatrywać w skali ostatnich kilku lat. Weźmy przykład roamingu. Dziś każdy, kto podróżuje po Europie, korzysta z efektów pracy UE i tamtych decyzji. Płacimy za telefon tyle, co w swoim kraju, nie do końca mając świadomość, jak długo trwało wypracowanie tej decyzji, głównie z powodu nacisków lobbingsowych.

Kiedy na zajęciach ze studentami rozmawiam o prawach i obowiązkach obywateli Unii, często dochodzimy do zaskakującego dla studentów wniosku: obowiązków właściwie nie ma żadnych. Prawa natomiast są, na przykład prawo do ochrony dyplomatycznej przez ambasadę dowolnego państwa członkowskiego, jeśli w danym kraju nie ma przedstawicielstwa naszego państwa. Studenci reagują na to zdziwieniem. Mówią: „Ale kto o tym właściwie wie?”.

I to jest bardzo trafne pytanie. Czasem warto spojrzeć na Unię z innej strony. Nie tylko pytać, co nam daje tu i teraz, ale zastanowić się, jak wyglądałaby Europa bez UE. Albo jak żyłoby się w Polsce funkcjonującej poza Unią. Wtedy wiele z tych powolnych, technokratycznych procesów zaczyna wyglądać trochę inaczej.

Okazuje się, że wiele spraw, które ostatecznie zostały rozwiązane, nawet jeśli zajęło to lata, w ogóle nie pojawiłoby się na agendzie, zwłaszcza w przypadku państw małych lub średniej wielkości. A Polska, mimo swojej wielkiej ambicji i energii politycznej, jest właśnie państwem średniej wielkości.

I dlatego spory o to, czy premier siedział przy głównym stole, czy przy stoliku bocznym – choć w polityce oczywiście nie są bez znaczenia – czasem przesłaniają znacznie ważniejsze pytanie: czy w ogóle jesteśmy w pomieszczeniu, w którym zapadają decyzje?

KB: Na koniec chciałbym jeszcze zapytać o sprawę, która w Polsce budzi ogromne emocje. Czy Unia Europejska jest w stanie zbudować własną odporność militarną? Czy może stworzyć realną siłę odstraszenia wobec Rosji, zwłaszcza w scenariuszu, w którym napięcia między tradycyjnymi sojusznikami zachodniej hemisfery rosłyby dalej?

AP: Nie jestem specjalistką od strategii wojskowej ani zbrojeń, więc mówię tu raczej jako obserwatorka polityki. Ale gdy słucham analityków zawodowo zajmujących się bezpieczeństwem, to ich odpowiedź jest dość jednoznaczna: nie ma takiej możliwości. A przynajmniej nie w takim sensie, w jakim czasem wyobrażają to sobie niektórzy komentatorzy. NATO powstało w latach 40.

XX w. z bardzo konkretnego powodu – aby stworzyć wspólny system bezpieczeństwa Zachodu. A dziś nie bardzo widać

powód, dla którego ten system miałby zostać porzucony i zastąpiony innym. To wciąż potężny sojusz wojskowy. Oczywiście z pewnymi rysami, pęknięciami, czasem bardzo widocznymi.

Weźmy choćby napięcia między Stanami Zjednoczonymi a Danią wokół Grenlandii. To sytuacja dość osobliwa: jeden sojusznik rozważa przejście terytorium należącego do drugiego sojusznika. W świecie sojuszy wojskowych to nie jest scenariusz typowy. Ale mimo takich napięć NATO pozostaje fundamentem bezpieczeństwa Europy. Unia Europejska próbuje natomiast robić coś innego. Programy takie jak SAFE czy wcześniejsze inicjatywy wspólnych zakupów uzbrojenia są w pewnym sensie odpowiedzią na presję polityczną, którą artykułują amerykańscy politycy, na czele z Donaldem Trumpem. Ale celem nie jest zastąpienie NATO, raczej wzmocnienie europejskiego wkładu w sojusz.

Widać rosnącą wolę rozwijania własnego potencjału – i to z bardzo prostego powodu. Przez kilkadziesiąt lat Europa Zachodnia w pewnym sensie outsourcingowała bezpieczeństwo. Mogła skupić się na budowaniu dobrobytu, bo amerykańska obecność wojskowa gwarantowała stabilność. Tu zresztą trzeba uczciwie powiedzieć, że Donald Trump w jednej kwestii miał sporo racji. Wielokrotnie powtarzał europejskim partnerom, że mogą generować dobrobyt, bo USA zapewniają bezpieczeństwo. I dodawał, że tak dalek być nie może. Innymi słowy – sama wdzięczność, nawet jeśli bardzo szczerą, nie wystarczy. Nie wystarczy też obiecwanie nagród pokojowych czy dyplomatyczne uprzejmości. Europa musi wziąć większą odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo. Zwłaszcza jeśli chodzi o konflikty, które dzieją się na jej terytorium. To jest proces, który dopiero się zaczyna. I który prawdopodobnie zdefiniuje europejską politykę w najbliższych dekadach.



Polska wciąż będzie budować

O kulisach strategii FAKRO, eksporcie, globalnej konkurencji, rynku mieszkań i kosztach budowy domów oraz o fabryce w USA i wyzwaniach, jakie dla europejskiego przemysłu tworzą regulacje klimatyczne i rosnąca konkurencja z Azji, z **Januszem Komurkiewiczem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Panie prezesie, rozmawiamy przy okazji 35-lecia FAKRO, ale trudno patrzeć na historię tej firmy, pomijając pana osobisty kontekst – jest pan z nią związany od 32 lat. Od dawna słyszymy, że warunkiem udanej kariery są częste zmiany pracy, a jednak to pan jest jednym z kluczowych menedżerów w kraju. Z czego wynika przebieg pana działalności zawodowej: z osobowości, warunków pracy czy z jakiegoś szczególnego splotu okoliczności?

Janusz Komurkiewicz: Dziękuję za to osobiste pytanie. Tak, jestem emocjonalnie związany z tą firmą od 32 lat i myślę, że kluczowe jest właśnie napięcie między moją naturą a specyfiką samego przedsiębiorstwa. Lubię nowości, szukam nowych wyzwań. A jednak to, że pracuję w FAKRO od tak dawna, nie stoi w sprzeczności z moimi cechami – firma zmieniała się tak intensywnie, że praktycznie co dwa lata czułem się, jakbym trafił do nowej pracy.

Trzeba pamiętać, gdzie byliśmy trzy dekady temu: w Polsce marketing praktycznie nie istniał, wychodziliśmy z okresu przejściowego i wchodziliśmy w nową, kapitalistyczną strukturę gospodarki. Ja byłem młodym inżynierem – skończyłem studia na wydziale elektrotechniki – i po roku pracy w zawodzie trafiłem na spotkanie z panem Florkiem, założycielem i prezesem, prawdziwym wizjonerem. Od razu mu się spodobała moja energia i zaproponował, żebym stworzył dział marketingu. Wtedy nie bardzo było wiadomo, co to jest ten marketing. Ja, absolwent studiów technicznych, musiałem się go uczyć od podstaw.

Już na tamtym etapie odczytałem złożoną mi propozycję jako wezwanie do niezwykłej wyprawy. Lubię żeglować, więc wyobraziłem sobie małą łódkę, która jeszcze nie jest gotowa na wielki rejs, a prezes Florek wskazywał na horyzont i mówił: „Płyniemy na Atlantyk”. To była obietnica przyspieszenia, ryzyka i intensywnej nauki. I ta wizja mnie porwała. Możliwość tworzenia, wprowadzania na rynek nowych produktów, docierania do nowych klientów, zdobywania rynków – wszystko to odpowiadało mojej naturze.

KB: Czy są jeszcze jakieś inne anegdoty założycielskie, które krążą w firmie przy okazji spotkań jubileuszowych?

JK: Najpierw trzeba przywołać genezę. Pan Florek zaczął w połowie lat 80. od zakładu stolarskiego Florad w Tymbarku. Razem ze współnikiem, Jackiem Radkowiakiem, robili klasyczne



Janusz Komurkiewicz – członek zarządu FAKRO Sp. z o.o. Absolwent Politechniki Krakowskiej oraz Wyższej Szkoły Biznesu w Nowym Sączu. Po studiach pracował jako inżynier w firmie Polgraph w Nowym Sączu, a od 1994 r. zatrudniony jest w firmie FAKRO. Należy do ścisłego zespołu jej twórców. Zaczynał jako kierownik działu promocji i reklamy, a w 2008 r. został dyrektorem marketingu. Obecnie jest członkiem zarządu FAKRO sp. z o.o. Od 2008 r. pełni funkcję prezesa zarządu Związku Polskie Okna i Drzwi – organizacji zrzeszającej producentów, dostawców i dystrybutorów stolarki budowlanej. Dzięki wspólnym staraniom firmy FAKRO oraz Związku Polskie Okna i Drzwi pod jego kierownictwem branża stolarki budowlanej została uznana za polską specjalność eksportową i objęta specjalnym programem Ministerstwa Gospodarki – Branżowym Programem Promocji.

© FAKRO

stolarskie produkty: drzwi, schody, okna. Florek, z wykształcenia budowlanec, skończył Politechnikę Krakowską. Podczas studiów często był na praktykach w Niemczech, gdzie obserwował rozwijające się rozwiązania dachowe. Jednak nieraz wspominał, że jeszcze jako dziecko, gdy bawił się na poddaszu, spoglądał w górę, na światło wpadające przez archaiczne okienka dachowe, mające postać przeszklonej dachówki, i to wspomnienie pozostało z nim na zawsze.

Z czasem, już w 1991 r., założył kolejną firmę, w Nowym Sączu, wraz ze swoją żoną i drugim współwłaścicielem, Krzysztofem Kronenbergerem. Nazwa powstała z inicjałów współwłaścicieli. W styczniu 1991 r. FAKRO pokazało pierwsze okno dachowe na targach Budma – to był moment, który w firmowej mitologii funkcjonuje jako premiera: nowy produkt, nowy segment, nowy start.

Warto podkreślić pewien aspekt techniczny, który ma znaczenie strategiczne, mianowicie branża okien dachowych nie była wtedy „sklepową” branżą, nie można było po prostu kupić gotowych ram, uszczelek czy zawiasów i złożyć okna jak z klocków. Trzeba było skonstruować wszystko od zera – materiały, rozwiązania, narzędzia. To z kolei wymuszało innowacyjność i samodzielność, które miały fundamentalny wpływ na kulturę firmy: jeśli chcesz wprowadzić produkt na rynek, musisz go sam zaprojektować i wykonać. Ten czynnik techniczny był jednym z powodów, dla których praca w FAKRO nigdy nie była nudna.

KB: Wspaniała historia z tą przeszkloną dachówką – szczególnie do mnie trafia, bo sam mieszkam w tzw. poniemieckim domu z 1936 r., w którym jest jeszcze oryginalny dach z takimi właśnie szybkami. Jednak sądzę, że za decyzją, by nie wchodzić na szeroki rynek okien fasadowych, a skupić się na oknach dachowych, stała również głębsza myśl strategiczna.

JK: Myślę, że to pytanie trafia w sedno. Faktycznie, za wybo-rem specjalizacji stały zarówno osobiste motywacje, jak i chłodna analiza rynku. W Polsce jest bardzo dużo producentów stolarki – mówimy o ponad 2 tys. zakładów robiących okna i drzwi pionowe, a zatem to produkcja masowa, dostępna niemal w każdym większym mieście. Tymczasem producentów okien dachowych było niewiele, na naszym rynku wyróżniały się cztery istotne firmy. Różnica skali między rynkiem okien fasadowych i dachowych jest duża – orientacyjnie jak jeden do kilkuset – ale nawet nisza w tej skali bywa gigantyczna.

Proszę też pamiętać o kontekście historycznym: wejście Polski do Unii Europejskiej i boom budowlany lat 2000. otworzyły potężny popyt na poddasza użytkowe, więc okna dachowe miały swój sezon silnego wzrostu. Następnie architektura ewoluowała – nastała moda na dachy płaskie, nowe materiały. I choć popyt się przesuwał, to udało się stworzyć w Polsce imponujący sektor produkcyjny, a jako kraj staliśmy się liderem w eksporcie stolarki budowlanej w skali świata.

KB: W reklamach i katalogach FAKRO widzę dziś inną narrację niż przed laty – okno nie jest już wyłącznie szybą w ramie, lecz staje się częścią coraz bardziej zaawansowanego systemu. To, co kiedyś było pojedynczym elementem, dziś jest ogniwem większego układu, obejmującego energooszczędność, wentylację, sterowanie, bezpieczeństwo. Jak zmienił się trend?

JK: To jeden z moich ulubionych tematów, częściowo dlatego, że z wykształcenia jestem inżynierem elektrotechnikiem. Już mniej więcej od czasu silnego wejścia Polski na rynki międzynarodowe, od momentu wejścia do Unii Europejskiej, okno w coraz mniejszym stopniu traktuje się jako samodzielny wyrób, a bardziej jako część większej całości. Jest dziś elementem systemu budowlanego i systemów domowych, zatem musi współgrać z izolacją, wentylacją, systemem grzewczym, a nawet z alarmem czy automatyką.

Istotna jest kwestia montażu. Jeżeli się ją zaniedba i powstaną mostki termiczne, nawet najlepsze parametry szyb czy ram nam nie dadzą. Wokół okna trzeba zrobić ciepły montaż – warstwowy i szczelny – tak, żeby wilgoć nie kondensowała się w ociepleniu i żeby nie powstawały zimne sfery powodujące pleśń czy degradację konstrukcji. To pierwszy wątek.

Drugi to funkcjonalność. Nowoczesne okno dachowe to szyba i rama, ale także osłona przeciwsłoneczna (rolety, markizy), napęd elektryczny, czujniki i algorytm zarządzający – wszystko to można zintegrować. Dzięki temu okno bierze udział w wentylacji (może być elementem systemu mechanicznego lub wspomagać naturalną wymianę powietrza), w zabezpieczeniach (czujniki antypodważeniowe), w oszczędzaniu energii (wpuszczanie słońca zimą, blokowanie nadmiaru promieniowania latem). Coraz częściej te funkcje są automatyzowane: rolety opuszczają się według harmonogramu lub odczytu z czujników, okno otwiera się w określonych warunkach, wszystko zaś sterowane jest przez aplikację czy *smart home*.

KB: To nie jest futurystyka? Jeśli ktoś uda się do salonu FAKRO i powoła na naszą rozmowę, uzyska dostęp do wspomnianych rozwiązań?

JK: To jak najbardziej teraźniejszość. Nasze okna są wyposażone w siłowniki elektryczne i systemy sterowania – aplikacje, które pozwalają zarządzać nimi z telefonu, przez Wi-Fi, niezależnie od tego, gdzie fizycznie się znajdujemy. Projektujemy tak, żeby rozwiązania były otwarte i dostępne, nie zamknięte, trudne do integracji. Sterowanie zdalne, harmonogramy, połączenia z systemami ogrzewania czy wentylacji są już dostępne na rynku. To jest nasza rzeczywistość.

KB: Kiedy słucham pana opowieści o historii firmy i o sposobie myślenia prezesa Florka, widzę wyraźnie jedną zasadę: strategia zawsze wyprzedza teraźniejszość, zawsze jest krok, a czasem kilka kroków, przed rynkiem. Ale skoro dziś

Okno jest już elementem systemu energetycznego, może być sterowane aplikacją, współpracuje z wentylacją, reaguje na pogodę, to co dalej? Czy istnieje jakiś technologiczny sufit? Czy może w dobie obecnego przyspieszenia pytanie o przyszłość nie ma sensu?

JK: Nie, to bardzo dobre pytanie. I odpowiem wprost: my o tym myślimy i myślą o tym nasi partnerzy, dostawcy, całe zaplecze technologiczne. Okno to nie jest jeden element, lecz złożony organizm. Jego sercem jest szyba, największa powierzchnia okna, która w największym stopniu decyduje o parametrach. I to wokół niej dokonuje się dziś prawdziwa rewolucja. Warto powiedzieć jasno: Polska ma jedne z najbardziej rygorystycznych wymagań dotyczących parametrów termicznych okien w Europie. Klimat jest surowszy, normy ostrzejsze – musieliśmy się do nich dostosować.

Przeszliśmy drogę od pakietów jednokomorowych – dwóch szyb z przestrzenią wypełnioną argonem – do pakietów dwukomorowych, czyli trzech szyb z gazem szlachetnym pomiędzy nimi. To już zmieniło standard. Ale prace trwają dalej, rozwijane są szyby o parametrach zbliżonych do próżniowych, z podciśnieniem w przestrzeni międzyszybowej, co znacząco poprawia izolacyjność. To kierunek czysto fizyczny – walka o każdy ułamek współczynnika przenikania ciepła.

Ale szyba przestaje być wyłącznie barierą termiczną. Może być refleksyjna, może mieć walory dekoracyjne, może zmieniać przezierność pod wpływem napięcia – stawać się matowa lub przejrzysta w zależności od potrzeb. Technologicznie możliwe jest nawet wykorzystanie jej jako powierzchni wyświetlającej – ekranu. Może być elementem grzewczym: wystarczy odpowiednia powłoka, by zachowywała się jak promiennik ciepła, wspomagała ogrzewanie wnętrza albo topiła śnieg na zewnątrz. Szyba zaczyna pełnić wiele funkcji naraz.

Równolegle rozwijają się profile: drewniane, PVC, aluminiowe. Klienci chcą coraz większych przeszkleń, więcej światła, mniej ramy. Konstrukcja musi być cieńsza, a jednocześnie cieplejsza i bardziej wytrzymała. To paradoks inżynierski: redukować materiał, zwiększając jego parametry.

Jak będzie wyglądało okno za 10 lat? Myślę, że dążymy do okna, które będzie niczym czysta tafla szkła, rama zostanie zminimalizowana. Coraz więcej okien będzie nieotwieranych – wentylację przejmą systemy mechaniczne, inteligentne i sterowane automatycznie. Oczywiście podstawowa funkcja, czyli dostarczenie widoku i światła, pozostanie. Ale sposób korzystania z okna może się zmienić radykalnie. Technologia idzie właśnie w tym kierunku.

KB: Chciałbym przejść ze sfery technologii do biznesu.

Mamy czasy, które wielu uznaje za mniej stabilne ze względu na geopolitykę, gospodarkę, niepewność. Jak ocenia pan dzisiejszą koniunkturę i jak FAKRO reaguje na sytuację?



Okno kolankowe GREENVIEW przeznaczone jest do montażu w ścianie pionowej na poddaszu jako dodatkowy element okna dachowego. Zapewnia lepsze doświetlenie pomieszczenia.



Rolety wewnętrzne do okien dachowych APF.



JK: Ostatnie dwa lata to okres dekoniunktury – trzeba to powiedzieć otwarcie. Natomiast w tej ocenie odnosimy się do lat 2020–2022, które były absolutnym szczytem. Paradoksalnie pandemia okazała się złotym czasem dla branży stolarki budowlanej. Na początku był chwilowy spadek, ale bardzo krótki. Potem nastąpił gwałtowny wzrost popytu. Ludzie zostali w domach, zaczęli remontować, wymieniać okna, kupować nowe mieszkania, przemieszczać się z centrów miast na obrzeża. Budownictwo przeżywało boom. To były rekordowe wyniki sprzedaży.

Potem przyszła wojna w Ukrainie. I choć front jest za granicą, poczucie bezpieczeństwa w Polsce osłabło. Jesteśmy krajem przyfrontowym – to czynnik psychologiczny i ekonomiczny. Wielu Polaków zaczęło inwestować w nieruchomości za granicą, na przykład w Hiszpanii, we Włoszech. Do tego doszły wysoka inflacja i drogie kredyty hipoteczne. Młodzi ludzie tracili zdolność kredytową, koszty budowy rosły. Rynek się schłodził. W porównaniu ze szczytem produkujemy dziś niemal o 20 proc. mniej okien. Firmy musiały dostosować moce produkcyjne, czasem ograniczyć zatrudnienie. Obroty spadły. Uważamy jednak, że trudne czasy kreują liderów. Polska jest potęgą w eksporcie stolarki. My jako FAKRO ponad 70 proc. produkcji sprzedajemy za granicę. Niedawno otworzyliśmy fabrykę w Stanach Zjednoczonych, co jest sygnałem, że nawet w okresie spowolnienia można się rozwijać.

Inflacja spada, kredyty stają się dostępne, rynek powoli się odbudowuje. Wszyscy czekamy na zakończenie wojny, nie tylko z powodów handlowych, choć odbudowa Ukrainy będzie ogromnym projektem, ale przede wszystkim dlatego, że powrót poczucia bezpieczeństwa uruchamia inwestycje.

Dekoniunktura to test odporności. A jednocześnie moment, w którym powstają nowe rozwiązania. My tych rozwiązań aktywnie szukamy.

KB: Czy przewiduje pan w Polsce odbicie w budownictwie, czy raczej czeka nas stagnacja z chwilowymi wahaniami?

JK: Przede wszystkim analizuję potrzeby, a one w Polsce wciąż są ogromne. Przez ostatnie lata wielu młodych ludzi zwyczajnie nie było stać na własne mieszkanie. Mieszkają z rodzicami, odkładają decyzje, czekają na poprawę warunków. I gdy tylko sytuacja gospodarcza zaczyna się stabilizować – gdy inflacja spada, kredyty stają się dostępne – ten odłożony popyt natychmiast wraca.

Oczywiście mamy problem demograficzny. Gdybyśmy rozmawiali 20 lat temu, powiedziałbym, że potencjał wzrostu jest jeszcze większy. Polska się wyludnia – to fakt. Ale w tę lukę wchodzi nowi mieszkańcy, przede wszystkim ze wschodu. Ukraińcy są dziś wyraźnie obecni na rynku nieruchomości – kupują mieszkania, osiedlają się, planują tutaj przyszłość. To realna grupa klientów.

Zmienia się też struktura własności. Młodsze pokolenie straciło, przynajmniej częściowo, imperatyw posiadania. Częściej wybie-

© FAKRO (2)

ra wynajem niż zakup. W ich miejsce wchodzi inwestorzy: firmy i osoby prywatne, które budują z myślą o rynku najmu. To przetasowanie, nie zanik popytu.

Dlatego nie obawiam się utraty impetu rozwojowego. Rynek będzie się zmieniał, model własności będzie ewoluował, ale mieszkania są i będą potrzebne.

KB: FAKRO jest przykładem firmy globalnej o polskim rodowodzie, która zachowuje centrum decyzyjne, dział badań i rozwoju oraz większość produkcji w Polsce. Kiedy otwierają państwo fabrykę w Stanach Zjednoczonych, wygląda to raczej na strategię obsługi lokalnych rynków niż na skrajną optymalizację. Proszę wyjaśnić, ile w takim podejściu patriotyzmu gospodarczego i czy jest on wpisany w DNA marki.

JK: Trzeba twardo stąpać po ziemi – po ziemi ekonomicznej. To ekonomia decyduje, gdzie produkujemy i gdzie sprzedajemy. Napędza nas eksport. Mam na myśli całą branżę, w tym oczywiście FAKRO. Polski rynek jest dojrzały, uporządkowany. Rozwój oznacza ekspansję zagraniczną.

Nasza strategia jest stopniowa. W przypadku eksportu działa następująco: najpierw szukamy partnerów, budujemy sprzedaż. Jeśli rynek rośnie, inwestujemy mocniej. Logika jest prosta: żeby być konkurencyjnym, trzeba ograniczać koszty, zwłaszcza logistyczne. W Europie to jeszcze działa, ale wożenie produktu z Polski do Chin czy do USA jest drogie. A jeśli chcemy konkurować ceną i czasem dostawy, to musimy produkować lokalnie. To daje szybkość, elastyczność, możliwość realizacji indywidualnych zamówień bez wielotygodniowego oczekiwania. I, co najważniejsze, pozwala wygrywać cenowo.

Pierwsze doświadczenia zdobywaliśmy w Ukrainie. Pod koniec lat 90. i na początku 2000. Rosja była dla nas dużym rynkiem. W pewnym momencie wprowadzono embargo na produkty pochodzenia roślinnego i, o dziwo, drewniane okna dachowe zostały nim objęte. Otworzyliśmy więc montownię we Lwowie. Elementy przyjeżdżały z Polski, na miejscu były składane i jako „made in Ukraine” trafiały do Rosji. To była legalna i skuteczna odpowiedź na barierę handlową. Podobnie było w Chinach. Weszliśmy tam nie po to, by produkować tanio i wysyłać do Europy, bo to nie miałoby sensu, lecz po to, by konkurować na rynku chińskim z chińskimi producentami.

W przypadku USA decyzję o uruchomieniu produkcji podjęliśmy ponad dwa lata temu, zanim powróciła administracja Trumpa i wprowadzono nowe cła. Otworzyliśmy fabrykę w czerwcu zeszłego roku, czyli dokładnie w momencie, gdy presja celna była największa. Czas zadziałał na naszą korzyść.

Produkujemy tam głównie schody strychowe, które świetnie przyjęły się na rynku amerykańskim, mimo silnej konkurencji z Meksyku. Nie było wyjścia, trzeba było być na miejscu. Dodatkowym impulsem były trudności inwestycyjne w Nowym Sączu,

gdzie napotkaliśmy bariery administracyjne przy rozbudowie hal. To także wpłynęło na decyzję.

Czy to patriotyzm gospodarczy? To raczej pragmatyzm oparty na długofalowym myśleniu. Polska pozostaje centrum decyzyjnym i technologicznym. Ale żeby być globalnym graczem, trzeba działać globalnie.

KB: A jak pan ocenia rosnącą regulację rynku, zwłaszcza w kontekście polityki klimatycznej Unii Europejskiej? To wymogi i obciążenia czy również szanse?

JK: Idea jest piękna: domy energooszczędne, neutralne klimatycznie, komfortowe, zdrowe. Jesteśmy za. Chcemy mieszkać w ciepłych domach, płacić mniej za ogrzewanie, emitować mniej CO₂.

Problem zaczyna się przy kosztach i konkurencyjności. Polityka klimatyczna wymusza stosowanie coraz bardziej zaawansowanych technologii, szczelniejszych systemów, lepszych materiałów. To podnosi cenę produktu i koszt budowy domu. Owszem, obniża koszty eksploatacji w przyszłości, ale próg wejścia rośnie.

Największym wyzwaniem jest konkurencja spoza Unii. Producent z Chin, Turcji czy Ukrainy nie mają tak restrykcyjnych norm, tak wysokich kosztów energii, nie obowiązują ich liczne certyfikaty. Dzięki temu ich produkty są tańsze i coraz śmielej wchodzi na nasz rynek. Europa musi uważać, by w imię ambitnych celów nie utracić przewagi przemysłowej.

KB: Na koniec kwestia systemowa. Prezes Florek często mówi o potrzebie wsparcia przedsiębiorczości i budowy kapitału społecznego. Czy widzi pan dziś realne oznaki dialogu między biznesem a państwem?

JK: Prezes Florek jest wizjonerem, ale też ideowcem. Z tego zrodziła się działalność fundacji Pomyśl o Przyszłości, skoncentrowanej na budowie kapitału społecznego. Chodzi o zrozumienie, że urzędnik – czy to prezydent miasta, czy pracownik skarbowki – nie jest wyłącznie strażnikiem przepisów. Może być integratorem, inspiratorem rozwoju gospodarczego. Kapitał społeczny to świadomość, że wspólne działanie przynosi wspólne korzyści. Widzimy pewne pozytywne sygnały. Badania pokazują, że Polacy coraz chętniej wybierają krajowe produkty, rozumiejąc, że pieniądź zostaje w kraju, buduje drogi, szkoły, ochronę zdrowia.

Prezes jest również współzałożycielem Rady Polskich Przedsiębiorców Globalnych przy Prezydencie RP – ciała doradczego, które ma reagować na niekorzystne regulacje i zabiegać o warunki sprzyjające rodzimym firmom działającym globalnie. Chodzi o to, by Polska nie była wyłącznie rynkiem zbytu czy zapleczem produkcyjnym, ale krajem decyzyjnym.

Idea musi poprzedzać działanie. Wizja musi wzbudzać entuzjazm współpracowników, liderów, partnerów. A potem trzeba ją przekuć w konkret: inwestycje, miejsca pracy, rozwój. Bo ostatecznie chodzi o coś więcej niż o okno czy fabrykę. Chodzi o poziom życia w Polsce.

Najpierw krach, a później całkowita zmiana systemu

- Świat finansów przyspieszył, ale równocześnie stał się nieprzewidywalny jak nigdy wcześniej. Jedną z przyczyn jest geopolityka.

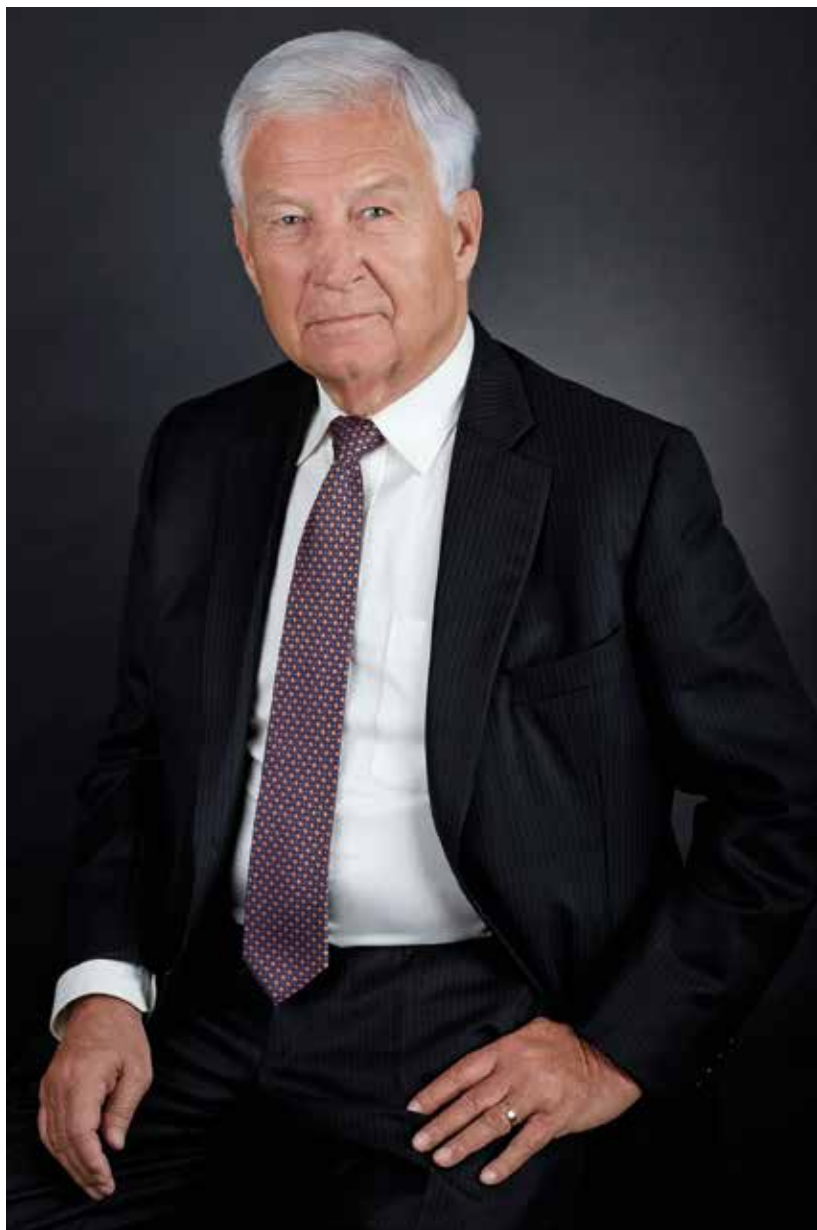
- Jeśli praca w obecnym sensie zniknie, to wchodzimy w logikę „każdemu według potrzeb”, czyli w gruncie rzeczy komunizmu.

- Świat bez pieniądza oznaczałby powrót do barteru, a to jest po prostu niewydolne w nowoczesnej gospodarce. Pieniądz zostanie z nami, ale będzie coraz bardziej cyfrowy.

- Wchodzimy w epokę, w której na giełdach ścierają się nie tyle inwestorzy, ile algorytmy: amerykańskie, chińskie, należące do największych instytucji – jak Goldman Sachs czy BlackRock – oraz całych ekosystemów funduszy inwestycyjnych.

- Polska wchodzi na ścieżkę, którą wcześniej przeszła Grecja. Mechanizm jest prosty: rosnące transfery socjalne, polityczna konkurencja na obietnice, a teraz dodatkowo – ogromne wydatki zbrojeniowe. Dług rośnie szybciej, niż chcielibyśmy przyznać.

Z **Piotrem Kuczyńskim** rozmawia Kamil Broszko.



© NATALIA ORLOW

Piotr Kuczyński – analityk, inwestor, popularyzator wiedzy o gospodarce i rynku kapitałowym. Absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej (1973 r.). W latach 1973–1981 pracował w ZMP „Mera-Błonie”, gdzie kierował zespołem, który skonstruował pierwszy polski mikrokomputer (MERA-200) oparty na mikroprocesorze. W latach 1980–1981 działacz NSZZ „Solidarność”. Wyrzucony za to z zakładu w stanie wojennym (1982 r.). W latach 1982–1987 dyrektor firmy polonijnej produkującej mikrokomputer IMP 85. Od 1993 do 2001 r. inwestor giełdowy i analityk (od 2002 r. przede wszystkim analityk). Od grudnia 2004 r. w sektorze finansowym, od 2006 r. (z przerwą) główny analityk Domu Inwestycyjnego Xelion. Czołowy medialny ekspert i komentator zagadnień związanych z gospodarką, inwestowaniem, rynkiem kapitałowym. Współtwórca i prowadzący cykliczny podcast „Inwestycyjne czwartki Xelion”.

Kamil Broszko: Na początku chciałbym zapytać o ogólną i praktyczną prognozę dla polskiej gospodarki – taką, z której będzie mógł skorzystać menedżer marketingu, prezes, właściciel małej manufaktury, ale także statystyczny Polak. Wszak kondycja gospodarcza kraju dotyczy nas wszystkich.

Piotr Kuczyński: Taką prognozę podzieliłbym na trzy obszary. Pierwszy to czysta gospodarka: przemysł, usługi, realna aktywność ekonomiczna. Drugi to geopolityka. Trzeci – sztuczna inteligencja, która przestaje być abstrakcją, a zaczyna być czynnikiem systemowym.

Jeśli chodzi o gospodarkę, rok 2026 będzie w Polsce w dużej mierze „napędzany z zewnątrz”. Mamy KPO – środki, które trzeba wydać do końca roku – co oznacza silny impuls inwestycyjny. Do tego dochodzi europejski komponent zbrojeniowy SAFE. Formalnie dotyczy obronności, ale w praktyce stymuluje szeroki wachlarz branż.

To są dwa wyraźne „uderzenia popytowe”, a ich oddziaływanie widać choćby na Giełdzie Papierów Wartościowych. W momentach globalnych napięć, takich jak niedawne wydarzenia wokół Iranu, polski rynek zachowywał się zaskakująco stabilnie. Inwestorzy najwyraźniej dyskontują stabilizujący wpływ wspomnianych dwóch czynników na gospodarkę. Jednak – i to jest kluczowe – każdy „dopalacz” ma swoją charakterystykę czasową. One się w dużej mierze „wypalą” w tym roku. A to oznacza, że rok 2027 może być znacznie trudniejszy. Jeśli patrzeć w perspektywie półtorarocznej, zaczynają się pojawiać uzasadnione obawy.

KB: Czyli krótkoterminowy optymizm, średnioterminowa niepewność?

PK: Właśnie tak. I tutaj wchodzi drugi obszar – geopolityka. Do wyborów do Kongresu w Stanach Zjednoczonych zostało kilka miesięcy. Sytuacja polityczna jest napięta, a perspektywy dla Republikanów – słabe. W tym kontekście działania Donalda Trumpa, między innymi atak na Iran, interpretuję jako próbę przesterowania agendy politycznej. To jest klasyczny czarny łabędź – zdarzenie trudne do przewidzenia, o dużych konsekwencjach. Problem polega na tym, że takich zdarzeń może być więcej. I że ich logika nie jest ekonomiczna, tylko psychologiczna. Wojna z Iranem miała być szybka. Tymczasem na razie nie widać jej wyraźnego końca, bo zawieszenie broni jest bardzo kruche i niepewne. A wypowiedzi Trumpa sugerują, że nawet on sam nie operuje precyzyjnymi ramami czasowymi. Poszedł za głosem Binjamina Netanjahu, premiera Izraela, który od 27 lat usiłował każdego prezydenta USA namówić na tę awanturę. Według mnie Trump zgodził się między innymi dlatego, że zależało mu na zasłonięciu sprawy akt Epsteina. I to akurat świetnie się udało, bo z amerykańskich sondaży

wynika, że zainteresowanie tymi aktami po rozpoczęciu wojny dramatycznie spadło.

Teraz jednak Trump na pewno chce szybko zakończyć tę wojnę, właśnie dlatego, żeby elektorat o niej zapomniał do czasu wyborów. To jest jedyna nasza nadzieja, bo jeżeli ona potrwa jeszcze parę miesięcy, to ceny ropy mogą przekroczyć 150 dolarów, a to uderzy w gospodarkę całego świata, może doprowadzić do stagflacji, czyli inflacji połączonej z niskim wzrostem gospodarczym, lub nawet recesji. W takim scenariuszu Polska oczywiście nie pozostanie odporna. Jesteśmy silnie powiązani ze strefą euro, zwłaszcza z Niemcami. Globalne spowolnienie przenosi się do nas niemal automatycznie.

Natomiast przewidywania geopolityczne są teraz utrudnione, wymagają obecnie psychologa, jeżeli nie psychiatry – znawcy umysłu prezydenta Trumpa. Niestety, trudno przewidzieć jego decyzje. Wiem, że do czasu wyborów w listopadzie wiele rzeczy może się jeszcze wydarzyć. Na pewno nastąpi próba przejścia Kuby. Pytanie, w jaki sposób. Nie wiem, czy zapomniał o Grenlandii, bo bardzo chciałby ją włączyć do Stanów Zjednoczonych. Reasumując: czekają nas jeszcze trudne do przewidzenia zwroty akcji, i to mnie martwi.

Potencjalny obszar ryzyka to także zmiany w Unii Europejskiej. Tu nie brakuje tematów, o których mówi się z nadmierną ostrożnością. Zbyt szybkie wejście Ukrainy do Unii Europejskiej – podkreślam: zbyt szybkie, a nie samo wejście – może mieć bardzo poważne konsekwencje polityczne w Polsce. A mianowicie może być autostradą do polexitu. Kluczowe będą tania siła robocza i silne rolnictwo oraz to, że Polska będzie już płatnikiem netto, co z pewnością siły antyukraińskie wykorzystają. Narracje polityczne wokół tego tematu są dziś bardzo uproszczone, momentami wręcz życzeniowe. Słyszę na przykład ludzi z PSL, którzy mówią, że u nas trzeba budować zakłady przetwórstwa dla ukraińskiej produkcji. To są mrzonki. Można przypuszczać, że miliardy dolarów i euro będą tam szły na budowę fabryk, w których Ukraińcy sami sobie wszystko przetworzą. W tym tkwi duże niebezpieczeństwo. Jednak niewiele się o tym mówi, bo jest to niepoprawne politycznie.

KB: A trzeci obszar, czyli sztuczna inteligencja?

PK: Tu mamy do czynienia z fundamentalnym sporem interpretacyjnym. Jedni uważają, że AI zwiększy produktywność i podniesie dobrobyt. Drudzy – i do tej grupy się zaliczam – że bardzo mocno uderzy w rynek pracy. Trzeci mówią uczciwie: nie wiemy. Polecam książkę „Nadchodząca fala” Mustafy Suleymana, prezesa Microsoft AI. To nie jest futurologia na dekady, lecz prognoza na najbliższe kilka lat. Suleyman twierdzi, że w ciągu 12–18 miesięcy większość pracy biurowej może zostać zautomatyzowana.



Mówimy o czymś, co już się dzieje. Pierwsze sygnały są widoczne: masowe zwolnienia w dużych firmach technologicznych, restrukturyzacje w sektorze fintech. To nie są pojedyncze przypadki, a trend. W Polsce wciąż nie odczuwamy go w pełni. Sprzyja temu komfort peryferyjności – przekonanie, że nas to jeszcze nie dotyczy. To jednak złudzenie. Zmiana nadejdzie, raczej falą niż jednym uderzeniem.

A wraz z tym pojawią się napięcia społeczne: spadek siły nabywczej, frustracja, wzrost poparcia dla ruchów populistycznych. Jeśli dwie trzecie gospodarki opiera się na popycie wewnętrznym, to spadek dochodów gospodarstw domowych staje się problemem systemowym.

KB: Wspomniał pan wcześniej, że bogaci będą jeszcze bogatsi. Rozumiem, że to w pewnej mierze są też ci, którzy dysponują najwyższej jakości technologią związaną ze sztuczną inteligencją. Natomiast wieszczą się zbiednienie szerokiego środka, na czele z tzw. białymi kołnierzykami.

Jak to rozumieć w kategoriach gospodarczych, skoro to właśnie bogacący się szeroki środek był źródłem wzrostu majątków najbogatszych?

PK: Tak, to bardzo trafne pytanie – prędzej czy później musi dojść do jakiegoś przełomu. Nie wiem, czy właściwym słowem jest tu „rewolucja”, czy raczej „krach”, ale będzie musiało się wydarzyć coś, co doprowadzi do zasadniczej zmiany systemu. Mówi się dziś coraz częściej o bezwarunkowym dochodzie podstawowym czy podobnych rozwiązaniach, o jakiejś instytucji, którą dopiero trzeba będzie wymyślić i wprowadzić w życie.

Rzeczywiście, maszyny będą zastępować ludzi, całe grupy społeczne pozostaną bez pracy, więc pojawia się banalne, ale nieuchronne pytanie: kto będzie kupował te wszystkie dobra i usługi, jeśli ludzie nie będą mieli z czego żyć? Nieprzypadkowo pojawiają się koncepcje opodatkowania robotów, wiele lat temu mówił o tym Bill Gates. W istocie chodzi o redystrybucję zysków z automatyzacji. Bo one będą się koncentrować w rękach nielicznych. Potrzeba jednak zmiany systemowej. Ten problem musi uderzyć we właścicieli kapitału i w polityków, musi ich zmusić do działania, które nie będzie tylko kosmetyką.

Nie będę udawał, że mam gotową receptę. Wiem tylko tyle – i mówię o tym od lat – że system musi się zmienić. Od lat 80. ubiegłego wieku żyjemy w czymś, co nazywam *interregnum*. Jeden porządek właśnie się kończy, drugi dopiero zaczyna się gdzieś na horyzoncie zarysowywać. Przyszło nam żyć dokładnie w środku tej przemiany.

Prof. Grzegorz Kołodko napisał książkę „Błądzący świat”, w której pokazuje podobne zagubienie globalnego systemu. O to właśnie chodzi: świat błądzi, bo stary model się wyczerpał, a nowy wciąż nie nabrał kształtów. Od lat Martin Wolf, główny komentator ekonomiczny „Financial Times”, uparcie pokazuje pęknięcia w konstrukcji współczesnego kapitalizmu. Wydał także znakomitą książkę „Kryzys demokratycznego kapitalizmu”, w której formułuje diagnozę bardzo bliską mojej. Natomiast rozdziały, w których autor proponuje konkretne terapie, przypominają mi raczej piękną bajkę dla grzecznych dzieci niż realistyczny plan naprawy. Nie dlatego, że brakuje mu dobrej woli, lecz dlatego, że nikt tak naprawdę nie wie, jak przeprowadzić tę operację na otwartym sercu systemu.

KB: Jest też inna książka – Aarona Bastaniego pt. „W pełni zautomatyzowany luksusowy komunizm”. Czy pana zdaniem tak może wyglądać owa porewolucyjna przyszłość?

PK: Wie pan, różne rzeczy można sobie wyobrazić. Bo jeśli praca w obecnym sensie zniknie, to rzeczywiście wchodzimy w logikę „każdemu według potrzeb”, czyli w gruncie rzeczy komunizmu. Mówię to z pewnym dystansem, bo sam nie potrafię sobie wyobrazić, jak miałyby to wyglądać w praktyce.

Spójrzmy na postęp w dziedzinie robotów humanoidalnych, zwłaszcza w Chinach. Z opracowań, które czytałem, wynika, że Europa i Stany Zjednoczone w tej dziedzinie już nie nadążą. Możemy co najwyżej specjalizować się w oprogramowaniu, ale jeśli chodzi

o zdolności manualne i inne typowo ludzkie sprawności, wyścig jest najpewniej przegrany. Pojawiają się informacje – a być może to już się dzieje – że cała granica chińsko-wietnamska ma zostać obsadzona robotami kontrolującymi ruch paszportowy i logistyczny.

I teraz proszę sobie wyobrazić coś, co ma pojemność pamięci setki tysięcy razy większą niż pojedynczy człowiek, dysponuje niemal pełną wiedzą, potrafi wykonać większość zadań i ma do tego ludzką sprawność manualną. W takiej sytuacji po co ludziom z kapitałem pracownik, skoro mają do dyspozycji darmową, pracującą bez przerwy sztuczną inteligencję, która nie domaga się podwyżek ani urlopów?

Oczywiście wraz z tym pojawią się nowe problemy. W którymś momencie sztuczna inteligencja zacznie kształtować nasze decyzje w sposób dla nas niewygodny. Ale to już wchodzi w obszar fantastyki, zostawmy więc na boku wizje buntu maszyn. Ważniejsze jest to, że musimy myśleć o realnej sytuacji, która nastąpi po szerokim wdrożeniu robotyzacji i AI, nie za pół wieku, tylko w najbliższych latach. Mamy rok 2026, w ciągu pięciu–sześciu lat

Giełda będzie,
a właściwie już
jest, areną
walk sztucznych
inteligencji.



z dużym prawdopodobieństwem zobaczymy pierwsze naprawdę głębokie skutki tej zmiany.

KB: Zejdźmy zatem na poziom krajowego rynku pracy.

Mimo napływu środków inwestycyjnych i jeszcze relatywnie ograniczonego wpływu AI mamy rosnące bezrobocie.

Ja pan to tłumaczy?

PK: Z zastrzeżeniem, że nie jestem specjalistą od rynku pracy, mogę omówić kilka widocznych czynników. Po pierwsze, na wyniki całego rynku pracy wpływ mają duże redukcje zatrudnienia w sektorze publicznym, w szczególności w Poczcie Polskiej – to są dziesiątki tysięcy miejsc pracy. Nie bez znaczenia są również zmiany metodologiczne w liczeniu bezrobocia. One oczywiście nie tłumaczą trendu w sposób kompletny, ale mają znaczenie. I wreszcie po trzecie: strukturalne problemy, czyli bezrobocie młodych i osób 50+. Młodzi tracą dostęp do prostych stanowisk, które są automatyzowane. Starsi z kolei nie są wystarczająco aktywowani, choć w innych krajach – choćby w USA czy Japonii – ich doświadczenie jest wykorzystywane znacznie lepiej.

Ale powtórzę: to są kwestie wtórne wobec tego, co nadchodzi. Największym ryzykiem jest to, że społeczeństwo nie jest przygotowywane na skalę zmian związanych ze sztuczną inteligencją. Media i politycy uspokajają, a to oznacza, że kiedy zmiana przyjdzie – a przyjdzie – będzie szokiem. I to właśnie jest, w mojej ocenie, najbardziej niepokojące.

KB: A czy wyobraża pan sobie świat, w którym pieniądź – w tej formie i roli, jaką znamy od stuleci, z całym jego ciężarem symbolicznym i gospodarczym – przestaje odgrywać swoją dotychczasową rolę?

PK: Wiem, że wiele osób, zwłaszcza w kontekście kryptowalut, snuje takie scenariusze. Że oto pojawi się alternatywa dla pieniądza emitowanego przez banki centralne i system zostanie zdecentralizowany. Ja w to nie wierzę.

Tu akurat podział jest bardzo wyraźny, wręcz zero-jedynkowy. Jedni mówią, że bitcoin to „nowe złoto”, przyszłość systemu finansowego. Drudzy – i ja się do nich zaliczam – twierdzą, że bitcoin i jemu podobne aktywa są fundamentalnie warte zero. I to nie jest tylko moja opinia, podobnie wypowiadali się nobliści, choćby Joseph Stiglitz czy Paul Krugman.

Dlaczego zero? Bo to jest, upraszczając, szyfr. Zapis kryptograficzny, za którym nie stoi żadna realna gospodarka. Za złotym stoi państwo i jego zdolność produkcyjna, za dolarem – gospodarka amerykańska, za euro – strefa euro. A co stoi za bitcoinem? Nic. Dziś jego wartość wynika z wiary, z tego, że ktoś inny będzie chciał zapłacić więcej. To jest, w pewnym sensie, handel wiatrem. A proszę teraz wyobrazić sobie moment, w którym komputery kwan-

towe staną się operacyjne na skalę masową. Będzie to tak zwany Q-Day. Dziś złamanie zabezpieczeń kryptograficznych zajęłoby, według różnych szacunków, setki tysięcy lat. Ale jeśli skróci się do minut, wtedy okaże się, że król jest nagi.

Świat bez pieniądza oznaczałby powrót do barteru, a to jest po prostu niewydolne w nowoczesnej gospodarce. Pieniądz zostanie z nami, ale będzie się zmieniał. Będzie coraz bardziej cyfrowy – to jest nieuniknione. Ale to nie będzie anonimowy kod, tylko cyfrowe wersje istniejących walut: dolara, euro, juana, emitowane i kontrolowane przez banki centralne. Państwo nie odda tej kompetencji.

KB: To prowadzi do pytania bardzo praktycznego

– o sens inwestowania, czyli obszar, którym zajmuje się pan zawodowo. Wyobraźmy sobie kogoś około czterdziestki, kto myśli w sposób klasyczny, czyli spokojnie, długoterminowo, a jego celem jest poprawa jakości życia na emeryturze. Przez dekady – powiedzmy, że od 60 lat – takie podejście uchodziło za racjonalne i skuteczne, bo długoterminowo największe indeksy rosną. Czy w obecnych turbulentnych warunkach nadal rekomendowałby pan tę samą strategię?

PK: Zdecydowanie tak, z jednym zastrzeżeniem: kluczowa jest dywersyfikacja. Człowiek około czterdziestki często zaczyna mieć nadwyżki finansowe, czyli coś, co można odłożyć. I to jest moment, w którym warto zacząć myśleć strategicznie. Nie powiem, w co dokładnie inwestować, ale mogę powiedzieć, jak patrzę na ryzyko.

Po pierwsze, nie należy wkładać wszystkiego do jednego koszyka. To stara zasada, ale wciąż aktualna. Po drugie, warto mieć część majątku w aktywach „twardych”, jak nieruchomości czy złoto. Od lat powtarzałem klientom: 10–15 proc. portfela w fizycznym złocie. Nie w kontraktach, nie w papierze – fizycznie. Dlaczego? Bo w sytuacjach skrajnych – kryzysach systemowych, o których rozmawialiśmy wcześniej – złota po prostu nie da się kupić. I wtedy jego wartość przestaje być czysto finansowa, a staje się egzystencjalna. Zresztą, patrząc historycznie, złoto kupowane kilkanaście lat temu po około 1,1 tys. dolarów za uncję dziś jest warte wielokrotnie więcej. Ale to nie jest główny powód, żeby je mieć. Ono jest polisą na czarną godzinę.

KB: A klasyczne inwestycje kapitałowe, czyli akcje?

PK: Tak, ale z dużą świadomością ryzyka. W długim terminie akcje rzeczywiście przynosiły zyski, od lat 80. to się potwierdza. Tylko że „długi termin” bywa bardzo długi. Proszę spojrzeć na Japonię. Szczyt indeksu Nikkei przypadł na rok 1991. Powrót do tego poziomu nastąpił w 2025 r. Trzydzieści cztery lata. Kto jest w stanie tyle czekać? To jest zasadniczy problem: teoria mówi



jedno, psychologia inwestora – drugie. Większość ludzi nie wytrzymuje spadków rzędu 30 proc. Sprzedają w najgorszym możliwym momencie i zamykają strategię.

Warren Buffett, legendarny inwestor, który odszedł na emeryturę w grudniu 2025 r. w wieku 96 lat, może sobie na to pozwolić, bo ma czas, kapitał i odporność psychiczną. Ale to jest wyjątek, nie reguła. Dlatego jestem za inwestowaniem w akcje, jednak powinny stanowić tylko część portfela. Uzupełnieniem mogą być fundusze inwestycyjne, a dla osób starszych – obligacje skarbowe, zwłaszcza indeksowane inflacją. One może nie dają spektakularnych zysków, ale chronią kapitał.

KB: A co z młodszymi pokoleniami? Często słyszy się, że przyszłe emerytury będą relatywnie niskie.

PK: To nie jest kwestia złej woli państwa, tylko struktury rynku pracy. Coraz więcej osób pracuje na umowach, które nie generują pełnych składek. Efekt jest prosty: niska stopa zastąpienia, czasem na poziomie dwudziestu kilku procent. To oznacza realne ryzyko ubóstwa. Dlatego tak ważne jest, żeby zacząć myśleć o zabezpieczeniu odpowiednio wcześniej. Trzydziestka, czterdziestka – to jest dobry moment. Potem może być już za późno, żeby nadrobić.

Zresztą znam to z własnego doświadczenia. Kiedy miałem 40 lat, to jeszcze nie myślałem o emeryturze, a moja żona szukała wszystkich dokumentów o zatrudnieniu sprzed 1999 r., bo to był istotny tak zwany kapitał początkowy do wyliczenia emerytury. Dopiero później okazało się, że to miało kluczowe znaczenie dla mojej emerytury.

KB: Czyli mimo całej tej niepewności podstawowa zasada pozostaje niezmienna: dywersyfikować i myśleć długoterminowo?

PK: Tak, z jednym dodatkiem: dostosować strategię do wieku. Młodszy inwestor może pozwolić sobie na większe ryzyko, bo nawet jeśli straci, ma czas, żeby odrobić. Starszy – już niekoniecznie. Ja, mając 76 lat, wiem, że strata kapitału byłaby trudna do odrobienia, czasu może nie wystarczyć. I to jest być może najprostsza, ale też najważniejsza reguła: inwestowanie zawsze powinno być funkcją czasu, który mamy przed sobą.

KB: Dopytam jeszcze o rynek akcji. Czy nie jest tak, że żyjemy dziś w czasach, które czynią go zasadniczo bardziej nieprzewidywalnym niż kiedykolwiek wcześniej? Mam na myśli choćby wejście technologii kwantowych i sztucznej inteligencji w obszar inwestowania. O inwestowaniu

automatycznym słyszę od ponad 10 lat, ale teraz – jak się wydaje – wchodzimy na zupełnie inny poziom zjawiska. Czy w starciu z systemami o niemal nieograniczonej mocy obliczeniowej i nieograniczonym dostępie do informacji inwestor indywidualny nie jest po prostu bez szans?

PK: Niewątpliwie jest bez szans. Już dobre 10 lat temu można było przeczytać, że około 97 proc. obrotu na Wall Street generują maszyny, nie ludzie. To nie jest przyszłość, ale teraźniejszość.

W gruncie rzeczy wchodzimy w epokę, w której na giełdach ścierają się nie tyle inwestorzy, ile algorytmy: amerykańskie, chińskie, te należące do największych instytucji – jak Goldman Sachs czy BlackRock – oraz całych ekosystemów funduszy inwestycyjnych. Giełda będzie, a właściwie już jest, areną walk sztucznych inteligencji.

Indywidualny inwestor? Musiałby mieć nie tyle wiedzę, ile szczęście – i to szczęście z gatunku rzadkich zdarzeń statystycznych. Racjonalną alternatywą pozostają fundusze inwestycyjne, bo to one będą korzystać z najnowszych narzędzi, z całej infrastruktury analitycznej.

Dla pojedynczego człowieka to świat, który staje się zbyt szybki, zbyt złożony. A jednocześnie – i mówię to bez ironii – to jest fascynujące. Naprawdę fascynujące. Otwiera się przed nami rzeczywistość, której do końca jeszcze nie rozumiemy.

Kilkanaście lat temu Robert Harris, pisarz znany raczej z historycznych narracji, napisał powieść „Indeks strachu”. Jedyną, o ile pamiętam, tak wyraźnie osadzoną w świecie finansów. I tam, z pewną literacką intuicją, uchwycił coś, co dziś zaczyna się materializować: zdolność sztucznej inteligencji do destabilizowania

rynku, który nie jest na nią przygotowany.

Uważam, że
bitcoin i jemu
podobne aktywa
są fundamentalnie
warte zero.

KB: Pamiętam tę książkę. Czytałem ją jako sprawną fantastykę, dziś stała się rzeczywistością. Natomiast jest nią także zupełnie ziemski, tradycyjny poziom, czyli takie wskaźniki, jak deficyt sektora publicznego czy dług publiczny – klasyczne czynniki mówiące o kondycji państwa. Oba parametry systematycznie się pogarszają. Czy powinniśmy w tym upatrywać zagrożenie?

PK: Nie jestem optymistą. I mówię to z pełną odpowiedzialnością. Niedawno uczestniczyłem w panelu na konferencji „Niedomknięte sejfy”, organizowanej przez prof. Kołodkę. W pewnym momencie doszło do sporu, przypomniałem bowiem dane z „Debt Sustainability Monitor”, czyli specjalnej publikacji, która pokazuje, jak Komisja Europejska widzi zadłużenie poszczególnych krajów Unii Europejskiej. Wynika z niej jasno, że w perspektywie dekady polski dług publiczny może sięgnąć 107 proc. PKB. Dziś, według metodologii Eurostatu, jesteśmy na poziomie około 67 proc. Ale

to są dwa różne obrazy tej samej rzeczywistości. My liczymy „kreatywnie” i część zobowiązań wypychamy poza oficjalny sektor finansów publicznych, tak by nie naruszyć konstytucyjnego progu 60 proc. To zabieg księgowy, nie ekonomiczny.

KB: Czyli, mówiąc wprost, jedynie siebie uspokajamy?

PK: Raczej opowiadamy sobie wygodną historię. Komisja Europejska zna tę historię, ale ma też własne modele, własnych analityków. I z tych modeli wynika coś znacznie mniej komfortowego. Ja od 2015 r. powtarzam, że Polska wchodzi na ścieżkę, którą wcześniej przeszła Grecja. Mechanizm jest prosty: rosnące transfery socjalne, polityczna konkurencja na obietnice, a teraz dodatkowo ogromne wydatki zbrojeniowe. Dług rośnie szybciej, niż chcielibyśmy przyznać. Historia Grecji jest tutaj pouczająca aż do bólu: od 25 proc. PKB w latach 70. do 100 proc. ćwierć wieku później. A potem – kryzys.

KB: Jednak politycy zdają się tym nie przejmować.

PK: Bo polityka działa w cyklach czteroletnich, a dług – w dekadach. „Byle nie w mojej kadencji” – to jest niepisana zasada. Problem polega na tym, że skala zadłużenia rośnie globalnie. Średnie zadłużenie w krajach Unii Europejskiej wynosi dziś około 80 proc. PKB, więc nasze 67 proc. wygląda jeszcze całkiem nieźle i nikt nie bije na alarm. Do czasu. Nie potrafię powiedzieć, czy przełom nastąpi za dwa, pięć, siedem czy dziesięć lat. To są rynki finansowe, tu wiele rzeczy jest nieobliczalnych, ale uważam, że czeka nas globalny kryzys zadłużeniowy. I być może to właśnie on uruchomi to, o czym mówiliśmy wcześniej – jakąś rewolucję, głęboką zmianę systemową.

Pierwsze symptomy widziałem we wrześniu zeszłego roku, kiedy rentowności obligacji w Stanach Zjednoczonych – jeszcze przed wojną na Bliskim Wschodzie, bo to osobna historia – zaczęły bić rekordy i zbliżyły się znowu do 5 proc. Wtedy Reuters i Bloomberg publikowały teksty w tonie mocno zaniepokojonym, że świat zadłuża się w sposób dramatyczny, że MFW raportuje kolosalny poziom globalnego długu – nie będę teraz zgadywał liczb, ale były to kwoty naprawdę ogromne – i że politycy doskonale wiedzą, co się dzieje, tylko nic z tym nie robią. I że to się źle skończy. Potem Rezerwa Federalna zaczęła szybciej obniżać stopy procentowe, Europejski Bank Centralny zrobił to samo i wszystko się uspokoiło. Ale to jest spokój pozorny.

KB: Czyli problem wróci?

PK: W Stanach Zjednoczonych dług publiczny sięga dziś, w naszych kategoriach, około 124–125 proc. PKB, czyli wynosi około 38 bilionów dolarów, mówiąc naszym znaczeniem słowa „bilion”, nie Amerykanów, bo oni liczą inaczej. Jeżeli w perspektywie najbliższych 10–12 lat mają zbliżyć się do 156 proc. PKB, to w pewnym momencie ktoś zauważy, że to, co się drukuje, przestaje mieć realną wartość. Bo jeśli można bez końca emitować dług i finansować

go nowym pieniądzem, to co jest warte takie euro, taki dolar czy jakakolwiek inna waluta?

Kiedy rynki finansowe, analitycy zaczną reagować zbiorowo, wtedy zacznie się wyprzedaż obligacji. Rentowności wyskoczą pod sufit, a zadłużone państwa będą musiały wydawać gigantyczne kwoty na obsługę długu. Już teraz Polska płaci około 100 miliardów złotych rocznie tylko po to, żeby obsłużyć istniejące zadłużenie. W pewnym momencie może dojść do sytuacji, w której nic nas nie uratuje, ani kolejne cięcia, ani kosmetyczne reformy.

Zostaną w zasadzie dwa wyjścia. Albo masowe darowanie długów – wspólne stwierdzenie, że część zobowiązań po prostu spisujemy na straty – albo jakieś głębokie, systemowe przeobrażenie, którego dziś nie potrafię sobie nawet wyobrazić. Od tego są profesorowie ekonomii, którzy próbują projektować, co mogłoby powstać w miejsce obecnego porządku. Coś się na pewno pojawi, pytanie tylko, kiedy i jaką cenę przyjdzie za to zapłacić.

KB: Wracając na chwilę do praktyki inwestycyjnej: czy w takim otoczeniu obligacje skarbowe, zwłaszcza długoterminowe, pozostają bezpieczne?

PK: Tak, pod jednym warunkiem: że rozumiemy ich płynność. Obligacje detaliczne można przedterminowo wykupić, to nie jest instrument, który „zamyka” inwestora na 10 lat. W razie potrzeby można z nich wyjść stosunkowo szybko. Dopóki państwo nie bankrutuje, a w krótkim okresie nic na to nie wskazuje, są one bezpieczne. Kryzys, o którym mówimy, nie przychodzi z dnia na dzień. On się najpierw sygnalizuje.

KB: Na koniec – polityka. Przed nami rok wyborczy. Coraz częściej mówi się, że trzecią siłą polityczną, czyli kluczową dla koalicyjnych ustawień, mogą być ugrupowania bardzo wyraziste, by nie rzec – reprezentujące skrajne poglądy gospodarcze. Jak taka konfiguracja mogłaby wpłynąć na gospodarkę?

PK: Uważam, że wbrew pozorom nie ma powodów do snucia katastroficznych scenariuszy. Weźmy Konfederację. Nie jestem zwolennikiem tego ugrupowania z powodów czysto światopoglądowych. Nie widzę też u nas miejsca dla typowego leseferyzmu. Natomiast w wariancie współdziałania z Koalicją Obywatelską mogłoby to ugrupowanie wносить pewien element dyscyplinujący: sceptycyzm wobec nadmiernego rozdawnictwa. W koalicji mogłoby działać jak hamulec.

Z drugiej strony mamy lewicę – i nie mówię o partii Razem, która jest zawsze osobno, tylko o Nowej Lewicy, na czele z panem Czarzastym. Jej propozycje bywają kontrowersyjne, ale niektóre są racjonalne. Podatek katastralny od trzeciego mieszkania? To rozwiązanie, które mogłoby zwiększyć podaż na rynku nieruchomości.

Krótko mówiąc: niezależnie od konfiguracji nie spodziewam się gwałtownego zwrotu. Raczej kontynuacji z korektami. A największe ryzyka i tak leżą gdzie indziej – w globalnym systemie finansowym, nie w krajowej arytmetyce koalicyjnej.

SOLBET



ROK ZAŁOŻENIA
1951



solbet.pl



Beton komórkowy SOLBET
Tu zaczyna się dom



Polskie prawo kontra biznes

Adwokat o kulisach wymiaru sprawiedliwości

- Widzę przede wszystkim trzy branże, w których nawarstwiają się problemy: transport, budownictwo i drobną przedsiębiorczość – rzemieślników, usługodawców.
- Zamiast pokazywać dzieciom, że pieniądź ma swoją wartość, że trzeba umieć odłożyć, zaplanować wydatek, uczymy je, że karta to naturalne przedłużenie ręki, którą sięga się po wszystko natychmiast.
- Prawo w Polsce tworzą w dużej mierze socjologowie, nauczyciele, historycy – ludzie, którzy nie mają realnego doświadczenia w prowadzeniu firmy. To oni decydują, jak przedsiębiorca ma funkcjonować na rynku.
- Najpierw jest entuzjazm, rynek rośnie, programy publiczne wyglądają atrakcyjnie. Potem przychodzi twarda rzeczywistość: brak środków, opóźnione wypłaty, zmiana zasad w trakcie gry. Całe sektory zaczynają osuwać się w dół.
- Politycy działają emocjonalnie, pod konkretnego wyborcę, pod sondaż. Kształtują prawo nie dla dobra państwa, tylko dla dobra partii i najbliższego zaplecza.
- Bardzo bym chciał, żeby sędziowie nie byli w żaden sposób związani politycznymi barwami, tylko swoją przysięgą – zobowiązaniem, że będą orzekali zgodnie z prawem i własnym przekonaniem.

Z **Sebastianem Mikulewiczem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Jak z pana perspektywy – szefa kancelarii zajmującej się restrukturyzacjami i upadłościami – wygląda dziś kondycja polskich firm?

Sebastian Mikulewicz: Statystyki mówią, że w zeszłym roku ponad 400 firm ogłosiło upadłość, a ponad 5 tys. przeszło restrukturyzację, przy około 2 mln przedsiębiorców w ogóle. Paradoksalnie jednym z nielicznych dobrych sygnałów w tych danych jest to, że mamy więcej restrukturyzacji niż upadłości. To znaczy, że przedsiębiorcy wciąż gdzieś widzą światło w tunelu, próbują ratować biznes, a nie od razu go likwidować. To jest pierwszy, powiedziałyby, jaśniejszy punkt w tym obrazie.

Jeśli jednak zejdziemy z poziomu statystyki do codzienności, to obraz szybko się psuje. Mamy cały pakiet obciążeń dla transportu, mamy kolejne opłaty, rosnące koszty, droższe paliwo – przy pozornie niższym podatku VAT. Na papierze wygląda to tak, jakby było lżej, ale realnie przedsiębiorca często płaci więcej, bo może odliczyć na przykład 8 proc. zamiast 23 proc. Patrząc całościowo, z perspektywy spraw, które do nas trafiają, widzimy przede wszystkim trzy branże, w których nawarstwiają się problemy:

transport, budownictwo i drobną przedsiębiorczość – rzemieślników, usługodawców.

KB: Co to znaczy w praktyce dla tych trzech branż?

SM: Weźmy na przykład tych najmniejszych. Mali przedsiębiorcy, na przykład rzemieślnicy, nie mają żadnej pomocy systemowej. Mają za to rosnące podatki i składki. Ich wachlarz możliwości jest brutalnie prosty: mogą się zamknąć albo zbankrutować, często próbując jeszcze przed tym ratować się kolejnym kredytem.

Jako prawnicy zajmujący się restrukturyzacjami bardzo wyraźnie widzimy też inną rzecz: banki niezwykle chętnie rozdają kredyty obrotowe. To jest trochę taki narkotyk dla rynku. Przedsiębiorca może – to bierze. Pieniądź wchodzi do obrotu, on płaci tylko odsetki, czuje więc, że ma swobodę. A kapitał, te kilka czy kilkanaście milionów złotych, trzeba za trzy–cztery lata oddać. I wtedy zaczyna się dramat.

KB: Mówi pan o zjawisku masowym czy raczej o serii jednostkowych historii?



Sebastian Mikulewicz

– adwokat, ekspert prawa restrukturyzacyjnego i upadłościowego, współtwórca i współwłaściciel Kancelarii Mikulewicz Ostaszewski. Doświadczenie zawodowe w zakresie prawa gospodarczego zdobywał w międzynarodowych korporacjach prawnych, zajmował się m.in. licznymi postępowaniami upadłościowymi, bieżącą obsługą spółek handlowych oraz procesami sądowymi. Współpracował przy debiutach spółek giełdowych na GPW oraz New Connect. Reprezentuje klientów w toku postępowań upadłościowych, gospodarczych oraz cywilnych zarówno po stronie dłużnika, jak i wierzyciela. Członek Warszawskiej Izby Adwokackiej. Członek Rady Nadzorczej Bored Games SA z siedzibą w Warszawie. Fundator i obecnie Członek Rady Fundacji w Fundacji Walki z Wykluczeniem Finansowym i Pomocy Dłużnikom Od Nowa. Kancelaria Mikulewicz Ostaszewski jest laureatem 35. edycji Konkursu „Teraz Polska”.

SM: To jest zjawisko na tyle powtarzalne, że trudno mówić tylko o przypadkach. I widać tu też pewien podział – nie chcę wymieniać nazw, ale szczególnie aktywne są banki z kapitałem spoza Polski. Przyznają rolnikom kredyty obrotowe w wysokości 5–15 milionów złotych, oczywiście pod twarde zabezpieczenie, czyli nieruchomości, ziemię. I co się dzieje dalej? Ustawa formalnie zabrania sprzedaży ziemi podmiotom, które nie są rolnikami albo nie są polskimi firmami. Ale w praktyce te instytucje znajdują sobie boczną ścieżkę: przejmują nieruchomości przez egzekucję z zabezpieczeń, a potem odsprzedają wierzycielności lub działki funduszom, które są prawdziwymi beneficjentami całego mechanizmu.

KB: Czyli w sumie w polskiej gospodarce jest dobrze czy źle?

SM: Jeśli mam odpowiedzieć wprost: w gospodarce jest źle. I nie chodzi tylko o to, że upada więcej firm. Martwi mnie szczególnie to, co dzieje się z pokoleniem Z. Mamy dziś w Polsce najbardziej zadłużonych dwudziestolatków od 40 lat. Szacuje się, że

około 60 proc. osób w tym wieku nie jest w stanie samodzielnie obsługiwać swojego zadłużenia; muszą prosić rodziców, żeby ci spłacali ich zobowiązania. I to nie są długi na mieszkanie czy rozwój biznesu. To jest konsumpcja w najczystszej postaci: nowy telefon za sześć, siedem, osiem tysięcy złotych, który „trzeba mieć”, najnowsza gra, wakacje ze znajomymi. Pełna, beztroška konsumpcja na kredyt.

KB: Porównuje pan swoje pokolenie z obecnymi dwudziestolatkami?

SM: Oczywiście, trudno tego nie robić. Pamięta pan, jak my byliśmy młodzi? Odkładało się pieniądze. W szkołach były książeczki oszczędnościowe, do których wpłacało się drobne kwoty. Pieniądze z komunii oddawało się rodzicom i najczęściej nigdy ich już na oczy nie widziało, ale one gdzieś pracowały, odkładały się na coś konkretnego. Za to potem kupowało się rower, sprzęt, coś, co zostawało na lata. Dzisiaj pokolenie Z chce wszystko natychmiast, tu i teraz, najlepiej w najdroższej wersji. I zupełnie nie patrzy na konsekwencje finansowe za pięć czy dziesięć lat.

KB: To kwestia wychowania, edukacji, systemu?

SM: Wszystkiego naraz, ale system odgrywa tu ogromną rolę. W szkołach praktycznie nie uczy się ani oszczędzania, ani podstaw zarządzania pieniędzmi czy biznesem. A czasem wręcz robi się rzeczy odwrotne do pożądaných. Podam osobisty przykład. Mój syn ma 10 lat. Ostatnio jego wychowawczyni wpadła na – w jej odczuciu – świetny pomysł, by zaprosić pana z banku, który założy dzieciom karty bankowe. Dla nich to oczywiście frajda: plastik, aplikacja, „własne” pieniądze. Ja wtedy usiadłem z panią i spokojnie wyjaśniłem, czym się zawodowo zajmuję – oddłużaniem ludzi. I że w mojej ocenie uczenie dziesięciolatków, że normalne są posiadanie karty i możliwość zadłużania się, to jest prosta droga do powielenia problemów, z którymi dziś przychodzą do mnie dorośli.

Zamiast pokazywać dzieciom, że pieniądź ma swoją wartość, że trzeba umieć odłożyć, zaplanować wydatek, uczymy je, że karta to naturalne przedłużenie ręki, którą sięga się po wszystko natychmiast. Przecież na tym właśnie polega później dramat: na przekonaniu, że jakoś to będzie, a limit się sam spłaci.

KB: Wizja mocno pesymistyczna – i to na kilku poziomach. Zostaniemy jednak przy przedsiębiorcach i prawie, jego praktycznym działaniu. Czy można powiedzieć, że te negatywne zjawiska, o których pan wspominał, biorą się w jakiejś mierze stąd, że prawo jest nieprzejrzyste, skomplikowane, pisane nie dla obywatela czy firmy, lecz z jakichś innych motywów?

SM: Powiem to wprost, choć może zabrzmie ostro i ktoś się na mnie obrazi, ale takie są nasze spostrzeżenia z praktyki: prawo w Polsce tworzą w dużej mierze socjologowie, nauczyciele, historycy – ludzie, którzy zasiadają w Sejmie, ale często nie mają realnego doświadczenia w prowadzeniu firmy. To oni decydują, jak przedsiębiorca ma funkcjonować na rynku, co jest, z punktu widzenia biznesu, naprawdę dramatyczne. Często rozmawiam z politykami i bywa, że zderzam się ze ścianą elementarnej niewiedzy. Ostatnio jeden z posłów zapytał mnie, co to jest biała lista. Człowiek, który głosuje nad ustawami, stanowi prawo w imieniu wyborców, nie wie, czym jest podstawowe narzędzie, z którego codziennie musi korzystać przedsiębiorca. Prawo w Polsce bardzo często uchwalają się „na chwilę” – pod bieżące emocje społeczne, pod sondaże, pod konkretnego wyborcę. I widać w tym pewien powtarzalny cykl.

KB: To znaczy?

SM: Przez pierwsze dwa lata po wyborach praktycznie nie ma ustaw, które realnie coś poprawiają w życiu obywateli czy przedsiębiorców. Jest raczej dociskanie pasa: nowe obowiązki, regulacje, uszczelnianie, szukanie wpływów. Potem mamy pół roku, czasem rok, takiej względnej karencji, a później zaczyna się wielka fala pomocy. Na papierze: programy, tarcze, dopłaty, wsparcie dla

wszystkich. Problem w tym, że na te programy zazwyczaj nie ma zabezpieczonych pieniędzy.

Choćby program Czyste Powietrze. Od strony państwowej obsługiwał go konkretny fundusz. Dziś wiele firm, które wykonywały prace w jego ramach – montowały pompy ciepła, wymieniały piece, robiły termomodernizacje – zgłasza się do nas po pomoc. Fundusz nie ma środków, by regulować wobec nich płatności.

Efekt jest taki, że ci przedsiębiorcy nie są w stanie dokończyć inwestycji u klientów i wahają się, czy ogłaszać upadłość, czy próbować restrukturyzacji. Zaległości ze strony funduszu sięgają 11–12 milionów złotych w przypadku pojedynczej firmy. A fundusz odpowiada ze swadą, że pieniądze po prostu się skończyły.

Super, że te środki z KPO czy z różnych programów wpłynęły. Super, że Czyste Powietrze w ogóle ruszyło, bo faktycznie wiele osób ociepliło domy, wymieniło piece, a to jest inwestycja w przyszłość. Ale ten program nie kończy się dobrze dla przedsiębiorców. Firmy, które weszły w to na poważnie i oferowały usługi zwykłemu Kowalskiemu – bo to on był końcowym beneficjentem – za chwilę będą masowo upadały. I znowu będziemy mieli efekt domina: od większych graczy, przez średnich, po małe ekipy montażowe.

Mamy zatem powtarzalny wzór – najpierw jest entuzjazm, rynek rośnie, programy wyglądają atrakcyjnie. Potem przychodzi twarda rzeczywistość, czyli brak środków, opóźnione wypłaty, zmiana zasad w trakcie gry. I nagle okazuje się, że całe sektory zaczynają osuwać się w dół. Dlatego zgadzam się z panem: prawo stanowione jest „na chwilę”, bez refleksji długofalowej, bez rzetelnej oceny skutków i często bez merytorycznego przygotowania ludzi, którzy je uchwalają.

KB: A gdy rozmawia pan z politykami prywatnie, to czy pojawia się u nich choćby refleksja, że tej strony nie da się do końca przeciągać?

SM: Rozmawiamy dość regularnie. Mamy własny kanał na YouTube i sporo polityków do nas przychodzi. Części wywiadów w ogóle nie publikujemy, bo są zbyt polityczne, a my nie jesteśmy od robienia kampanii, nie chcemy promować konkretnych partii. Natomiast, co ciekawe, oni bardzo często zgadzają się z tym, co mówię. Tyle że to niewiele zmienia. Jeżeli w Sejmie mamy 40–60 posłów, którzy naprawdę widzą problem, a reszta patrzy tylko na słupki, to ci pierwsi pozostają w mniejszości.

Przed świętami składaliśmy sobie życzenia z politykami z lewej i prawej strony. I wszyscy – naprawdę wszyscy – przyznawali, że wiedzą, że jest źle. Ale za chwilę dodawali: „Idą wybory, trzeba będzie czymś wyborców kupić”. I tak to wygląda, każdy dużo obiecuje, potem przychodzi etap realizacji i obietnice się rozmywają. Albo kończy się na uchwaleniu ustawy, która świetnie wygląda w nagłówkach, ale brakuje pieniędzy na jej wykonanie – na realne wypłaty, na finansowanie.

Niedawno dowiedzieliśmy się, że od stycznia 2027 r. zostanie zlikwidowany ryczałt 8,5 proc. dla najmniejszych przedsiębiorców.

To jest coś, co dotychczas stanowiło dla wielu ludzi formę względnie przewidywalnego, prostego opodatkowania. Po zmianach, żeby utrzymać preferencyjny ryczałt, taki przedsiębiorca będzie musiał zatrudnić na pełen etat kolejnego pracownika. Tylko że mówimy o ludziach, którzy często pracują sami: artystach, drobnych usługodawcach, wolnych zawodach – w branżach o bardzo niskiej marży. Ryczałt był kiedyś liczony przez ustawodawcę na podstawie tego, jaka jest typowa marża w danej działalności i ile realnie taki przedsiębiorca jest w stanie oddać państwu. Jeżeli ktoś zarabia skromnie, ale stabilnie, to 8,5 proc. było jeszcze do udźwi-



gnięcia. Jeśli teraz nagle ryczałt wzrasta z 8,5 proc. do 15 proc., to proszę mi powiedzieć, kto się utrzyma. To nie jest myślenie o przedsiębiorcy, o rynku pracy, o kulturze czy mikrofirmach. To jest myślenie o tym, jak załatać dziurę budżetową, którą wcześniej wyprodukowano kolejnymi wyborczymi obietnicami.

KB: Chciałbym wrócić do jeszcze jednego dużego tematu, który przewija się w debacie publicznej ostatnich lat, mianowicie do kryzysu praworządności. Czy pan, jako praktyk, odczuwa jego skutki na sali sądowej, w instytucjach stosowania prawa?

SM: Nie chcę wchodzić w politykę jako taką. Mogę natomiast mówić jako adwokat, z punktu widzenia legislacji i funkcjonowania sądów. To, co zrobiła poprzednia władza – nazwijmy ją po imieniu: PiS – z systemem sprawiedliwości, i to, co obecna władza próbuje z tym systemem zrobić, to w gruncie rzeczy próba przeciągnięcia wymiaru sprawiedliwości na stronę swoich partii. To jest, z naszego punktu widzenia, bardzo złe. My nie stoimy po żadnej stronie sporu, my w tym systemie po prostu pracujemy. I widzimy, jak każda kolejna ekipa próbuje ustawić sądy pod siebie.

Jeżeli Sejm, wybrany przez społeczeństwo, uchwała ustawę, która określa zasady powoływania sędziów, to – na miłość boską – powinniśmy jako obywatele tej ustawy przestrzegać. Bo jeśli zaczniemy wybierać sobie, które prawo obowiązuje, a które nam się nie podoba, to pójdziemy w stronę anarchii. Jeżeli każdy obywatel, każda grupa zawodowa, każda partia zacznie mówić: „Tej ustawy nie uznaję, bo uważam ją za niepraworządną”, to za chwilę nie będziemy mieli żadnych gwarancji – ani pan, ani ja.

Ostatnie orzeczenia sądów europejskich idą w kierunku oceny tak zwanych neosędziów indywidualnie – nie ma jednej kategorii, jest konkretna osoba i okoliczności jej powołania. Ale proszę się postawić w sytuacji ludzi, których rozwód nagle staje pod znakiem zapytania, ponieważ sąd stwierdza, że nie może dokonać podziału majątku, bo kwestionowana jest ważność powołania sędziego.

KB: To już nie jest abstrakcyjna dyskusja o konstytucji, tylko czyjeś życie.

SM: Była sprawa, bodaj gdzieś na Mazurach, w której sąd stwierdził, że nie doszło skutecznie do rozwodu, więc nie można podzielić majątku. Ludzie żyją w przekonaniu, że są po rozwodzie, układają sobie życie, zakładają nowe związki, a nagle okazuje się, że formalnie nic nie jest pewne. Jeżeli prawo zostało uchwalone, to w mojej ocenie obowiązuje. Fakt, że politycy przerzucają się hasłami kryzysu praworządności, nie powinien wpływać na obywatela, na stosowanie prawa w sądach. Bo za chwilę może się okazać, że nowy rząd przyjmie inną ustawę, której z kolei ktoś inny nie będzie uznawał. A konsekwencje spadną na zwykłych ludzi.

KB: Czyli z pana perspektywy problemem jest raczej instrumentalne traktowanie systemu niż jego całkowita zapaść?

SM: Tak. Jestem bardzo daleki od stwierdzeń o „braku praworządności w kraju” w tym absolutnym sensie, jaki czasem wybrzmiewa w debacie. Prawo jest stanowione przez organy wybrane w danym państwie – czy nam się podoba ich skład, czy nie. Jeżeli nowa większość uważa, że poprzednie rozwiązania były złe, ma pełne prawo je zmienić w normalnym trybie legislacyjnym. Ale dopóki tego nie zrobi, dopóty stara ustawa – także ta dotycząca powoływania sędziów – po prostu obowiązuje. I, co znamienne,

mimo posiadania większości w Sejmie nikt jej dotąd w sposób zasadniczy nie zmienił.

KB: A sędziowie, przewodniczący wydziałów, dzielą pana opinię?

SM: Ilu sędziów, tyle opinii. Starzy sędziowie z reguły nie chcą się w to mieszać. Z młodszymi rozmawia się czasem na korytarzach i słyszy często podobną odpowiedź: „To jest polityka, to jest poza mną. Ja staram się orzekać według prawa i według norm, które mnie w tym sądzie wiążą”. Pytam czasem wprost, czy fakt, że przewodniczący jest kojarzony z jedną albo drugą partią, został powołany w określony sposób, naprawdę niczego nie zmienia. W odpowiedzi często słyszę: „Panie mecenasie, co z tego, kto go nominował? Ja jestem niezależnym sędzią i orzekam zgodnie z własnym sumieniem i wiedzą prawniczą”.

Bardzo bym chciał, żeby polskie sądownictwo tak właśnie wyglądało. Żeby sędziowie nie byli w żaden sposób związani politycznymi barwami, tylko swoją przysięgą – zobowiązaniem, że będą orzekali zgodnie z prawem i własnym przekonaniem.

KB: Wreszcie jakiś promyk nadziei, odrobina racjonalności w całym tym chaosie.

SM: Można w nieskończoność powtarzać, że ta czy inna ustawa jest „niepraworządna”, ale spójrzmy na fakty. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej nigdy wprost nie powiedział, że polski system jest jako całość niepraworządny. To przede wszystkim politycy wytykają sobie nawzajem brak praworządności, a potem ścigają się o to, kto ma więcej wpływów w Brukseli.

Ten, kto ma ich więcej, głośniejszy decyduje, co jest praworządne, a kto ma mniej – musi milczeć. Dla mnie czymś kuriozalnym jest też to, że zmienia się władza, nikt nie dotyka rzekomo niepraworządnych ustaw, a środki z KPO nagle zostają odblokowane. Czy to jest uczciwe wobec obywateli, że blokuje się fundusze przez dwa, trzy lata, żeby utrzymać nosa jednej partii, a kiedy dochodzi do władzy druga – natychmiast wszystko się odblokowuje? Przecież w tym czasie cierpią konkretni ludzie: przedsiębiorcy, zwykli mieszkańcy, samorządy. To oni płacą cenę za to, że dwóch czy trzech polityków gdzieś w gabinetach pokłóciło się o coś, czego przeciętny Kowalski nawet nie rozumie.

KB: Decyduje polityka.

SM: Niestety tak, polityka nami rządzi. Ale to już nie mój temat. Mam prostą zasadę, wyniesioną od świętej pamięci dziadka. Spędził dziewięć lat w Workucie za to, że był żołnierzem Armii Krajowej. Kiedy w czasie świąt ktoś zaczynał przy stole dyskusję o polityce, wstawał i mówił: „Pojeżdż do Workuty na dziewięć lat. Jak wrócisz, to porozmawiamy o polityce”. Mam własne poglądy, ale zawodowo jestem adwokatem, zajmuję się prawem restrukturyzacyjnym i upadłościowym, i uważam, że w tym jestem po prostu dobry. Politykę zostawiam politykom.



Sebastian Mikulewicz odbiera Godło „Teraz Polska” przyznane Kancelarii Mikulewicz Ostaszewski.

KB: Zapytam więc o inny rodzaj kryzysu – operacyjny. Od lat mówi się o przewlekłości postępowań: sprawy ciągną się latami, brakuje zasobów w sądach, procedury są coraz bardziej skomplikowane. Jak pan widzi ten rodzaj problemów, działając na pierwszej linii?

SM: W latach 90. Polska bardzo dużo czerpała z niemieckiego prawa – cywilnego i handlowego. I słusznie, bo to jest, w mojej ocenie, bardzo dobry, klarowny system. Tyle że przez ostatnie 20, 30 lat nasi rządzący tak go „udoskonalsi”, że dziś, gdyby Niemiec przeczytał polski kodeks cywilny czy gospodarczy, to prawdopodobnie nie wiedziałby, o co w ogóle chodzi. Zrobiliśmy nadpodaż przepisów, artykułów, regulacji – prawo puchnie, zamiast się upraszczać.

Jako adwokat, który na co dzień chodzi z klientami do sądów, widzę dwie osobne sfery: cywilną i karną. Zaczniemy od cywil-

nej. W niemieckim prawie funkcjonuje zasada, że sąd wyznacza termin rozprawy w określonym przedziale czasu, na przykład w ciągu pięciu dni roboczych. Wzywa świadków, przesłuchuje ich i w piątek albo w następnny poniedziałek ogłasza wyrok. Sprawa jest zamykana. Jeżeli świadek się nie stawia, dostaje 50 tys. euro grzywny. Proszę mi wierzyć, następnego dnia stawia się bez spóźnienia.

W Polsce wygląda to zupełnie inaczej. Sąd wyznacza rozprawę, ale zanim do niej dojdzie, mamy etap mediacji, który w założeniu miał wszystko przyspieszyć. Reprezentują głównie przedsiębiorców, a więc tych, którzy częściej pozywają, niż są pozywani. Składamy pozew, a sąd kieruje nas najpierw do mediacji, co już samo w sobie kradnie nam czas i odsuwa w czasie chwilę, w której można realnie dochodzić należności. A druga strona przeciąga mediację: raz jest chora, raz nie może przyjechać, raz prosi o przełożenie terminu. W praktyce taki etap potrafi trwać cztery, pięć miesięcy, a w sądzie w tym czasie nie dzieje się absolutnie nic.

W końcu zniecierpliwiona strona składa wniosek o skierowanie sprawy na rozprawę. Sąd wyznacza pierwszy termin, ale to rozprawa czysto techniczna, na której ustala się porządek procesu, listę świadków, biegłych. Mamy zmarnowane kolejne cztery miesiące. Od złożenia pozwu mija już około 10 miesięcy.

Potem dopiero zaczynają się właściwe rozprawy. W sądach warszawskich odbywają się średnio co pół roku. Jeśli mamy 20 świadków, a na jednym posiedzeniu da się przesłuchać czterech, to czeka nas pięć kolejnych terminów, każdy co sześć miesięcy. To oznacza, że już sama pierwsza instancja trwa od trzech do pięciu lat. Potem dochodzi apelacja – sprawa leży rok, zanim zostanie wyznaczony termin. Dochodzimy do sześciu lat.

I teraz pytanie: czy przedsiębiorca, który nie dostał na przykład 200, 300 czy 400 tys. złotych z faktur – od których już zapłacił podatki, bo żeby iść do sądu, faktura musi być ujęta w rozliczeniach – po sześciu latach ma jeszcze od kogo te pieniądze odzyskać?

Najczęściej dłużnik nie zapłacił nie tylko jemu, ale 10 czy 15 innym podmiotom. Po sześciu latach albo jest w restrukturyzacji, albo – co gorsza – w upadłości. Efekt? W księgach wierzyciela wiszą wierzycielności, które w praktyce są nieściągalne. To fikcja, tyle że ujęta w bilansie.

Tak wygląda cywilne postępowanie. A przyspieszyć je można tylko wtedy, gdy obie strony naprawdę chcą się dogadać. Ale gdyby miały taką wolę, to porozumiałyby się dużo wcześniej, bez angażowania sądu.

KB: A jak wygląda praktyka spraw karnych? Polska zajmuje niechlubne wysokie miejsca w rozmaitych rankingach długości trwania aresztów.

SM: Jeśli chodzi o sprawy karne, to tutaj niestety dominuje władztwo prokuratorów. I to jest bardzo groźne, bo prokuratorzy de facto nie podlegają realnej kontroli. Prowadzą teraz sprawę,

w której prokurator po prostu wyjechał na dwa miesiące na urlop. Nie zlecił w tym czasie żadnych czynności policji. Dzisiaj rozmawiałem z funkcjonariuszami w areszcie, powiedzieli mi: „Panie mecenasie, w tej sprawie dwa miesiące nie mieliśmy od prokuratora żadnych wytycznych, bo był na wakacjach w Panamie”.

Człowiek siedzi w areszcie trzy miesiące. Przez pierwszy miesiąc coś się dzieje, potem przez dwa kolejne nie dzieje się nic. Na koniec prokurator składa wniosek o przedłużenie aresztu o kolejne trzy miesiące, uzasadniając to tym, że... nie miał czasu przeprowadzić wszystkich czynności.

Sądy – i mówię to z pełną odpowiedzialnością – bardzo często przedłużają areszty bezrefleksyjnie. Między adwokatami krąży gorzki żart, że jeśli sędzia nie przedłużył aresztu, to musiał mieć wyjątkowo dobry poranek w domu. Średni czas tymczasowego aresztowania w Polsce to dziś około 12 miesięcy. Czyli ludzie formalnie niewinni, bo bez wyroku, spędzają rok w izolacji.

Po dziewięciu, dziesięciu miesiącach człowiek w areszcie jest już ofiarą ogromnej presji. Do tego dochodzi rozłąka z rodziną, brak dostępu do dokumentów, do informacji. Prokuratorzy często nie wydają zgód na widzenia z najbliższymi, po to, by psychicznie zmęczyć podejrzanego, doprowadzić do załamania i może do przyznania się.

Mieliśmy ostatnio projekt ustawy, którą prezydent Nawrocki zawetował. Jedni mówili, że dobra, inni – że fatalna. Jednym z jej elementów było przeniesienie instytucji tzw. sześćdziesiątki, czyli małego świadka koronnego, z prokuratury do sądu. To sąd decydowałby, czy przyznać danej osobie ten przywilej. Teraz decyduje o tym prokurator. W mojej ocenie ta instytucja jest nagminnie nadużywana. Ludzie, którzy często nie mają rzetelnej wiedzy – albo zdobyli ją w wątpliwy sposób – zostają małymi świadkami koronnymi, a na podstawie samych ich zeznań inne osoby spędzają 12 miesięcy w areszcie. Proszę mi wierzyć, nie życzyłbym najgorszemu wrogowi, żeby tam trafił. System jest zabetonowany. Nawet gdyby sędziowie chcieli orzekać szybciej, to przepisy ich blokują. Do tego dochodzi skala: przewodniczący Wydziału Gospodarczego Sądu Okręgowego w Warszawie na Czerniakowskiej ma około 1,7 tys. spraw w referacie. Proszę sobie wyobrazić, ile spraw jest w stanie rozpoznać, ile akt przeczytać w sposób logiczny, ile razy wydać naprawdę sprawiedliwy wyrok.

W każdej sprawie mamy świadków, biegłych. Sędzia, z którym niedawno rozmawiałem, powiedział mi, że w pewnej skomplikowanej sprawie gospodarczej wyznaczył kolejny termin na... grudzień 2028 r. Źródłem problemu jest przeregulowany, skomplikowany system, który zmusza sądy do powoływania biegłych niemal w każdej sprawie, bo liczba przepisów jest taka, że sędzia sam nie jest w stanie ogarnąć całej materii.

KB: Sztuczna inteligencja wchodzi wszędzie, również w obszar stosowania prawa. Czy może pan sobie wyobrazić automatyzację, która sprawi, że ludzie będą

siedzieli w aresztach krócej, a kolejne etapy spraw gospodarczych następowały szybciej? Czy raczej należy się spodziewać instynktownej blokady, konserwowania systemu, żeby wszystko się kręciło po staremu?

SM: AI ma jedną zasadniczą wadę: uczy się z materiałów dostępnych w Internecie. Im więcej wrzucimy do sieci fake newsów, tym więcej zafałszowanych informacji będzie potem reprodukowało. Najlepszy dowód mieliśmy niedawno we Wrocławiu. Szef jednej z firm informatycznych uznał, że nie będzie wynajmował adwokata i pozwie konkurenta, korzystając wyłącznie z pomocy AI. Model przygotował mu pozew z wnioskami procesowymi. Sąd pozew odrzucił z przyczyn formalnych. AI wymyśliła sobie przepisy, a na końcu... sama napisała wyrok. Możemy się z tego śmiać, ale to pokazuje, jak łatwo algorytm tworzy fikcyjny stan prawny.

W prawie każda sprawa jest inna. Nawet w naszej kancelarii, gdzie prowadzimy już ponad tysiąc postępowań restrukturyzacyjnych w trybie postępowania o zatwierdzenie układu, teoretycznie wszystko powinno wyglądać podobnie, bo procedura opiera się na około 140 przepisach. A jednak nie ma dwóch identycznych postępowań. Zmieniają się szczegóły, ludzie, intencje, kontekst psychologiczny. AI nie jest w stanie ocenić, co dany człowiek naprawdę myślał, do czego dążył, jakie były ustalenia telefoniczne, nieformalna korespondencja, gesty. Ona bazuje na tym, co jest w sieci – na tekście.

Jako narzędzie analityczne AI może być bardzo użyteczna. Jeśli tworzę plan restrukturyzacyjny i proszę model, żeby zrobił mi analizę SWOT albo przeanalizował pięć scenariuszy dla danej branży, dając mu precyzyjne dane wejściowe – to on to zrobi. Policzy, zestawi, podsumuje. Ale zawsze będzie bazował na wiedzy, którą mu podamy. Dlatego widziałbym go raczej jako pomocnika niż zastępcę prawnika. Na pewno nie może nas zastąpić – ani w sądzie, ani w kancelarii. Trzeba będzie wprowadzić normy, zasady, a może wręcz przepisy, które ograniczą rozwój i „władztwo” AI. Na razie algorytmy robią, co chcą, hasają po Internecie, chłoną również bzdury.

KB: Tylko jak liczyć na państwo, że pomoże nam, ludziom, okiełznać AI, skoro nie radzi sobie ono na typowych, tradycyjnych polach: przepisów, procedur, instytucji?

SM: Nawet jeśli mówimy tylko o zmianach prawa, to w tle zawsze stoją komisje kodyfikacyjne. Zasiadają w nich dobrzy prawnicy, ale oni też funkcjonują pod politycznym butem. Politycy – jak już mówiliśmy – działają emocjonalnie, pod konkretnego wyborcę, pod sondaż. Kształtują prawo nie dla dobra państwa, tylko dla dobra partii i najbliższego zaplecza.

Jestem adwokatem od ponad 13 lat. Jako młody prawnik miałem wielką wizję, że będę zmieniał system, prawo, praktykę. Pamiętam, jak jeden stary mecenas, dziś już świętej pamięci, powiedział mi wtedy: „Słuchaj, niczego nie zmienisz. Nie walczyć z systemem, spróbuj się dopasować”. Wtedy wydało mi się to straszne, dziś rozumiem, co miał na myśli. Potrzebne są zmiany systemowe i – może zabrzmi to ostro – zmiana pokoleniowa.

Obecne pokolenie u władzy to w dużej mierze ludzie lat 90. Trzeba im oddać szacunek: obalili komunizm, otworzyli Polskę na świat, zbudowali gospodarkę rynkową, umożliwili nam podróżowanie po Europie, wyjście z orbity Rosji. Ale – w mojej ocenie – ich czas minął. Powinni oddać ster młodszym ludziom, takim, którzy dziś prowadzą firmy, rozumieją realia rynku, technologii, którzy mogliby część swojego czasu poświęcić na to, by współtworzyć państwo. Z drugiej strony mamy przykład pana Brzoski, który gościł w Sejmie z wielkimi hasłami, że w sto dni zmieni system, zreformuje prawo. Co z tego zostało? Niewiele.

KB: Jedną z kluczowych idei demokracji – i w naszym kraju też w to wierzone – jest społeczna kontrola instytucji, organów i ludzi, którzy za nimi stoją. Jak pan widzi obecnie trendy w tym obszarze?

SM: Podam panu najlepszy przykład. Do zeszłego roku jako adwokat mogłem zajrzeć do oświadczeń majątkowych sędziów. Nie było tam adresów, żadnych szczegółowych danych, ale były informacje dotyczące domu, jego powierzchni, orientacyjnej wartości, samocho-

du, oszczędności. Sędziowie najwyraźniej uznali, że inni ludzie zaglądną tam zbyt często, więc system został zablokowany. Oświadczenia majątkowe są, ale zostały utajnione. Nie chcę tu wprost wskazywać patologii, ale jeśli dziś sędzia deklaruje 5 tys. oszczędności, a za sześć lat – gdyby nam znowu odblokowano dostęp – okaże się, że ma 20 mln, to chyba warto zadać kilka pytań. Dopóki mogliśmy przeanalizować ciąg 10 kolejnych oświadczeń z 10 lat, widzieliśmy, czy majątek sędziego rośnie, czy stoi w miejscu, czy coś się nagle zmienia. Nie chodziło przecież o to, czy mieszka przy ulicy Kanarkowej, tylko o skalę jego majątku.

Coraz więcej urzędów wyłącza jawność swoich rejestrów, systemów, baz. Coraz trudniej jest cokolwiek sprawdzić. Oczywiście teoretycznie można iść do sądu administracyjnego, domagać się dostępu, ale trzeba wykazać interes prawny, czekać latami. To wszystko robi się coraz mniej transparentne. A gdy coś przestaje być transparentne, człowiek mimowolnie zadaje sobie pytanie, dlaczego tak jest.

Potrzebne są zmiany systemowe i zmiana pokoleniowa.

Twój spokój zaczyna się z Compensą

**Ubezpieczenia dla klienta
indywidualnego, małych
i średnich przedsiębiorstw
oraz dużych firm:**

- komunikacyjne
- majątkowe
- osobowe
- podróżne
- rolne
- zdrowotne



© LAURA GUTOWSKA

„Opowieść o Dafne”, olej na płótnie, 2025 r.

Obrazy traktuję jak żywe istoty

- Mitologia od wieków zajmuje wyjątkowe miejsce w historii sztuki i naturalnie stała się również ważnym punktem odniesienia w mojej twórczości.
 - Energię do pracy czerpię ze spotkań z innymi ludźmi. Często to właśnie rozmowa staje się bezpośrednim impulsem do tworzenia.
- Lubię, kiedy w obrazie pojawiają się napięcia i niedopowiedzenia, bo to one uruchamiają wyobraźnię widza i otwierają przestrzeń na indywidualne interpretacje.
 - W moim przypadku tworzenie jest bardzo emocjonalne. Jeżeli w jakiś sposób miałabym je scharakteryzować, to powiedziałabym, że jest to ciągła walka, zaś wygranym powinien być obraz.

Z [Laurą Gutowską](#) rozmawia Katarzyna Rij.

Katarzyna Rij: Co skłoniło panią do zajęcia się malarstwem?

Laura Gutowska: Malarstwo i rysunek, a szerzej – tworzenie, towarzyszyły mi od najmłodszych lat. Było to dla mnie coś bardzo naturalnego, wręcz wrodzonego, nie potrafiłam się od tego oderwać. Dzięki wsparciu bliskich mogłam rozwijać swoje zainteresowania na zajęciach dodatkowych, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że to moja droga. Przełomowym momentem było rozpoczęcie nauki w liceum plastycznym w Nałęczowie. Wtedy upewniłam się, że chcę związać swoją przyszłość zawodową z malarstwem.

KR: Dlaczego wybrała pani akademię nie w rodzinnej Warszawie, ale w królewskim Krakowie?

LG: Po ukończeniu liceum plastycznego wiedziałam już, że chcę zdawać na malarstwo. Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie od dawna mnie fascynowała – jej absolwentki i absolwenci należą do czołówki polskich artystów, co było dla mnie bardzo inspirujące. Choć Warszawa jest moim miastem rodzinnym i mam do niej ogromny sentyment, od 11. roku życia mieszkałam w Nałęczowie. Podejmując decyzję o studiach, postawiłam wszystko na jedną kartę i złożyłam dokumenty wyłącznie do krakowskiej ASP. To było ryzyko, ale opłaciło się – dostałam się i nie żałuję tej decyzji. Akademia w Krakowie okazała się dla mnie wyjątkowym miejscem, nie tylko bardzo wiele się tam nauczyłam, ale też poznałam wspaniałych ludzi, z którymi do dziś utrzymuję bliski kontakt i na których zawsze mogę liczyć.

KR: Dlaczego mitologia stała się pożywką dla pani twórczości?

LG: Mitologia od wieków zajmuje wyjątkowe miejsce w historii sztuki i naturalnie stała się również ważnym punktem odniesienia w mojej twórczości. Jej baśniowa narracja, a jednocześnie zawarta w niej uniwersalna prawda otwierają szerokie pole do interpretacji – zarówno dosłownych, jak i bardziej symbolicznych czy metafizycznych. Nic więc dziwnego, że artyści na przestrzeni wieków tak chętnie do niej sięgali i nadal to robią. Inspirując się dokonaniem dawnych mistrzów, postanowiłam sama zmierzyć się z tematami mitologicznymi. Z czasem okazało się, że ten obszar niezwykle mnie pochłoniął. Mitologia wciąż pozostaje żywa i nieustannie odkrywam ją na nowo, odkrywając w niej kolejne znaczenia i inspiracje. Na początku tego roku w Van Rij Gallery w Krakowie miałam wystawę „Lorelei”, na której pokazałam premierowy cykl obrazów, ale też po raz pierwszy moje prace ceramiczne.

KR: Szczególnie wyraźnie widoczna była na tej wystawie figura Dafne. Czy dlatego, że rezonuje z pani osobistymi doświadczeniami?

LG: Mit o Dafne, który stał się głównym punktem wyjścia do powstania tego cyklu, jest dla mnie bardzo osobisty. Wracam do niego częściej niż do jakiegokolwiek innej opowieści. Po raz pierwszy podjęłam ten temat na czwartym roku studiów na krakowskiej ASP, był to zarazem początek całego późniejszego cyklu.



Laura Gutowska (ur. 1997 r. w Warszawie) ukończyła Wydział Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, studiowała w pracowni prof. Grzegorza Bednarskiego. Obecnie jest doktorantką w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych i Sztuki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Zajmuje się głównie malarstwem, stopniowo poszerzając swoją praktykę artystyczną o ceramikę. Mieszka i tworzy w Nałęczowie. Została nominowana do 14. Konkursu Gepperta (2023), była finalistką 2. Lubelskiej Wiosny Malarstwa i 5. Ogólnopolskiego Konkursu Malarskiego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. Brała udział w licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych. Artystka jest reprezentowana przez Van Rij Gallery.

Pamiętam sytuację, kiedy w pracowni odwiedził mnie kolega i zapytał, czy maluję autoportret. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wyjaśnił, że miał na myśli tzw. kompleks Dafne, a sama postać skojarzyła mu się również z moim imieniem.

Historia nimfy, która uciekając przed Apollem, zamienia się w drzewo laurowe, była dla mnie niezwykle poruszająca i ostatecznie stała się osią wystawy „Lorelei” w Van Rij Gallery. Zauważyłam, że im bardziej ją analizuję, tym bardziej staje się wielowymiarowa – otwierają się nowe znaczenia i interpretacje.

Dla mnie ten mit to opowieść o lęku, strachu, który chorobliwie paraliżuje przed miłością. Ta historia bardzo silnie ze mną rezonuje, być może rzeczywiście jest w niej coś z autoportretu.

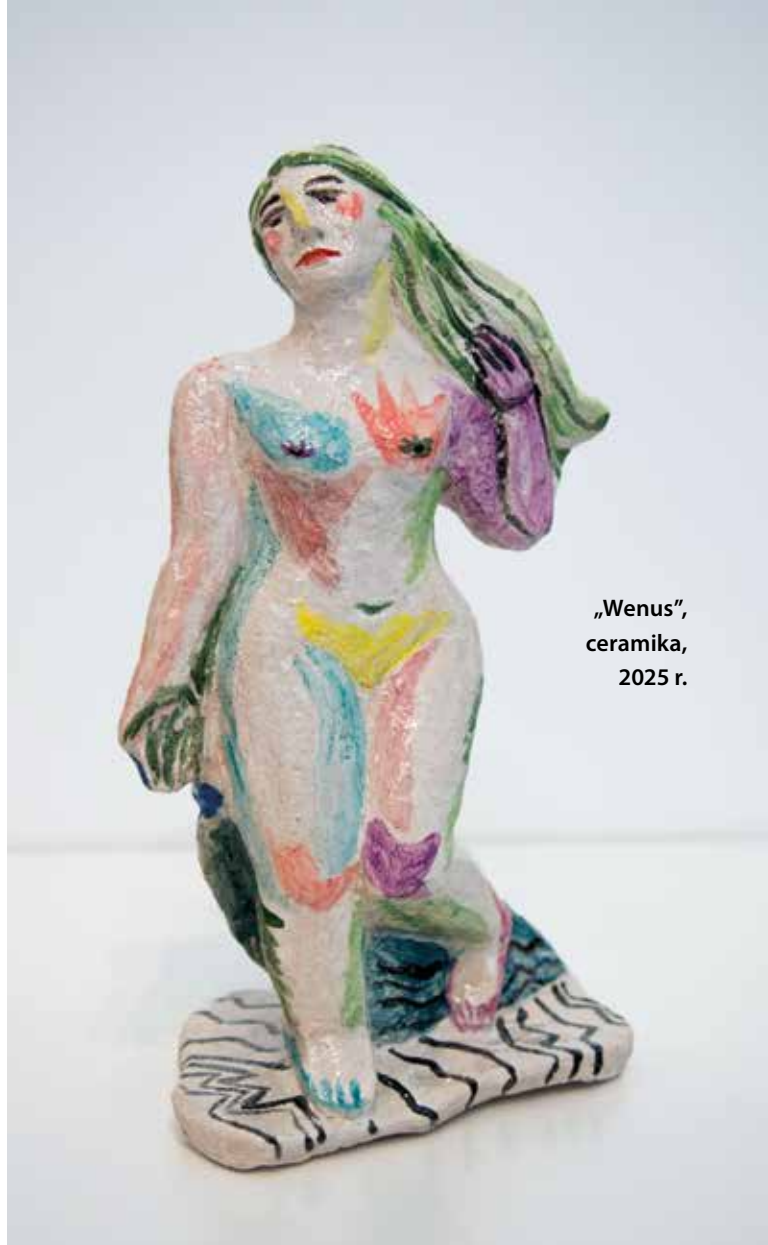
KR: Jakie inne inspiracje – wizualne, literackie lub osobiste – towarzyszyły pracy nad tym cyklem?

LG: W moim przypadku inspiracje są bardzo różnorodne. Niewątpliwie wiele pomysłów czerpię z literatury, szczególnie ważnym punktem odniesienia jest dla mnie antyczny poemat „Metamorfozy” Owidiusza, do którego często wracam. Utwór ten opowiada o niezliczonych przemianach zachodzących w mitycznym świecie, a jednocześnie stanowi niezwykle poetycką refleksję nad ludzkimi namiętnościami i emocjami, ukazaną poprzez historie bogów. To dla mnie prawdziwa skarbnica inspiracji. Mam wrażenie, że jego obrazowość niemal sama uruchamia proces tworzenia.

Ogromną rolę odgrywają również podróże, zwłaszcza odwiedzanie galerii i muzeów. Często to właśnie konkretna wystawa staje się impulsem do wyjazdu. Ostatnio byłam w Rzymie, gdzie szczególne wrażenie zrobiły na mnie prace Berniniego, Renata Guttuso i Sandra Chii. Choć spędziłam tam tylko kilka dni, był to bardzo intensywny czas, który przyniósł nowe inspiracje, ale też pozostawił niedosyt. Mam nadzieję, że wkrótce tam wrócę. Energię do pracy czerpię także ze spotkań z innymi ludźmi. Często to właśnie rozmowa staje się bezpośrednim impulsem do tworzenia.

KR: Wykształciła pani charakterystyczny styl, w którym obrazy przyciągają intensywnością barw i ekspresją postaci, zanim jeszcze ułożą się w pełną opowieść. Jak kształtował się pani indywidualny język artystyczny i co miało największy wpływ na jego rozwój?

LG: Myślę, że mój styl kształtował się stopniowo. W czasie studiów często malowałam akty i martwą naturę. Równolegle rozwijała się moja świadomość malarska, zaczęłam coraz odważniej pracować z figuracją i budować własne kompozycje.



„Wenus”,
ceramika,
2025 r.

„Pyram i Tyzbe”, ceramika, 2025 r.





„Dafne”,
ceramika,
2025 r.

„Apollo i Dafne”, ceramika, 2025 r.



© LAURA GUTOWSKA (4)

Z czasem coraz wyraźniej kształtowała się też moja wrażliwość kolorystyczna. Początkowo łatwiej było mi operować kolorem w pracach na papierze, później stopniowo wprowadzałam go do malarstwa. Ten moment był dla mnie bardzo odkrywczy, zaczęłam postrzegać kolor jako materię, która nie tylko opisuje formę, ale ją buduje. Dziś mam poczucie, że myślenie kolorem porządkuje proces pracy i pozwala mi odnaleźć klarowność w obrazie.

Kolor buduje harmonię, ale jednocześnie daje możliwość wprowadzania napięć i dysonansów, które wzmacniają ekspresję. Podobnie faktura farby czy ślad pędzla nie są u mnie wcześniej zaplanowane, wynikają bezpośrednio z procesu malowania i konstruowania formy. W mojej praktyce istotne jest łączenie problemów czysto malarskich z warstwą znaczeniową. Zależy mi na tym, aby obraz był jednocześnie opowieścią i autonomicznym doświadczeniem wizualnym.

KR: Jak ważna jest dla pani interakcja widza z dziełem? W jaki sposób obecność odbiorcy wpływa na jego ostateczny kształt i znaczenie?

LG: Interakcja widza z dziełem jest dla mnie bardzo ważna, choć nie w sensie narzucania jednej, konkretnej interpretacji. Podczas malowania skupiam się przede wszystkim na szczerości wobec samej siebie – na obrazie, temacie i emocjach, które są mi bliskie. Mam poczucie, że autentyczność jest wyczuwalna i to właśnie ona pozwala odbiorcy nawiązać z pracą własną relację.

Z mojego doświadczenia wynika, że kontakt z obrazem zaczyna się od odczucia, intuicyjnej, emocjonalnej reakcji, a dopiero później pojawia się potrzeba zrozumienia, szukania znaczeń czy budowania narracji. Lubię, kiedy w obrazie pojawiają się napięcia i niedopowiedzenia, bo to one uruchamiają wyobraźnię widza i otwierają przestrzeń na indywidualne interpretacje.

Choć proces twórczy odbywa się w samotności, spotkania z odbiorcami są dla mnie niezwykle cenne. Rozmowy i interpretacje widzów często mnie zaskakują i inspirują, pokazując nowe perspektywy. Obecność odbiorcy nie zamyka znaczenia dzieła, lecz je poszerza, nadając mu kolejne warstwy i kierunki odczytania.

KR: Najpierw tworzyła pani głównie prace malarskie. Co sprawiło, że zainteresowała się pani ceramiką?

LG: Od kiedy pamiętam, obok malarstwa pasjonowałam mnie również rzeźba. Przez pewien czas skupiałam się jednak głównie na rozwijaniu swojej praktyki malarskiej. W ramach poszukiwań twórczych całkowicie zachwyliłam się ceramiką. Pozwala mi ona połączyć rzeźbę z malarstwem – postaci i figury, które pojawiają się w moich obrazach,



© LAURA GUTOWSKA

„Dafne i Apollo jako czarne słońce”,
olej na płótnie, 2025 r.

staram się uchwycić także w formie przestrzennej. Myślę, że te dwa obszary wzajemnie się przenikają i wpływają na siebie. Cieszę się, że postanowiłam zmierzyć się z tą techniką, sprawia mi to satysfakcję, choć jednocześnie jest dużym wyzwaniem. Ceramika, w przeciwieństwie do malarstwa, wymaga więcej cierpliwości. Forma przed pierwszym wypałem musi całkowicie wyschnąć, a sam proces wypalania jest długi i rozłożony w czasie. Najtrudniejsze bywa powstrzymanie ciekawości i zaakceptowanie tego, że na efekt trzeba po prostu poczekać.

Dodatkowym wyzwaniem jest nieprzewidywalność, gdyż nigdy nie da się w pełni kontrolować końcowego rezultatu. Z drugiej strony właśnie ten element zaskoczenia jest bardzo ekscytujący, szczególnie w momencie otwarcia pieca po wypale.

KR: Czy trudności, które pojawiają się w procesie twórczym, traktuje pani jako przeszkodę czy raczej jako element budujący dzieło?

LG: W moim przypadku tworzenie jest bardzo emocjonalne. Jeżeli w jakiś sposób miałabym je scharakteryzować, to powiedziałabym, że jest to ciągła walka, zaś wygranym powinien być obraz.

Czasem maluję kilkanaście obrazów jednocześnie. W ten sposób próbuję uniknąć „zmęczenia” obrazu. Zaczynam od pomysłu, nieraz tworzę szkic. Po kilku godzinach malowania jestem nawet zadowolona. Później jednak obraz zaczyna wyglądać zupełnie inaczej, niż planowałam. Narasta we mnie irytacja. Odkładam go. Odnoszę wrażenie, że obrazy najbardziej lubią być oparte o ścianę w pracowni. Mają wtedy szansę odpocząć i malują się same. Traktuję je czasem jak żywe istoty.

Wracam do nich po kilku tygodniach, gdy już zdążyłam oprzeć o ścianę następne. Odpoczynek nam służy. Zwykle wiem wtedy, co dalej zrobić. Czasami zastanawiam się, skąd w moim malarstwie tyle emocji i ekspresji. Zapewne wynika to z wewnętrznej ciekawości. Chcę, żeby oczywiste było nieoczywiste. Maluję w zgodzie ze swoją naturą.

KR: Jak przestrzeń, w której pani pracuje, wpływa na praktykę twórczą?

LG: Od niespełna roku mogę pracować w przestrzeni stworzonej specjalnie dla mnie. Po studiach wróciłam do rodzinnego domu w Nałęczowie i początkowo zaadaptowałam jeden z pokoi na pracownię. Z czasem udało mi się wybudować osobny budynek w ogrodzie – pracownię, która w pełni odpowiada moim potrzebom. W nowym miejscu mam świetne światło i warunki do realizowania wielkoformatowych obrazów, co daje duże możliwości rozwoju i rozmachu. Planuję teraz dwu-, trzy-, a nawet czterometrowe obrazy, a snią mi się jeszcze większe obiekty. Jestem przekonana, że ich stworzenie to tylko kwestia czasu.

To miejsce ma dla mnie szczególne znaczenie, czuję się w nim swobodnie i bezpiecznie, co bezpośrednio przekłada się na moją praktykę twórczą. To przestrzeń, w której naprawdę lubię przebywać i pracować, a pracuję wiele godzin dziennie.

KR: Jakie projekty zajmują panią teraz? Gdzie w najbliższym czasie będziemy mogli oglądać pani prace?

LG: Obecnie przygotowuję się do udziału w projekcie „Women Art Power 2”, organizowanym przez Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej w Radomiu. Kuratorem wystawy jest Paweł Witkowski, a w wydarzeniu biorą udział znakomite artystki, takie jak Martyna Czech, Agata Kus, Monika Drożyńska, więc tym bardziej się cieszę, że zostałam zaproszona. Wernisaż zaplanowany jest na 30 maja, a wystawa potrwa do 6 września 2026 r. Równoległe pracuję nad wystawą indywidualną, która odbędzie się w czerwcu w Galerii Art Hub Rydzowa w Łodzi.

KR: Musimy wspomnieć także o dużej indywidualnej wystawie w Van Rij Gallery, w historycznej fabryce porcelany w Ćmielowie.

LG: To duże wyzwanie, ponieważ mam do wyłącznej dyspozycji ponad 600 m kw. przestrzeni wystawienniczej. Zapowiadają się więc intensywne i bardzo ciekawe wiosna i lato.

Bartosz Zaczykiewicz

– reżyser teatralny, dyrektor teatrów, od 2017 r. dyrektor Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu i Kaliskich Spotkań Teatralnych. W 1994 r. ukończył studia na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, a w 1998 r. – studia na Wydziale Reżyserii Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. W latach 1999–2007 był dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu. W latach 2007–2009 był dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Studio w Warszawie. W latach 2012–2017 był zastępcą dyrektora ds. artystycznych Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu. W 2005 r. został odznaczony Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. W 2025 r. uhonorowany tytułem Promotora Polski, przyznawanym przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego.



© MICHAŁ RAMUS

Wciąż głównie opowiadamy o miłości



- Teatr będzie istniał, póki będzie istnieć ludzkość.
- Wszystkie teatry, niezależnie od wielkości miasta, w którym działają, muszą być blisko swojej publiczności.
 - Pierwiastek romantyczny w pracy teatralnej jest w odwrocie.
 - Sztuka, w tym teatr, służy wzbudzeniu emocji, dzięki którym możemy osiągnąć inny poziom rozumienia świata.
 - Nasz festiwal wyróżnia nieprzerwana ciągłość. Odbył się nawet w stanie wojennym i w trakcie pandemii.
- Wspaniale, że kapituła Godła „Teraz Polska” rozumie, że same wartości materialne nie decydują o szczęśliwości.

Z **Bartoszem Zaczykiewiczem** rozmawia Marzena Tataj.

Marzena Tataj: Czy zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że uprawia – świadomie i z rozmysłem – teatr prowincjonalny? To znaczy bliższy lokalnej społeczności, mający swoistą dynamikę i inną rolę niż teatry stołeczne czy krakowskie.

Bartosz Zaczykiewicz: Nie wiem, czy słowo „prowincjonalny” akurat najlepiej oddaje swoistość opisaną w pani pytaniu. Pojęcie „prowincjonalny” pojmuję przede wszystkim geograficznie, czyli że jest to teatr w mieście położonym poza aglomeracjami. Ale nie wszystkie takie teatry można wrzucić do jednego worka. Kaliska scena ma pewną osobliwość w skali kraju. Jest to jedyny teatr repertuarowy, publiczny położony w mieście, które znajduje się w odległości ponad stu kilometrów od innego ośrodka teatralnego. Paradoksalnie działamy pośrodku pewnej pustyni teatralnej. Z tego wynikają specyficzne dodatkowe obowiązki instytucji, z którymi wcześniej – w innych teatrach – nie miałem do czynienia. To przede wszystkim konieczność myślenia o szerokim przekroju odbiorców: o wszystkich kategoriach wiekowych – począwszy od najmłodszych, zwanych „najnajami” – jak również o wszelkich upodobaniach estetycznych i potrzebach kulturalnych. Nasza scena jest więc z natury bardzo eklektyczna. A że jednocześnie wystawiamy mniej więcej tyle samo premier w sezonie co większość innych teatrów podobnej wielkości, to dynamika naszego repertu-

aru jest bardzo specyficzna i w pewnych obszarach ograniczona. Musimy równolegle prezentować spektakle każdego rodzaju: refleksyjne, rozrywkowe, poszukujące, a także tak zwany teatr środka. W efekcie nawet w ciągu jednego kwartału nie jesteśmy w stanie pokazać wszystkich spektakli z repertuaru i każdego rodzaju. Bywa to nieco frustrujące, czasami zaburza naturalną dynamikę eksploatacji przedstawień albo zmusza nas do naruszania równowagi oferty.

W rzeczywistości wszystkie teatry, niezależnie od wielkości miasta, w którym działają, muszą być blisko swojej publiczności. Ta publiczność siłą rzeczy jest zawsze lokalna, choć i do nas przyjeżdżają nawet z Warszawy. Ważniejsze kwestie to struktura tej publiczności, jej wymagania, jej ambicje, możliwości poznawcze, upodobania. I tu już są duże różnice. W tak dużym mieście jak Warszawa możliwe jest prowadzenie teatrów o określonym profilu. W małych ośrodkach repertuar zawsze będzie w istotnym stopniu eklektyczny. Mnie to akurat nie przeszkadza, lubię oglądać różne rodzaje teatru, nie tylko w jednym gatunku. W tym sensie lubię pracować na prowincji.

MT: Jakie cele stawiał pan sobie w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu, a jakie realizuje w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu? Nie można przy tym zapominać, że kierował pan także stołecznym Teatrem Studio.

BZ: To bardzo różne doświadczenia, które wynikają choćby z czasów, w jakich miałem okazję kierować tymi scenami. Dziś może zabrzmieć to niedorzecznie, ale w momencie obejmowania dyrekcji w Opolu moją podstawową ambicją było nie być ostatnim dyrektorem tego teatru. Takie były wówczas okoliczności, zresztą nad wieloma scenami w Polsce wisiało niebezpieczeństwo likwidacji, przekształcenia w sale impresaryjne. Na szczęście ówczesne władze – marszałek Stanisław Jałowicki i następni włodarze, w szczególności wymienię tu Ryszarda Gallę i Ewę Rurynkiewicz oraz ówczesnego skarbnika województwa Tadeusza Troszyńskiego – wykazały wielkie zrozumienie i bardzo pomagały Teatrowi im. Jana Kochanowskiego.

Z drugiej strony, ćwierć wieku temu teatry działały jeszcze siłą inercji w pewnym systemie pracy artystycznej wypracowanym w latach 60. i 70. Pod względem twórczym, wydaje mi się, system ten był efektywniejszy. Wtedy jeszcze dość naturalnie rozumiano, że praca artystyczna ma między innymi charakter pracy nad prototypem. Każda nowa premiera to prototyp. Można wynaleźć coś fantastycznego, ale może się też nie udać. Dziś ten rodzaj wolności twórczej został zabrany, a każda złotówka musi przynieść efekt. Ale finalnie zdarza się, że ten efekt niekoniecznie jest tym, o czym marzymy. Myślę, że to jeden z powodów, dla których teatry muszą pracować „bezpieczniej”. Drugi to wewnętrzna presja, także ekonomiczna. Nieudana premiera to brak odpowiednich przychodów zarówno instytucji, jak i jej pracowników. Jeśli można użyć takiego porównania, to dzisiejszy teatr jest bardziej małżeństwem z rozsądku niż z miłości. Pierwiastek romantyczny w pracy teatralnej jest w odwrocie.

Moje doświadczenie obejmuje jeszcze dwa teatry, w których pracowałem etatowo i w których również miałem okazję w mniejszym lub większym stopniu obserwować procesy zarządzania instytucją. Bardzo cenię to, czego się wówczas nauczyłem. Jeszcze w czasie studiów, jako etatowy asystent reżysera, brałem udział w cotygodniowych naradach dyrekcji z kierownikami działów w warszawskim Teatrze Polskim. Szefowali mu wówczas Andrzej Łapicki jako dyrektor artystyczny i Jerzy Zaleski jako dyrektor naczelny, ale dosłownie chwilę przed moim zatrudnieniem odszedł stamtąd, by objąć tę rolę ministra kultury, Kazimierz Dejmek. Była to więc wciąż scena prowadzona modelowo w dawnym stylu, dejmkowska – dyrektor Łapicki na szczęście nie miał w planach „zaokrąglania koła”. To była dla mnie znakomita szkoła. Tę wiedzę uzupełniałem jako etatowy reżyser w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, gdzie ówczesny dyrektor Bogdan Tosza bardzo szczerze dzielił się swoim doświadczeniem.

Kierowanie Teatrem Studio przypadło na bardzo ciężki okres. Instytucja była w złej kondycji pod każdym względem, jednocześnie trudno mi coś pozytywnego powiedzieć o współpracy z ówczesnym Biurem Kultury w warszawskim ratuszu. W Studio wykonałem pracę ewolucyjnego przekształcenia Teatru, ale zapłaciłem za to dość wysoką cenę, a Biuro Kultury chyba zrozumiało to za późno. Poza tym nad Studio krążył – zresztą do dziś krąży – mit bardzo artystowskiej sceny. Faktycznie, budowali go dwaj pierwsi dyrektorzy, wybitni wizjonerzy – Józef Szajna i Jerzy Grzegorzewski. Ale dziś jakoś nikt nie chce pamiętać, jak bardzo ich spektakle i ich teatr były skupione na widzach i jak bardzo różnorodny repertuar proponowały. Kiedy obejmowałem Studio, w polskim teatrze jedyną osobowością na miarę dawnych mistrzów był Krystian Lupa, a jednocześnie znakomitą część zespołu Grzegorzewski zabrał ze sobą do Teatru Narodowego, kiedy powierzono mu kierowanie najważniejszą sceną, otwieraną po pożarze z 1985 r.

Ważnym etapem mojej pracy był też Toruń, gdzie przez prawie pięć sezonów byłem zastępcą dyrektora do spraw artystycznych w Teatrze im. Wilama Horzycy. Tu najważniejszym elementem była praca przy Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym „Kontakt”, czyli imprezie będącej wspaniałym oknem polskiego teatru na świat.

Wracając jeszcze do istoty pytania: każde miejsce to inne wyzwanie, inne okoliczności. Moim zadaniem jest je rozpoznać i starać się wyjść na spotkanie z widzami, bo jedynie wobec odbiorców teatr ma sens. W tym spotkaniu staram się też przekonać widzów do nowych rzeczy, wcześniej im nieznanych. To subtelny dialog. Czasami bardziej błyskotliwy, czasami mniej. W tym dialogu są też dodatkowe czynniki, na przykład warunki organizacyjno-finansowe, w jakich teatr w danym miejscu funkcjonuje, wypracowane przez lata pewne praktyki danej sceny, jakość infrastruktury – inne możliwości daje budynek zabytkowy, jak w Kaliszu czy Toruniu, a inne współczesny, jak w Opolu – oraz oczywiście pracownicy i wizja organizatora, czyli, w przypadku Kalisza, samorządu województwa wielkopolskiego.



„Dziwny przypadek psa nocną porą”, reż. Bartosz Zaczykiewicz, Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu (premiera w 2019 r.).

© BARTŁOMIEJ GÓRNIAK

MT: W jednym z wywiadów powiedział pan, że teatr powinien stawiać pytania, a nie dawać odpowiedzi. Czy sztuka, w tym i teatr, jest uzależniona od czasu, miejsca i akcji, a zatem mocno zależy od teraźniejszości, choć ma powinności wobec wartości ponadczasowych, uniwersalnych, humanistycznych?

BZ: Każda refleksja, każde przeżycie to proces otwarty. Pytania, jakie napotykamy w życiu, pozwalają nam lepiej siebie poznawać, ale dawanie odpowiedzi to domena naukowców, nie sztuki. Sztuka, w tym teatr, służy wzbudzeniu emocji, dzięki którym możemy osiągnąć inny poziom rozumienia świata, bardziej może czucia świata, bo chodzi nie do końca o coś, co poddaje się logicznym procesom. Co w życiu jest ważniejsze: wiedza, jak działa jakieś urządzenie, czy relacje, jakie mamy z ludźmi? Nasza wiedza również jest czymś niepewnym. Może nam się zdawać, że jesteśmy jedynymi istotami rozumnymi w kosmosie, a kiedyś wierzyliśmy, że Ziemia jest płaska. Ale to, w co wierzymy, i nasze emocje są prawdą niezależnie od poziomu wiedzy. Sztuka w swoich najlepszych przejawach zajmuje się właśnie emocjami. Dlatego przemawiają do nas dawne malowidła, tak jak dawna muzyka, częściowo także dawne sztuki teatralne czy literatura, choć tu czynnik zmiennej wiedzy, zmiennego języka ma pewne znaczenie. Zresztą w każdym rodzaju sztuki są elementy zależne od wiedzy. Dziś zachwycając się malarstwem alegorycznym bez znajomości skomplikowanego układu znaków jest w pełni dostępne nielicznym specjalistom – o ile rozumienie tych znaków, ich odczuwanie może być takie jak w przeszłości. Ale są elementy, które się nie starzeją. Struktury opowieści są niezmiennie. Słowem, sztuka zajmuje się emocjami tu i teraz, w tym sensie jest teraźniejsza, ale mechanizmy naszych wzajemnych relacji pozostają niezmiennie. Kochamy jak dawniej, nienawidzimy jak dawniej, marzymy jak dawniej, upadamy na duchu jak dawniej. To są sprawy uniwersalne. W sztuce zmienia się oczywiście nieco szafarz, anturaż, w jakim prezentujemy treści, jednak ich jądro

jest wciąż takie samo, wciąż – na szczęście – jesteśmy ludźmi z namiętnościami podobnymi jak u naszych przodków.

Idąc tropem pani pytania: wciąż głównie opowiadamy o miłości. Trudno wskazać w życiu człowieka coś istotniejszego, coś, co bardziej wpływa na nasze jestestwo. I to cały czas działa na publiczność. W tym sensie nie nazwę teatru sztuką elitarną, bo uczucia w człowieku są powszechne. Teatr będzie istniał, póki będzie istnieć ludzkość. Natomiast budzi mój sceptycyzm to, w jakiej formie będzie on funkcjonował w przyszłości. Instytucja, którą mam zaszczyt kierować, jest tworem organizacyjnym, jakiego przed 200 laty nikt nie byłby w stanie sobie wyobrazić, a wkrótce może się ona znacząco zmienić. Ale twórczość artystyczna wciąż będzie jedną z fundamentalnych cech naszego gatunku.

MT: Teatr jest tą wyjątkową dziedziną sztuki, która powstaje wyłącznie w danym momencie pomiędzy aktorem a widzem i która ma natychmiastowy odbiór. Zatem w jaki sposób zdobywa pan publiczność i jak o nią dba? Pytam najpierw reżysera, a potem dyrektora teatru, który ma dużo mniejszy komfort działania, bowiem jest non stop rozliczany z liczby widzów, dochodów z biletów, otrzymanych dotacji.

BZ: Najlepszym sposobem na zdobycie publiczności jest po prostu dobra sztuka, która powstaje, gdy twórca ma coś istotnego do powiedzenia i chce wejść z widzami w dialog. Kluczowe pozostaje spotkanie – zarówno w życiu, jak i w sztuce.

Oczywiście reguły ekonomiczne nie zawsze są dobrym bodźcem dla twórczości, ale w zasadzie zawsze było tak, że artysta chciał lub musiał się utrzymać ze swojego dzieła. Niektórzy robili to genialnie, jak na przykład Szekspir, a inni nawet dość podle, weźmy choćby autorów mdłych panegiryków czy produkcyniaków. W przypadku teatrów publicznych w Polsce naszym mecenasem jest społeczeństwo reprezentowane przez określone organy władzy, państwowej lub samorządowej. W związku z tym musimy podlegać regułom finansów publicznych i wielu innym oraz między innymi dbać o to, by społeczeństwo doceniało sposób, w jaki wydajemy powierzone nam środki finansowe. Zdobywanie publiczności i dbanie o nią to proces doboru repertuaru, promocji, marketingu. To cały szereg zabiegów, procesów, działań, których opis znacznie przekroczyłby wymiary tego wywiadu. Jednocześnie trzeba pamiętać o misyjności działania publicznej instytucji kultury. Czysto ekonomiczna perspektywa powinna być domeną prywatnej antrepyzy. Naszym obowiązkiem jest także praca nad rozwojem publiczności, czyli rozwojem społeczeństwa.

MT: W teatrze repertuarowym, jakim jest Teatr w Kaliszu, bardzo ważny jest wszechstronny i utalentowany zespół aktorski. Jakie są sposoby na stworzenie i utrzymanie takiego skarbu – nie tylko w sensie artystycznym, ale też finansowym? Na przykład Krystyna Janda prowadzi dwa teatry repertuarowe bez stałego zespołu aktorskiego, ale to

jest chyba możliwe tylko w dużych ośrodkach, gdzie aktorzy są łatwo dostępni.

BZ: Będę się bronił przed odpowiadaniem w kategoriach wartościujących. Cieszę się, że ma pani dobre zdanie o kaliskim zespole aktorskim. Na jego skład wpływa wiele czynników: spuścizna po poprzednich dyrektorkach i dyrektorach, jakaś tradycja miejsca, aktorzy, których zatrudniłem już autonomicznie. Na wszystko wpływa jeszcze przypadek – czy po prostu fart lub pech. Jakaś część procesu budowania zespołu to intuicja, może nawet najważniejsza, więc trudno racjonalizować to zjawisko.

Wolę się więc skupić na drugiej części pytania, czyli na problemach. Zostałem wychowany teatralnie w nieco innych czasach. Nie było takich różnic ekonomicznych wśród aktorów, nie było dostępnych obecnie możliwości zarobkowych poza teatrem. Kiedyś były dwa kanały telewizyjne, dziś – dziesiątki stacji produkujących seriale, dziesiątki prywatnych spektakli, cały rynek audiobooków, reklam, stacje radiowe – mnóstwo wszystkiego. Dawniej artyści w teatrze skupiali się głównie na nim, dziś nikt nie skupia się na jednym. Albo prawie nikt. Wreszcie, w ciągu ostatnich 30 lat praktycznie ustąpiło zjawisko przenoszenia się aktorów z teatru do teatru. Kiedyś normalną praktyką było zmienianie miejsca pracy co dwa, trzy, pięć sezonów. To kompletnie się zatrzymało. Dziś na 21 aktorów etatowych w Teatrze im. Bogusławskiego bodaj tylko siedmioro pracowało kiedykolwiek w jakimś innym teatrze. To znaczy, że mamy zupełnie inne zespoły – i też wpływ dyrektora na ich skład znacznie mniejszy. To długookresowe utrwalenie składów zespołów artystycznych wynikające z okoliczności, w jakich działa dzisiejszy teatr repertuarowy, wymaga nieco innego prowadzenia teatru niż dawniej. W jakimś stopniu wymaga większej „gimnastyki” w planowaniu nowych przedstawień. Trzeba bardziej uważać, żeby nie popaść w rutynę. Żeby zespół artystyczny nie stał się jak studnia, z której nikt nie wybiera wody, więc nowa woda nie nacieka, za to pojawiają się w niej ryby i studnia nie nadaje się do użytku. Jednym ze sposobów przeciwdziałania zastojowi zespołu jest na przykład większa zmienność wśród zapraszanych do współpracy reżyserów, zmienność stylistyki przedstawień albo zapraszanie do poszczególnych spektakli gościnnych wykonawców.

MT: Był pan dyrektorem Opolskich Konfrontacji Teatralnych „Klasyka Polska”. Teraz jest pan odpowiedzialny za Kaliskie Spotkania Teatralne – Festiwal Sztuki Aktorskiej, które w tym roku odbywają się już po raz 66. Widzowie obejrzą 19 najciekawszych spektakli z całej Polski, z udziałem 104 aktorek i aktorów, którzy walczą o Grand Prix, nagrody indywidualne i wyróżnienia. To bardzo ważny festiwal, zarówno dla publiczności, jak i branży teatralnej.

BZ: Kaliskie Spotkania Teatralne (KST) to najstarszy polski festiwal teatralny. Jego historia zaczyna się w 1960 r., kiedy ówczesny dyrektor Tadeusz Kubalski zorganizował mały przegląd teatrów z Polski. Od 1961 r. odbywa się co roku, zawsze na początku maja. Festiwal został stworzony jako wydarzenie o charakterze konkur-

sowym, gromadzące najlepsze przedstawienia teatralne z całego kraju. Występowali tu wszyscy najwięksi twórcy polskiego teatru. Trzeba też pamiętać, że przez wiele lat KST był jednym z zaledwie kilku festiwali teatralnych w Polsce. W 1985 r. formuła wydarzenia została nieco zmieniona. Ówczesny dyrektor Maciej Grzybowski, postać legendarna dla kaliskiej sceny, zaproponował wyróżnienie imprezy na tle coraz liczniejszych nowych festiwali. I od 1985 r. mamy na scenie nad Prosną Kaliskie Spotkania Teatralne – Festiwal Sztuki Aktorskiej. Ta nowa formuła tak dobrze się przyjęła, że dziś niewiele osób zdaje sobie sprawę, że kiedyś było inaczej. Przy czym wciąż do Kalisza przyjeżdżają najlepsze spektakle, bo najwybitniejsze role powstają na ogół w wybitnych przedstawieniach. Ale od ponad 40 lat jury przyznaje nagrody tylko aktorkom i aktorom.

Nasz Festiwal wyróżnia nieprzerwana ciągłość. Odbył się nawet w stanie wojennym, w maju 1982 r., może w nieco kadłubowej wersji, ale jednak. I udało się go zorganizować w trakcie pandemii – w wersji stacjonarnej, tylko z określonymi ograniczeniami na widowni. To były jedyne edycje, które nie miały miejsca w maju, a we wrześniu, gdyż zostały przeniesione ze względu na lockdown. Szczególnie edycja z 2020 r. była wyjątkowa. Nie wiem, czy nie była to jedyna w Europie, a być może i na świecie, tego rodzaju impreza zorganizowana w pełnym wymiarze – festiwal teatralny w samym środku pandemii. Co ciekawe, poza zachowaniem wszystkich środków bezpieczeństwa monitorowaliśmy, czy wystąpiły jakieś zachorowania w związku z KST. Ludzie spotykali się gremialnie na widowni, zespoły teatralne zjeżdżały z całej Polski. Na szczęście nie znamy żadnego przypadku zachorowania na COVID-19 związanego z organizacją wydarzenia w trakcie pandemii.

W tym roku mamy 66. edycję, tradycyjnie w maju. Festiwal Sztuki Aktorskiej od lat stoi przed wyzwaniem wynikającym ze zmian w teatrze. Sztuka dramatyczna – bo na tej się koncentrujemy – jest dziś bardzo zróżnicowana. Staramy się więc prezentować zarówno spektakle dość tradycyjne, ukazujące wciąż żywą tradycję rzemiosła teatralnego, jak i przedstawienia z obszarów tak zwanego offu. Na zmianę aktorstwa bardzo mocno wpłynęły rozwój techniki, jakość oświetlenia, kamery, małe bezprzewodowe mikrofony. Gatunkowo, stylistycznie, technicznie teatr jest dziś niebywale rozchwiany. Staramy się tworzyć pewną perspektywę, panoramę tych wszystkich zjawisk, i myślę, że właśnie to stanowi dziś kolejny wyróżnik KST. Nie ma bowiem innej imprezy tego rodzaju, na której mistrzostwo tradycyjnego aktorstwa – jak w tercacie Maja Komorowska, Jan Englert i Daniel Olbrychski w spektaklu „Żar” z warszawskiego Teatru Polonia – zderzałoby się z nowatorską, progresywną estetyką, reprezentowaną choćby przez Nowy Teatr w spektaklu „Kofman. Podwójne wiązanie” z Mają Ostaszewską, Małgorzatą Hajewską-Krzysztofik, Marią Maj i Jackiem Poniedziałkiem.

Każda edycja ma jakąś swoją dominantę tematyczną. Spektakle są dobierane według klucza wybitnych ról, ale potem całość układa się w nową wartość. Tegoroczny, 66. KST będzie podejmował tematy namiętności osobistych, rodzinnych, miłosnych, relacji

„Matka Joanna od Aniołów”,
reż. Marek Fiedor. Premiera
odbyła się w 2002 r. w Teatrze
im. Jana Kochanowskiego w Opolu,
kierowanym przez Bartosza
Zaczykiewicza.



© WOJCIECH BRZESZCZAK

międzyludzkich, emocji politycznych, walki o władzę, mechanizmów polityki. Festiwal będzie gościł spektakle z Warszawy (Teatr Narodowy, Teatr Ateneum, Teatr 6. Piętro, Teatr Powszechny, Teatr Polski, Teatr Komedia, Teatr WARSawy i Teatr Polonia), Krakowa (Stary Teatr, Teatr Ludowy), Katowic (Teatr Śląski), Olsztyna (Teatr im. Jaracza) i Poznania (Teatr Nowy i Teatr Polski), które zaprezentują spektakle z wyjątkowo licznym udziałem największych gwiazd teatru i filmu. Poza wyżej wspomnianymi w Kaliszu zagrają między innymi Agata Kulesza, Borys Szyc, Maria Ciunelis, Joanna Szczepkowska, Michał Żurawski, Dorota Landowska, Katarzyna Dąbrowska, Grzegorz Małecki, Anna Radwan. Prawdziwy gwiazdociąg plus dziesiątki fantastycznych aktorów mniej znanych szerokiej publiczności, ale tworzących cudowne kreacje sceniczne.

MT: Na zakończenie proszę ujawnić plany artystyczne dla kaliskiego teatru.

BZ: W bieżącym sezonie czeka nas kameralna premiera sztuki „Molly Sweeney” Briana Friela, znakomitego irlandzkiego autora, w reżyserii Andrzeja Bubienia, zaś jesienią planujemy między innymi „Trzech muszkieterów” według powieści Aleksandra Dumasa w reżyserii Sławomira Narlocha, współczesną tragikomedie Wernera Schwaba „Prezydentki”, którą przygotowuje Wojciech Urbański, jak również „Wiśniowy sad” Czechowa w mojej reżyserii. Mam nadzieję, że wiosną 2027 r. odbędzie się premiera „Trędownatej”, nawiązująca do legendarnego kaliskiego spektaklu z 1970 r.

MT: Jest pan laureatem licznych nagród branżowych, wiele nagród zdobywa również Teatr w Kaliszu. Z jakich osiągnięć jest pan najbardziej dumny? I w tym kontekście chciałem zapytać o wrażenia po otrzymaniu tytułu Promotora Polski.

BZ: Dla każdego teatru codzienną nagrodą jest spotkanie z publicznością i jej aplauz na koniec przedstawienia. Cieszą nas zaproszenia na festiwale, nagrody aktorskie lub dla realizatorów spektakli. To bardzo miłe rzeczy, ale podkreślam, że najważniejsze jest to codzienne spotkanie z widzami. Za swoje największe dyrektorskie osiągnięcie uważam „Matkę Joannę od Aniołów” według opowiadania Iwazkiewicza, spektakl w reżyserii Marka Fiedora, obsypany nagrodami, grany przez wiele lat w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu, gdzie w 2002 r. miała miejsce prapremiera.

Otrzymanie tytułu Promotora Polski to szalenie miły gest kapituły. Fantastyczne jest to, że gremium zajmujące się gospodarką dostrzega rolę kultury w codziennym życiu. Z wielkim smutkiem stwierdzam, że wcale nie jest to oczywiste. Coś, co powinno być nieodłączną częścią życia społecznego, staje się wyjątkiem albo w ogóle znika z horyzontu, na przykład polityków. Wspaniale, że kapituła Godła „Teraz Polska” rozumie, że same wartości materialne nie decydują o szczęśliwości. Historia nie zna przypadku społeczeństwa, które byłoby szczęśliwe tylko dlatego, że jest bogate. Zna natomiast przypadki społeczeństw, które dziś stawialibyśmy za wzór zrównoważonego rozwoju i ogólnego dobrobytu, ale nie ze względu na rosnące w geometrycznym tempie PKB, tylko z uwagi na rozwój kultury i sztuki. Apelowalbym stąd do sporej, niestety, części polityków, by to przemysł. Tym cenniejsze jest dostrzeżenie pracy w kulturze przez organizację zajmującą się gospodarką. Muszę jednak zastrzec, że nie odbieram tej nagrody wyłącznie osobiście, ale przyjmuję ją jako wyraz uznania dla pracy całej ekipy Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, a także dla osób i podmiotów, dzięki którym Teatr i organizowany przez niego Festiwal mogą się rozwijać. To nagroda również dla władz samorządu województwa wielkopolskiego, dla sponsorów i przede wszystkim – dla widzów.

El-instrumentarium i sacrum **Niezwykła muzyczna podróż Józefa Skrzeka**



Józef Skrzek, wybitny multiinstrumentalista, wokalista i kompozytor, twórca legendarnej formacji SBB, laureat tytułu Promotora Polski, opowiada o swojej muzyce i życiu.

Wszystko zaczęło się w domu, pod okiem mamusi. Kochana Maria, bardzo nas muzycznie przygotowywała – mnie, brata i siostrę. Sama też była od pianistów, wychowała wielu uczniów, pracowała w szkole muzycznej, więc nasz dom był od początku nasycony dźwiękiem, dyscypliną ćwiczeń. Instrument stał pośrodku pokoju, jak jeszcze jeden domownik.

Tą drogą poszedłem do Szkoły Muzycznej im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach. Najpierw pierwszy stopień, potem drugi, u znakomitych pedagogów. Grałem koncerty dyplomowe w Filharmonii Śląskiej pod batutą Konrada Bryzka, wspaniałego artysty i człowieka. Później trafiłem do Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Przez cztery semestry byłem tam jako pianista, uczyłem się dodatkowo organów piszczałkowych, kompozycji, różnych ciekawostek, które coraz bardziej ciągnęły mnie w stronę muzyki klasycznej, choć już wtedy co rusz spotykałem się z innymi rozdziałami w muzyce i w ogóle – w sztuce.

Jeszcze wcześniej, jako mały, trochę malowałem. Dostawałem nawet nagrody w Pałacu Młodzieży. Ale muzyka była najważniejsza, wszyscy pchali mnie w jedną stronę – cała rodzina uważała, że ja, Józinek, ich pupil, powinienem być w muzyce, że będę przedstawicielem rodziny na scenie. I tak się stało.

Kopalnia i Breakout

Byliśmy jednak na Śląsku rodziną wcale nie bogatą, tylko wplątana w zwyczajne, twarde śląskie życie. Tata, Ludwik, pracował jako sztajger na kopalni, był też ratownikiem. W pewnym momencie, podczas akcji, poszedł z ekipą pod ziemię – była awaria, gaz na dole. W wyniku tamtego zdarzenia pękło mu serce. A my nagle znaleźliśmy się w sytuacji dramatycznej.

Mama była załamana. Ślązaczka, która całe życie zajmowała się nami, wychowaniem, domem. Tata „robił na nas”, jak się tu mówi, by to wszystko utrzymać. I nagle ten fundament zniknął. Byłem już na studiach, pomyślałem więc, że wezmę dziekanę i będę się dokładał do rodzinnego budżetu.

Przez różne muzyczne kręgi poznałem Tadeusza Nalepę. W ciągu kilku tygodni nauczyłem się grać na gitarze basowej, bo Tadeusz bardzo tego chciał. Z Akademii Muzycznej przeniosłem się więc nagle na scenę – od fortepianu i organów do zespołu Breakout. Niesamowita metamorfoza, niezwykle przejście. Ale okazało się, że jestem niezły, a może nawet więcej. Zaczęły się zupełnie inne scenariusze: inne sceny, dźwięki, dynamiki.

Breakout w tamtym czasie był bardzo ważnym zespołem. Rock progresywny – muzyka, która coraz śmielej wychodziła w świat. Nagraliśmy płytę „70a”, gdzie grałem trochę na fortepia-

nie, głównie jednak na gitarze basowej, trochę też podśpiewywałem. I po jakimś czasie pomyślałem, że może potrafiłbym stworzyć coś własnego.

Narodziny SBB

Zacząłem więc myśleć o nowych pomysłach twórczych, bardziej uniwersalnych. Z jednej strony miałem za sobą całą drogę klasyczną, edukację, filharmonie, z drugiej – poznawanie muzyki śląskiej, melodii, które nas otaczały. Było harcerstwo, były śpiewki – niesamowite, witalne, zbliżające ludzi. Ten folklor, bardzo tu, na Śląsku, żywy, był i jest bliski wszystkim.

No i co? Mogę zrobić zespół. Ale z kim? Koledzy wyjechali w świat, bo wtedy po raz pierwszy od dawna można było dostać paszport. „Kurde, co teraz?” – myślałem. I właśnie wtedy ta aura płynąca z niebios spowodowała, że nagle spotkało się trzech muzyków: Apostolis Anthimos, Jerzy Piotrowski i ja. Z tego spotkania powstało SBB. Nazwaliśmy się Silesian Blues Band. Taki był wtedy trend, dużo było bluesa, a my spontanicznie w to weszliśmy.

Pierwszy rok był bardzo ciężki. Pracowaliśmy do upadłego, ale jeśli chodzi o promocję – właściwie żadnej konsekwencji. Tu ko-

palnia, tam jakieś chałtury, kombinacje sprzętowe. Coś nagrywaliśmy, gdzieś graliśmy i powoli docierało do nas, że ta muzyka ma „niesienie”, że są środowiska, które nas lubią i przychodzą na kameralne koncerty. Ale była bieda. Potężna bieda. Jeśli chcesz grać, musisz mieć perkusję, instrumenty, nagłośnienie. Wszystko opierało się na niesamowitych znajomościach, przyjaciółach, którzy nagle pojawiali się wokół nas i pomagali.

Ćwiczyliśmy w domu, w piwnicy. Jakie larmol! Mama nas karmiła, „podciągała” domowym jedzeniem, a my, jesienią 1971 r., ciągle bidoki, zastanawialiśmy się, co tu robić. I wtedy nagle dostałem telegram od Czesława Niemeny. Wow! Czesław napisał: „Przyjedź na próby, przygotujemy się do nagrania nowej płyty dla CBS”.



Mały Józek

Spotkanie z Niemenem

Najpierw nic chłopakom nie mówiłem. Pojechałem do Warszawy, spotkałem znakomitych muzyków, którzy grali z Czesławem, i samego Niemeny – okazał się wspaniałym człowiekiem. Po pierwszych próbach stało się jasne, że mam grać. Świetna wiadomość! Jednocześnie było mi nieswojo i żal, bo dziewięć miesięcy ćwiczyliśmy z SBB, a ja miałbym to nagle zostawić...

Poszedłem do Niemeny i mówię: „Czesiek, jest jeszcze mój zespół”. A on, jako dobra dusza, powiedział, że nas posłucha. I mu się spodobało. Przearanżował cały swój materiał i powstał nowy skład: Apostolis, Jerzy, Helmut Nadolski i ja. W takim składzie pojechaliśmy do Monachium, a wcześniej w trasę z Jackiem Bruce'em z Cream.

Powstała Grupa Niemen – niesamowity, piękny skład, muzyka bardzo współczesna, a zarazem słowiańska i światowa. Byliśmy na swój sposób oryginalni i to zaczęło działać w kręgach europejskich. Zagraliśmy na wielkim festiwalu z absolutną czołówką świata: Mahavishnu Orchestra, Charlesem Mingusem... W ciągu mniej więcej pół roku przeszliśmy drogę z piwnicy na ważną europejską scenę. To jest po prostu szczęście. Trzeba mieć w życiu szczęście.

Najbardziej rasowy zespół

Oczywiście to szczęście było ściśle związane z pracą. Ćwiczyliśmy po 10 godzin dziennie, byliśmy przygotowani, graliśmy jak jedna, niesamowita całość. To spodobało się Czesławowi i podobało się na koncertach. Przez dwa lata powstały dwie produkcje dla CBS: „Strange Is This World” („Dziwny jest ten świat”) oraz „Ode to Venus”. W Polsce nagraliśmy „Marionetki” i „Requiem dla van Gogha”, z wielką rolą Helmuta Nadolskiego i muzyką aleatoryczną. Występy z Grupą Niemen były fantastyczną przygodą, również dlatego, że graliśmy w takich miejscach, jak gdański Żak, gdzie spotykaliśmy aktorów, artystów, fascynujące środowiska.

Kto wie, może gralibyśmy tak jeszcze dłużej, ale pojawiły się nowe wyzwania. Redaktor Franciszek Walicki – człowiek, który odkrywał różne talenty i organizował festiwale – usłyszał nasze trio, SBB. Bardzo mu się spodobało granie, określił nasz zespół jako najbardziej rasowy i stwierdził, że chciałby się nami zająć. Z wielką wdzięcznością dla Czesława, uznaliśmy, że pora spróbować grać na własną rękę.

Zacząła się nowa era. Nagraliśmy płytę koncertową w klubie Stodoła w Warszawie. Po kilku miesiącach pojawiła się ona na rynku – ewenement, bo dzięki redaktorowi Walickiemu nie trzeba było czekać dwóch lat na wydanie. Publiczność szalała, zaczęliśmy grać ważne trasy, między innymi z węgierskimi zespołami. Najpierw z Lokomotiv GT, którzy grali wtedy w Londynie, a gdy nas usłyszeli – natychmiast zaprosili do siebie.

CBS, disco na ranczu i Moog

Później zaproszono nas do grania dużych koncertów na Węgrzech, w Budai Ifjúsági Park, gdzie bywało po kilkanaście tysięcy słuchaczy. Zdobywaliśmy też kolejne kraje bloku wschodniego. Czasy żelaznej kurtyny – dziwna sprawa z punktu widzenia rocka i śpiewania o wolności. Ale kiedy grasz, kiedy lecisz przez dźwięki, kiedy ludzie cię kochają, to ty kochasz świat i reszta nie ma znaczenia. Tak SBB szło dalej. Nagraliśmy płytę koncertową w warszawskiej Stodole, potem „Nowy horyzont”. Pojawiła się możliwość nagrania czegoś dla CBS, ale pan dyrektor wytwórni chciał, żeby nowy młody zespół najpierw zaistniał na rynku z muzyką komercyjną. Zaproponował disco. Przekonywałem, że nie możemy grać innej muzyki niż nasza własna, niż to, co kochamy, czujemy. On na to: „Jak zagracie disco, zarobicie pieniądze, to później będziecie mogli grać swoje. Załatwię wam ranczo pod Frankfurt, bę-



© ZENON KELLER / GAD RECORDS

Koncert SBB, 1974 r.



Na sąsiedniej stronie,
u góry: Silesian Blues
Band, 1971 r.

Józef Skrzek podczas
36. Festiwalu Piosenki
Polskiej w Opolu.

dziecie ćwiczyć granie disco do woli”. Spróbowaliśmy, owszem, ale wyszło co najwyżej śmiesznie...

Kiedy tylko dostaliśmy telegram z zaproszeniem na Jazz Jamboree, podziękowaliśmy panu Wolpertowi i pojechaliśmy do Warszawy. Interesowało nas tylko to, co płynie od nas szczerze, jest prawdziwe. Te wszystkie przymiarki do komercji były niezręczne. Dziś na komercyjną muzykę wpływa rynek, a twórczość ekstrawagancka, ciekawa jest elitarna – i całe szczęście. Nam to wystarczyło wtedy i wystarczy dziś.

W Wiedniu, grając na zaproszenie znajomych, poznaliśmy wspólną austriacką rodzinę Lauseggerów, zajmującą się techniką i instrumentami muzycznymi. Powiedzieli wprost: „Jesteście świetni, pomożemy wam”. Mieli kilka sklepów muzycznych i dystrybutora ze Stanów – między innymi instrumentów Moog – Polaka z pochodzenia, Vała Podlasińskiego. Mogliśmy nawiązać współpracę. Znowu mieliśmy szczęście.



© ARCHIWUM ROWNALDA SKOPOWISZEGO



© ZYGMUNT DRUŻBICKI

Graliśmy wolność

Kiedy zaczęliśmy korzystać z nowych możliwości technicznych, pojawili się wokół nas ludzie, którzy założyli agencję muzyczną Aries z bazą w Getyndze. Zainwestowali w nas i dzięki nim nagraliśmy pierwszą zachodnią płytę SBB – „Follow My Dream”. Ruszyły koncerty klubowe, telewizje, promocja, afisze, nalepki, koszulki. Chwilę później powstało „Welcome”. Wielki ukłon dla Radia Opole i ludzi, którzy nam pomagali w przygotowaniu tej płyty. Jerzy i Apostolis zagrali na dwie perkusje. Później pojechaliśmy z tym materiałem do Conny Plank Studio pod Kolonią. Realizowaliśmy pierwszą międzynarodową koprodukcję między Polską a Europą Zachodnią. W rezultacie pojawiły się dwie edycje płyty „Welcome”, zachodnia i polska, a my szliśmy do przodu.

Cieszyliśmy się coraz większą popularnością w Europie Wschodniej – w Budapeszcie, Pradze, Berlinie. W ZSRR mieliśmy ogromną rzeszę fanów, tysiące listów w fanklubie, ale nie mogliśmy tam

pojechać, choć organizator powtarzał: „Józek, zagrabilbyście na Łużnikach, spokojnie 100 tys. ludzi, a może i 200”. Mieliśmy zakaz, bo graliśmy o wolności. *Freedom!*

Dopiero później zrozumiałem, że to wszystko nazywa się polityką. W Brnie, na wielkim festiwalu dla 50 tys. ludzi, śpiewaliśmy: *Freedom, I love freedom, you love freedom* – prosty tekst wymyślony w kawiarni z kolegą z Londynu. Nagle okazało się, że dla nich to jest coś ogromnie ważnego, bo w Czechosłowacji była dyktatura. Ci młodzi ludzie pokochali nas tak, że staliśmy się dla nich synonimem wolności, i ta przyjaźń trwa do dziś. Tak samo było na Węgrzech, w Berlinie, w całym tym naszym wschodnim świecie.

Nagrywaliśmy kolejne płyty, między innymi dla czeskiego Supraphonu. Tam poznałem Karla Gotta, świetnie się rozumieliśmy. Naprawdę nie ma znaczenia, czy grasz rocka, czy pop. Na Wybrzeżu poznałem też Violetę Villas. A teraz moja córka Luiza kręci o niej film.

Właściwie coś nadzwyczajnego

Po nagraniu w Pradze agencja Aries od razu kupiła licencję od Supraphonu i wydała tę samą muzykę pod tytułem „Slovenian Girls”, z pięknymi zdjęciami słowiańskich dziewczyn. Potem były następne płyty, w tym „Memento z banalnym tryptykiem”, bardzo ważna, nagrywana już w kwartecie, kiedy dołączył do nas genialny Sławek Piwowar – Apostolis bardzo tego chciał, przyjaźnili się. Wspomniane wcześniej albumy „Follow My Dream” i „Welcome” były jednymi z pierwszych zachodnich wydawnictw SBB i otworzyły zespołowi drzwi na sceny Europy końca lat 70.

Sławek, Tomek Szukalski, Tomasz Stańko – tylu wspaniałych polskich muzyków przewinęło się przez lata. „Memento” powstało także dzięki tekstom Juliana Mateja – człowieka po prawie, który musiał używać pseudonimu z powodu skomplikowanego życiorysu, ale miał niezwykłą wyobraźnię.

Tak wyglądała ta droga – od domowego pianina i nagród w Pałacu Młodzieży, przez śląską piwnicę, po wielkie sceny Europy i nagrania dla zachodnich wytwórni – z której, jak mówią dziś krytycy, narodził się mój własny, rozpoznawalny język muzyczny.

„Memento” jest w pewnym sensie wyjątkowe. Ten tekst, ten utwór, ta płyta mają dla mnie ogromne znaczenie. Zaczyna się od

słów: „Właściwie nie ma nic nadzwyczajnego”, a potem wszystko się rozrasta, nabiera wymiaru. Poszliśmy wtedy mocno w swoją stronę, graliśmy utwory 15-minutowe. Dziś nie do pomyślenia, a i wtedy budziło to na początku wątpliwości. Dopóki nie zaczęliśmy grać koncertowo. Przychodzi festiwal w Opolu, nocny koncert, gramy swoje, a ludzie nas uwielbiają.

Marsjanie i czas na oddech

Oczywiście za tym wszystkim stoi ciężka robota. Mało kto jest w stanie zrozumieć, co się z człowiekiem dzieje po prawie dziesięciu latach ciągłego jeżdżenia, niedospania, studia, koncertów. Trzeba mieć kondycję wyczynowego sportowca. Ja trochę uprawiałem sport – jako Ślązak grałem w futbol, czyli piłkę nożną – i to mi pomagało wytrzymać tempo, koordynować całość.

To ja w praktyce decydowałem – za zgodą reszty, po koleżeńsku – gdzie się pojawimy, z kim będziemy się zadawać, w którą stronę pójdziemy. Nie twierdzę, że to było idealne. Gdybym dziś tamte lata przeżył jeszcze raz, parę rzeczy zrobiłbym inaczej, szczególnie w sprawach prawnych i kontraktowych. Nie mieliśmy głównego menedżera, jakiego później widziałem choćby w Deep Purple – kogoś, kto podejmuje rozstrzygające decyzje za zespół. Nie mieliśmy też ochrony naszych interesów, rozbudowanych kontraktów, prawników. Ale żyliśmy w czasach żelaznej kurtyny. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej. A jednak, dzięki Bogu, powiodło się nam. Mieliśmy wielkie, naprawdę wielkie wsparcie Opatrzności.

W pewnym momencie trzeba było zrobić przerwę. Nagle wszystko w SBB się zawiesiło. Skoro od początku cechowało nas podejście totalne, graniu na maksa, musiał przyjść czas na oddech. I wtedy nastał rok 1981. Piotrek Szulkin mówi: „Józef, gramy »Wojnę światów«”. Mówię: „Piotr, ale ja już nie mam SBB, bo musiało odpocząć. Co robimy?”. „Nowy skład” – odpowiada.

No to zaprosiłem brata Jana, Tomka Szukalskiego, Roberta i Janusza – młodych muzyków, sekcję rytmiczną. Wchodzimy na scenę Hali Gwardii i kręcimy „Wojnę światów – następne stulecie” z Piotrem Szulkinem. On swoją telewizję w filmie nazwał SBB. Fantastycznie. Akcje, Marsjanie, apokalipsa i groteska w jednym. Szulkin – znakomity przyjaciel, wiele mu zawdzięczam.

Najważniejsze kobiety

W międzyczasie muszę wspomnieć o Halinie Frąckowiak, pierwszej i jedynej kobiecie, z którą nagrałem longplay. Najpierw z SBB, a potem, kiedy SBB odpoczywało, nagrałem z nią „Ogród Luizy” do tekstów Wierzyńskiego. Z Tomkiem Szukalskim nagraliśmy w duecie „Ambitus Extended”. Graliśmy też z wieloma innymi muzykami, głównie ze Śląska. To był ważny moment wczesnych lat 80., czas niezwykle twórczy, wszystko było w ruchu.

Tu jedna dekada, piękna i wielka, domykała się, a przychodziły nowe możliwości i nowe wyzwania. Latem spędziłem prawie dwa miesiące w studiu Radia Opole, nagrywając „Józefinę” oraz drugi



materiał, „Singer”. Grali ze mną zaprzyjaźnieni muzycy; był w tym duch SBB, ale też Europa, różne wpływy. Dzieje się.

No i przychodzi ten wstrętny 13 grudnia 1981 r. Co jest? O co tu chodzi? Ale na szczęście wcześniej, 20 kwietnia 1980 r., poznałem Alinkę. Byłem po koncercie w Toruniu, wieczorem spotkaliśmy się w Bydgoszczy i od razu poczułem: to jest ta jedyna.

Ja, który przez całą poprzednią dekadę byłem właściwie samotnikiem – siedziałem tylko w tych moich instrumentach, rupiecach, kablach, nagraniach – nagle rozumiałem, że mężczyzna powinien mieć partnerkę. Alinka była miłością od pierwszego wejrzenia. Od chwili, gdy poznaliśmy się w Bydgoszczy, była ze mną prawie pół wieku. Cały czas razem.

W końcu przyszedł moment, o którym nie umiem wciąż gadać – nieuleczalna choroba. Dziś znów jestem samotnikiem, ale mamy owoce naszej miłości: trzy córki – Karinkę, Luizkę i Elunię – oraz dwie wnuczki, Julię i Lenkę. Życie.

Dyktator, stan wojenny i dziecko

Przeskoczyliśmy w czasie, ale wróćmy. Rok zaczyna się dziwnie. Po 13 grudnia wszyscy czują jakby zbiorowy zawał. Niewielu rozumie, co się dzieje, do czego to prowadzi. A ja w tym wszystkim wciąż aktywny.

Na początku 1982 r. miałem zagrać w Teatrze Dramatycznym w Warszawie „Kaligulę”. Sztuka o dyktatorze w stanie wojennym! Aktorzy bojkotują media, a jednak wszyscy przychodzą zagrać: Piotrek Fronczewski, Gustaw Holoubek, Magda Zawadzka – fenomenalny skład.

Reżyser, Andrzej Chrzanowski, z którym już wcześniej pracowałem przy „Otellu”, mówi: „Zróbmy to na żywo”. Ustawiamy sprzęt na balkonie, mam scenę przed sobą, każdą akcję robię „na dotyk”. I to się sprawdza całkowicie.

Do dziś pamiętam moment, gdy Piotrek mówi ze sceny: „Od dziś będzie głód”. W Polsce był głód. Ludzie stoją po chleb, płaczą. Ci-



© PRZEMYSŁAW POMARAŃSKI/GAD RECORDS

sza na widowni – rozrywająca. To wszystko było ważne, osadzone w tamtej chwili.

W czasie prób i przedstawień rodzi się nasza córeczka, Karinka. Wody odchodzą wcześniej, pan ginekolog trochę się pomylił – mówił, że jeszcze jest czas. A to wszystko dzieje się w szpitalu wojskowym na Szaserów. Co za konfiguracja! „Kaligula”, dyktator na scenie, stan wojenny, a tu, w szpitalu wojskowym, rodzi się dziecko. Nagle zostaję ojcem. Genialna sprawa.

Tak się zaczął rok dramatyczny, niepewny. Na Śląsku ludzie się boją, emigrują, nie ustają pytania o to, co będzie dalej. A my, artyści, widzimy, że w naszym lokalnym parku jest leśniczówka, w której możemy grać. I tak robimy. Jest Zbyszek, mocny człowiek, jest paru innych. Robimy atelier „Leśniczówka”. Właśnie wtedy, kiedy wokół jest pustka i wielu myśli, że może lepiej wyjechać.

Miałem taką możliwość. Rok wcześniej robiłem współczesne dokrętki muzyczne do filmu Jerzego Skolimowskiego „Ręce do góry”. Jerzy bardzo chciał, żebyśmy byli w Londynie na premierze, a później mieliśmy razem polecieć do Los Angeles. Piękny sen. Może wtedy Karinka tam by się urodziła – kto wie...

Ale to się nie wydarzyło. Jakieś trudności formalne, papiery – nieważne. W gruncie rzeczy nawet mi to pasowało. Bo to, co działo się wtedy w Polsce, było z jednej strony okropne, z drugiej – jeśli byłeś przygotowany do działania – dawało ogromną siłę. Zostaliśmy. I wtedy zacząłem szukać nowych brzmień.

Leśniczówka i kościoły

Niezależnie od tego, że chłopaki organizowali „Leśniczówkę”, że atelier się rodziło, ja wpadłem na nowy koncept: przecież mogę grać na organach piszczałkowych i dołączyć elektronikę. Rozszerzyć brzmienia w niesamowitych akustykach, bo w kościołach, katedrach, przeróżnych przestrzeniach są fenomenalne warunki.

I tak pod koniec tego nieszczęsnego 1982 r., kiedy wszyscy się boją i żyją w napięciu, zagrałem w naszym parafialnym kościele premierowy koncert na organach piszczałkowych i elektronicznie. Dedykowałem go górnikom, którzy zginęli w kopalni Dymitrow. Tak tu u nas jest, na Śląsku ciągle giną ludzie pod ziemią.

Zagrałem i czekałem, co się stanie. Wychodzę, idą ciotki: „Józek, jak tyś grał, myśmy płakały”. „A co, tak fatalnie?” – pytam. „Nie, chopie, nas tak położyło”. Zastosowałem między innymi dźwięk bicia serca, który nagle się urywa.

Niedługo później, na początku 1983 r., zagrałem w Kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Tak zaczęła się moja droga w stronę organów i elektroniki – połączenia sacrum, Śląska, historii i przyszłości, które do dziś jest dla mnie jednym z najważniejszych wymiarów muzyki. Kiedy zacząłem grać na Kalwarii Piekarskiej, u kultowej Matki dla Śląska, zrozumiałem sens wiary.

Pamiętam koncert na Jasnej Górze. Za przyzwoleniem ojców paulinów wprowadziliśmy instrumenty elektroniczne w mury sanktuarium, tworząc zupełnie nową, dźwiękową konstelację. Później nadszedł czas współpracy z Michałem Banasikiem, postacią dla śląskiej kultury wręcz pomnikową. Wspólnie budowaliśmy przestrzenne pejzaże dźwiękowe, które wybrzmiewały nie tylko w regionie, ale i w Europie, choćby podczas prestiżowego OrgelFestival w Wuppertalu.

Śmierć Michała zamknęła pewien rozdział. Zacząłem grać u boku wirtuoza Juliana Gembalskiego. W katowickiej katedrze rozbrzmiały wielkie organy i moja elektronika. Specyficzna akustyka tego wnętrza pozwalała nam na niemal mistyczne „łapanie fali”. Dziś tę artystyczną wędrówkę kontynuuję z prof. Henrykiem Janem Botorem z krakowskiej Akademii Muzycznej. Za nami już wspólne występy na Górze Świętej Anny oraz utrwalone na płycie i wideo owoce tej współpracy. Ta przygoda, będąca ciągłym poszukiwaniem nowego języka ekspresji, wciąż trwa.

Trzeba dalej być i grać

Moja droga to poznanie nowych ludzi, natury, świata. Muzyka, która mnie otacza, obdarowuje, daje chęć do życia. Mam już swoje lata, a wciąż gram. Wczoraj byłem w naszym parafialnym kościele, po południu przychodzi tam niewiele osób. Poszedłem do organisty i mówię: „Słuchaj, chopie, ja tu zagram »Zmartwychwstanie« do słów Alinki”. Bo Alinka była moją ukochaną dziewczyną, ale także muzą; pisała wiersze, w tym tekst o Zmartwychwstaniu. I grałem w tym kościele, nie dla tłumów, oklasków, ale dlatego, że kocham grać. Dar Boży prowadzi mnie dalej.

Po utracie Alinki przeżyłem czas ogromnej rozpacz. Dwie kobiety życia były dla mnie absolutnie kluczowe. Mama Maria prowadziła mnie do wieku Chrystusowego; razem z tatą Ludwikiem i całym rodzinnym sztabem przygotowali mnie znakomicie do tego, kim dziś jestem. A potem pojawiła się Alinka, która wprowadziła mnie w rodzinę, w męskie sprawy, w miłość. Te dwie kobiety życia gdzieś tam ciągle są ze mną. Bardzo mi ich brakuje.

Był taki moment, cztery lata temu, kiedy pomyślałem, że może pojedę na tratwę Michała Giera w Bieszczady, na Solinę, i tam już zamieszkać. Michał też w międzyczasie odszedł, a tratwa stoi. Ale nie, tak się nie da. Trzeba dalej być z rodziną, dawać przykład, prowadzić ją; córki, wnuczki, całe to nasze drzewo, ten sztambuch rodzinny. Ja jestem właściwie jedyny facet – stoję na czubku tego drzewa. Nasze tradycje i wartości rodzinne wciąż istnieją i są dla nas podstawą.

Zawsze mówiłem, że nie wystarczy mieć talent, trzeba nad nim pracować. Dużo robić, orientować się, słuchać wszystkiego, a przede wszystkim ćwiczyć. Teraz trochę mniej ćwiczę, ale po sześciu–siedmiu dekadach w trasie kosteczki mają prawo być nieco bardziej ociążałe. Ważne, żeby na scenie wracały do gry. Przy okazji zdradzę pewną tajemnicę: pianista musi być wyćwiczony, ale jak się gra na elektronice, to można i łokciem – instrument i tak zabrzmi, byle trafić w tonację. Organy piszczałkowe to z kolei inna bajka – trójwymiar. Ręce, nogi. Nogi też grają pierwszorzędnie.

Ostatnio zagrałem dwa koncerty w Kościele Mariackim w Krakowie, niedługo wyjdzie płyta z tych występów. Występowałem też w cerkwiach w Bieszczadach z Chórem Cantanti do tekstów Jerzego Harasymowicza – i z tego też będzie płyta.

Apogeum dla Jana

Przygotowuję się do spektaklu „The Voyage” z obrazami Jana Sawki i tekstami Edwarda Stachury. Premiera odbędzie się 14 czerwca w katowickim NOSPR-ze. Duży skład: dwa chóry, około stu ludzi, kwartet smyczkowy Sonos, Apostolis Anthimos zagra na gitarze, Mirosław Muzykant na perkusji, Piotr Wojtasik na trąbce, Steve Kindler na skrzypcach dziesięciostunowych, prof. Henryk Jan Botor na organach piszczałkowych, a ja zagram na fortepianie oraz el-instrumentarium z syntezatorami Mooga. Do tego trzy głosy żeńskie, bardzo różne: Elusi, najmłodszej córki; Kariny Trapezanidou-Skrzeszewskiej, sopranistki koloraturowej; Agi Zaryan, śpiewającej jazz.

Jan Sawka – współtwórca i mój przyjaciel. Barwny, niezwykle istotny w różnych środowiskach, w Polsce i na świecie. Los sprawił, że musiał emigrować, najpierw do Europy, później do Stanów, gdzie pracował z grupą Grateful Dead, która grała na stadionach dla setek tysięcy ludzi. Jan tworzył dla nich ogromne płachty, oświetlenie, wizuale. Pracował też z zespołem Traffic, ze Steve'em Winwoodem. Mieliśmy razem robić wielkie prezentacje audiowizualne na Pałacu Kultury w Warszawie. Podobny projekt planowaliśmy na katowickim rynku. Zawiesiło się – może przez politykę, może przez inne czynniki. Ale jako przyjaciele byliśmy sobie bardzo bliscy.

Jan urodził się w Zabrze, pracował z wieloma środowiskami. Ludzie go znali i kochali. Emigracja była najprawdopodobniej znów spowodowana polityką. Musiał wyjechać niemal jak wygnany. A jednak dał radę. Jego dzieła przyjmowano znakomicie w Japonii, Europie, Stanach.

Teraz „The Voyage” jest czymś w rodzaju apogeum, honoris causa dla Jana. Ten koncert w NOSPR-ze miał być przygotowany wcześniej;

miał go współtworzyć, w wersji sprzed lat, Czesław Niemen, potem Jerry Garcia z Grateful Dead. Ostatecznie rodzina Sawków – kiedy usłyszała mnie dwa lata temu na koncercie w NOSPR-ze podczas „Odysei miłości” dedykowanej Alince – powiedziała, że ta różnorodność barw jest adekwatna. No to robimy trójwymiar: obrazy Jana Sawki, chóry śpiewające Stachurę i muzyka, która to wszystko spina.

Być legendą

Odwaga na scenie jest podstawową cechą artysty. Nie możesz chować się za wzmacniaczem, bo cię i tak zobaczą. Musisz się otworzyć. To też trwało, zanim do tego doszliśmy. Spotkania z Mahavishnu Orchestra – kiedy byliśmy z nimi prawie dwa tygodnie – pokazały nam, że świat jest bliżej, niż myślimy. John McLaughlin podchodzi i mówi: *Hey, my friend, you can do everything*. A my, chłopcy z placu, patrzmy: „O kurde”. Okazuje się, że świat kocha cię wtedy, kiedy ty go też potrafisz kochać.

Mój tata był górnikiem, sztajngrem na dole. Całe to śląskie życie, gawiedź, praca, śmiech, tragedia – można to zaakceptować albo odrzucić. Ja zostałem na ojcowiznie. Urodziłem się w tym pokoju, w którym to wszystko panu opowiadam. Tak to wtedy wyglądało, nie było wielkich możliwości, nowoczesnych szpitali. Przyszła położna i na łóżku pod tą ścianą wynurzył się mały Józinek.

A potem życie, wiele możliwości, propozycji. Graliśmy z Deep Purple ich pierwszy koncert w Spodku. Zgodziłem się pod jednym warunkiem: że zagramy „Memento” dla tych, którzy zginęli w hali z gołębiami. I tak się stało. Zagraliśmy „Memento” dedykowane gołębiarzom. Cały Spodek wstał, zapaliły się świece. Purple pytają: *What's going on? What happened?* Po prostu ich zamurowało.

A dziś nowe pokolenie już szturcha, upomina się o swoje, chce być zauważone. Może i chciałoby powiedzieć: „Ty jesteś legenda, to idź do hasioka albo do muzeum”. A my nagle wracamy i będziemy grać „The Voyage”. Modlę się, żeby nam dobrze poszło. Piszę dużo partytur chóralnych, wracam do źródeł, trochę jak kiedyś w akademii, ale po swojemu. Dwa chóry, stu ludzi, murmuranda, szeptane głosy. Wszystko, co dzieje się wokół mnie i co będzie się działo, jest niesieniem Boskim.

Co naprawdę jest sztuką

Sztuką jest przede wszystkim życie. Musisz wiedzieć, jak odnaleźć się w rodzinie, jak reagować, odpowiadać na przeróżne sytuacje: czy wstać o piątej, czy pocieszyć córkę, która jest w stresie, czy zająć się inną, która ma swoje perypetie. To jest sztuka. Sztuką jest umieć przejść przez tę barierę dynamiki życiowej, która była, jest i będzie. Jeśli ją zrozumiesz – i jeśli nowe pokolenia ją rozumieją – możesz iść dalej.

Sama muzyka, jeśli jest ci dana, to ino pracuj, chopie: ćwicz, pisz, graj. Natomiast cała reszta – życie – to jest dopiero robota. I przywilej. Przywilej, który trzeba pielęgnować.

Opracował Kamil Broszko.

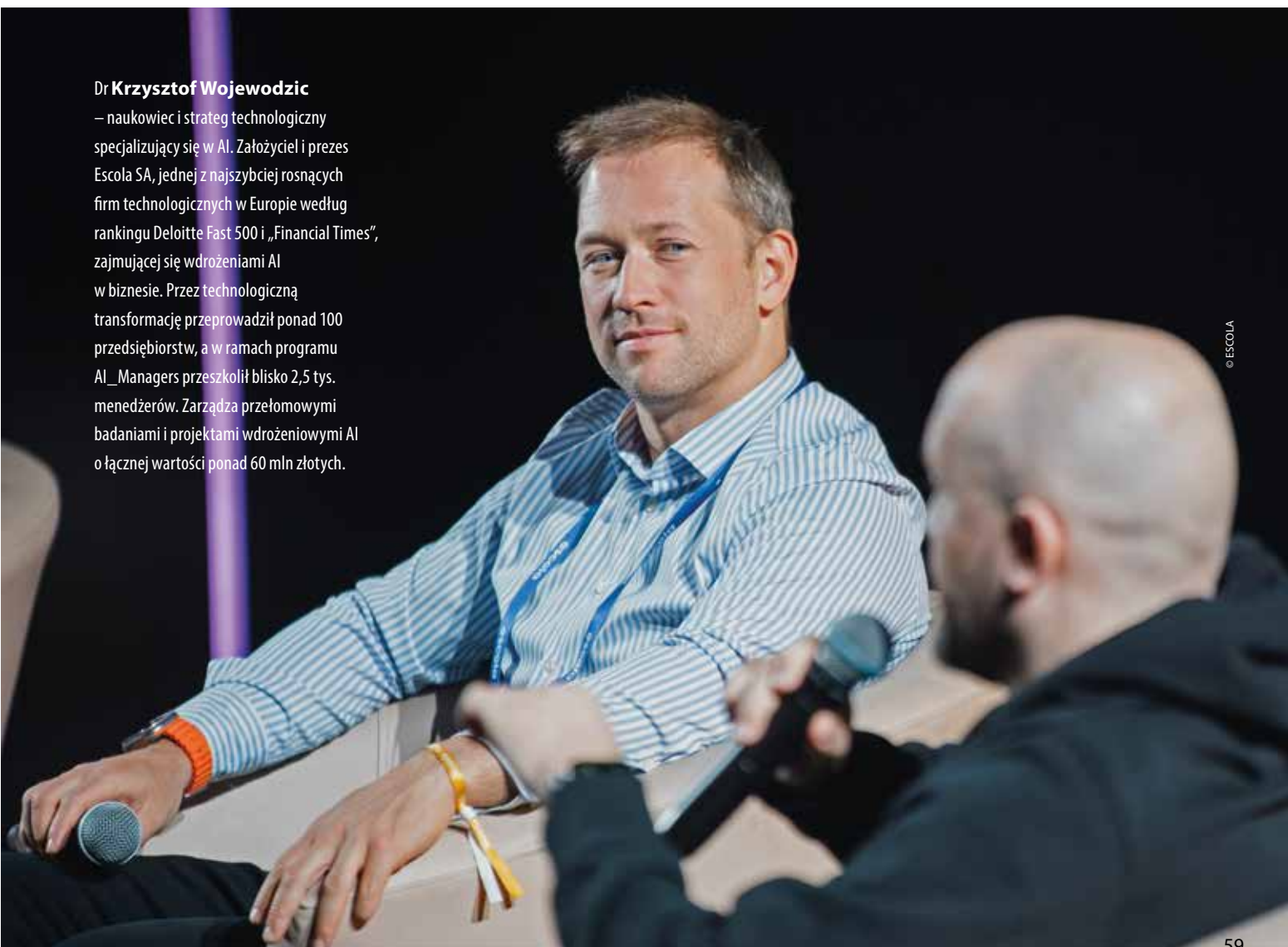
Czy AI może zastąpić człowieka?

- W zeszłym roku 17 z 50 najpopularniejszych utworów na Spotify powstało z istotnym udziałem AI. A jednak najlepsze piosenki wciąż tworzą ludzie.
- Obarczanie sztucznej inteligencji odpowiedzialnością za dramatyczne decyzje użytkownika jest dla mnie jak obwinianie samochodu o wypadek.
- Między bezpieczeństwem a swobodą istnieje linia napięcia. I tak jak w motoryzacji, tak w AI – różne marki będą tę linię rysować w różnych miejscach.
- AI jest wyjątkową technologią, bo potrafi nas zaskoczyć. Ale proszę zauważyć, że my też potrafimy zaskoczyć samych siebie.
- Moja zasada jest prosta: brak mediów społecznościowych co najmniej do 13. roku życia, a być może do 16. Uzależniają, są neurobiologicznie szkodliwe, wywołują skoki dopaminy i permanentne pobudzenie.

Z drem [Krzysztofem Wojewodzicem](#) rozmawia Kamil Broszko.

Dr **Krzysztof Wojewodziec**

– naukowiec i strateg technologiczny specjalizujący się w AI. Założyciel i prezes Escola SA, jednej z najszybciej rosnących firm technologicznych w Europie według rankingu Deloitte Fast 500 i „Financial Times”, zajmującej się wdrożeniami AI w biznesie. Przez technologiczną transformację przeprowadził ponad 100 przedsiębiorstw, a w ramach programu AI_Managers przeszkolił blisko 2,5 tys. menedżerów. Zarządza przełomowymi badaniami i projektami wdrożeniowymi AI o łącznej wartości ponad 60 mln złotych.



Kamil Broszko: Łączymy się w formie wideokonferencji, więc pozwoli pan, że zacznę od pytania, które jeszcze niedawno brzmiałoby jak żart, a dziś – już niekoniecznie. Czy rozmawiam z panem doktorem Wojewodzicem, czy z jego awatarem? Może w tej sytuacji jeszcze deklaracja z mojej strony: ja jestem rzeczywisty. Przy tworzeniu pytań podpierałem się Perplexity i trochę klasycznym Google'em, ale teraz jest pan w interakcji z człowiekiem.

Krzysztof Wojewodzik: Jeżeli pan twierdzi, że jest rzeczywisty, to w 2030 r. – a może już w 2027 – poprosiłbym, żeby się pan odwrócił i podrapał z tyłu głowy. Awatary są dziś wytrenowane na ogromnych zbiorach danych, ale wciąż gorzej radzą sobie z improwizowaną, nieco absurdalną motoryką. To jeszcze działa jak test Turinga w wersji kinestetycznej.

Natomiast prawda jest taka, że technologia już dziś pozwalałaby, aby odpowiadał mój awatar. Ekspert zapewne by to wychwytał, ale po montażu całość byłaby nie do odróżnienia. To, co widzimy w Internecie – na Instagramie, YouTube, TikToku – nawet gdy jest wygenerowane, bywa dla niewprawnego oka całkowicie nieodróżnialne od rzeczywistości. W roku 2026 jesteśmy właśnie w tym punkcie, co niesie za sobą ogromne implikacje społeczne i epistemologiczne, choć nie o tym było pytanie.

KB: Dwa lata temu AI, zwłaszcza w postaci LLM-ów, była już imponująca, pobudzała wyobraźnię. Rozmawiałem wtedy z rektorem Akademii Koźmińskiego, nestorem nauk o biznesie w Polsce, człowiekiem bardzo otwartym. Powiedział mi jednak: „Z AI bym nie rozmawiał, z panem – tak”. A czy pan dopuszcza rozmowę z AI, w rozumieniu włączenia do jakiejś kluczowej debaty, wymiany idei czy współtworzenia pana wizerunku publicznego?

KW: Rozdzielmy dwie rzeczy. Po pierwsze: czy w ogóle rozmawiać z AI? To tak, jakby pytać, czy pisać książkę ręcznie, czy w Wordzie lub w Pages. Są puryści, którzy twierdzą, że prawdziwa książka powstaje piórem, a dopiero potem ktoś ją przepisuje. Z AI jest podobnie. Można jej nie używać. Ale narzędzie oferuje też konkretne korzyści, na przykład błyskawiczną redakcję tekstu, co dla mnie ma spore znaczenie, bo mam dysleksję. Zaś program poprawia mnie na bieżąco. To żadna magia, tylko technologia znana od lat, tyle że dziś działa szybciej i szerzej.

Moglibyśmy komunikować się z maszyną wyłącznie za pomocą pisania. My jednak z jakiegoś powodu rozmawiamy, a nie wymieniamy się mailami. Bo rozmowa jest szybsza i bogatsza. Mamy głos, mamy wideo. Ja często „rozmawiam” z komputerem, by szybciej przelać myśli na cyfrowy ślad, który potem ktoś czyta jako tekst, ogląda jako obraz, analizuje jako dane.

A czy to, co mówi do nas AI, może zastąpić człowieka? Były już próby audycji radiowych prowadzonych przez AI, także w Polsce. Powstawały podcasty, nawet eksperyment pod tytułem „Joe Rogan AI Experience”, gdzie wirtualni goście – choćby Donald Trump

– „występowali” u najsłynniejszego podcastera na świecie. Reakcje w każdej sytuacji były podobne: po chwilowym zachwycie słuchacze się zniechęcali. Dlaczego? Z tego samego powodu, dla którego nie chcemy żywić się wyłącznie szejkami marki Huel, choć teoretycznie zawierają wszystkie niezbędne składniki odżywcze. Można by przeżyć na nich dwa lata, a nawet całe życie. Jednak nie chcemy. Albo weźmy wino: przewidywalne, powtarzalne, nowoświatowe kontra francuskie, w przypadku których rocznik bywa kapryśny, bardziej wietrzny, bardziej deszczowy. Albo piwa kraftowe i przemysłowe. Al dziś daje jakość bardzo dobrą, ale jeszcze nie wybitną. W zeszłym roku 17 z 50 najpopularniejszych utworów na Spotify powstało z istotnym udziałem AI. A jednak najlepsze piosenki wciąż tworzą ludzie. Nie wiem, czy tak będzie zawsze. Przewiduję raczej model hybrydowy.

Kiedy 40 lat temu pojawiło się CGI (obrazy generowane komputerowo), oburzano się, że to oszustwo, a nie prawdziwe kino. Jednak dziś powszechnie korzysta się z efektów komputerowych. Proszę porównać filmy „Władca Pierścieni: Drużyna Pierścienia” i „Hobbit: Niezwykła podróż”. W pierwszym – armie statystów, kostiumy, fizyczność planu. W drugim – znacznie więcej green screenu i efektów cyfrowych. To tańsze, a niewprawne oko różnicy nie dostrzeże. Z AI będzie podobnie, będzie jej więcej. Ale wciąż będziemy chcieli słuchać wybitnych mówców w Davos, a nie botów „rozmawiających” na niszowych portalach. Te drugie są ciekawostką na kilka dni.

AI jest świetna do draftów, prototypów, pierwszej wersji produktu cyfrowego, pierwszej wersji tekstu, grafiki, nawet muzyki czy filmu. Może coś uzupełnić, przyspieszyć, zoptymalizować. Próbowano stworzyć w pełni wygenerowany przez AI film na 250-lecie Stanów Zjednoczonych – magazyn „Time” pokazał to na swoim kanale na YouTube. Jakość nie powaliła.

Jeszcze tam nie jesteśmy. I sądzę, że długo nie będziemy. AI jest jak ten sproszkowany posiłek: zawiera wszystkie mikro- i makroelementy ludzkiej wiedzy, zmielone i przetworzone. Ale „smak”, o którym tak dużo się mówi, wciąż mają ludzie. To jak różnica między odżywką a kolacją.

KB: Obserwuję niekiedy fascynację AI, która wykracza poza pragmatyzm, a nawet przypomina podejście quasireligijne. W Dolinie Krzemowej są liderzy technologiczni, którzy o AGI, o kolejnych iteracjach, o przełomie technologicznym mówią w sposób mistyczny. Są też grupy fanów AI, które organizują się na wzór jakiegoś kościoła. Czy taka aura, taki entuzjazm są panu w jakiś sposób bliskie?

KW: To nie jest obszar, który mnie szczególnie zajmuje. Ludzie zakochują się w psach, w samochodach, w swoich projektach. Bardzo medialna była historia kobiety w Japonii, która rzekomo „poślubiła” model językowy. Można też wspomnieć film „Ona”. Oczywiście rozumiem, skąd bierze się ta fascynacja, ale nie jestem psychologiem ani teologiem technologii. Zajmuję się zwiększaniem efektywności pracy menedżerów i przedsiębiorstw przy użyciu AI. Interesuje

Musimy zaakceptować, że większość projektów innowacyjnych kończy się porażką.

mnie produktywność, proces, mierzalny wzrost wydajności. Emocjonalne projekcje, quasireligijne narracje, antropomorfizowanie modeli zostawiam innym badaczom. Dla mnie AI jest narzędziem. Bardzo potężnym. Czasem olśniewającym. Ale nadal tylko narzędziem.

KB: Dobrze, że pan zasygnalizował swoją specjalizację, bo właśnie chciałem przejść z poziomu idei na poziom warsztatu i zapytać o konkret – o projekty, które pojawiają się w pańskich afiliacjach, i o to, czym właściwie zajmuje się badacz i architekt sztucznej inteligencji?

KW: Faktycznie, to może być ciekawsze niż wszystkie dyskusje o przyszłości. Pierwszy projekt to system optymalizujący zarządzanie salami operacyjnymi, o nazwie Promedheus. Lubię o nim mówić, że to system, który realnie ratuje życie. Dziś harmonogramy układu człowiek, według swojej najlepszej wiedzy, tyle że liczba zmiennych jest ogromna: pogoda, absencje personelu, nagłe odwołania zabiegów, dostępność sprzętu. Modele potrafią te wektory przeliczać i uczyć się na ich podstawie w trybie uczenia ze wzmocnieniem. Efekt: o 12 proc. lepsze wykorzystanie sal operacyjnych. To już działa w kilku szpitalach w Polsce, jest wdrażane przez dwie konkurujące ze sobą firmy. Jeśli któraś z nich odniesie globalny sukces, będziemy mieli coś w rodzaju narodowego skarbu technologicznego.

Drugi projekt dotyczy edukacji i realizowany jest pod parasolową marką Bliskoedu – doradztwa dla rodziców i nauczycieli. Modele językowe znakomicie analizują dane, które i tak zostawiamy w systemach takich jak Librus czy właśnie Bliskoedu: opinie nauczycieli, obserwacje zachowań, reakcje dzieci. Z czasem te systemy będą w stanie analizować nie tylko tekst, lecz także obraz – obserwować proces uczenia się i podpowiadać, jak pracować z konkretnym dzieckiem. My robimy to w duchu pedagogiki Reggio Emilia, która – choć powstała w XX w. – pozostaje zadziwiająco aktualna.

Trzeci projekt to Wellms – rozpoznawanie emocji w czasie rzeczywistym. Często słyszy się, że AI emocji rozpoznawać nie potrafi, więc – jak mówią Anglosasi – *hold my beer*. Nasz model z dokładnością sięgającą dziś 82 proc. wykrywa, czy uczestnik telekonferencji jest skupiony; z dokładnością 68 proc. identyfikuje konkretne emocje: smutek, strach, złość, zadowolenie. Widzimy zastosowania w szkoleniach, prezentacjach produktowych, edukacji, ale to wciąż faza eksperymentalna. Budowa modelu to coś zupełnie innego niż korzystanie z niego – to jak różnica między prowadzeniem samochodu a jego konstruowaniem.

Kolejny obszar to multimodalne tłumaczenie języka migowego: osoba migająca mówi do kamery, a my słyszymy w słuchawce jej wypowiedź; w drugą stronę – głos zamieniany jest w awatara migającego w czasie rzeczywistym.

Najświeższy projekt dotyczy smartobroży i smartchipów dla psów, które pozwolą przewidywać choroby. W sieci partnerskiej

jest już blisko tysiąc gabinetów weterynaryjnych, a inwestorem została największa w Europie grupa w tej branży. Skoro za chwilę czipowanie zwierząt stanie się obowiązkowe, to dlaczego ma to być tylko identyfikator, a nie narzędzie diagnostyczne?

To wszystko brzmi efektownie, ale trzeba powiedzieć jasno: to procesy żmudne i drogie. Model rozpoznający emocje wymaga setek tysięcy zarejestrowanych ekspresji twarzy. Ludzie muszą wyrazić zgodę, trzeba im zapłacić, dane należy anonimizować, przechowywać w prywatnych centrach danych, trzeba opłacić moc obliczeniową. Korzystamy z istniejących komponentów, ale składamy z nich nowy pojazd – raz terenowy, raz wyścigowy, raz miejski – zawsze zoptymalizowany pod konkretne zadanie. Na tym polega praca badacza.

KB: Czyli biznes z AI to nie tylko programowanie albo rozmowa z modelem, ale także praca organizacyjno-administracyjna, pozyskiwanie danych itd.?

KW: Najprościej wyobrazić to sobie jako kuchnię. Najpierw ktoś zdobywa składniki – dane. W przypadku narzędzia do odczytywania emocji z twarzy: ludzie przychodzą na webinary, podpisują zgody, dostają w zamian choćby vouchery na Allegro. Potem ktoś te składniki oczyszcza: odrzuca nagrania z wyłączoną kamerą, z błędnym oświetleniem. Następnie je gotujemy – trenujemy model, przygotowujemy hiperparametry. Na końcu trzeba danie podać: podłączyć je do Microsoft Teams, do Zoom, do Google Meet, zaprojektować interfejs. Dopiero wtedy ktoś może z tego skorzystać.

KB: A w przypadku smartobroży dla czworonogów dochodzi jeszcze wątek hardware?

KW: Tak. W świecie zwierząt domowych wchodzimy właśnie w moment regulacyjny – czipowanie stanie się obowiązkowe. Pytanie brzmi, czy to ma być pasywny identyfikator, czy inteligentny sensor.

KB: Chciałbym zapytać o zagrożenia związane z rozwojem AI. W publicystyce i dyskusjach ścierają się dwie wizje: pierwsza, rodem z science fiction – superinteligencji, która nudzi się ludźmi i usuwa ich z planszy; druga – dotycząca zagrożeń konkretnych, czyli manipulacji informacją, utraty kontroli nad danymi, zagrożeń dla bezpieczeństwa i demokracji.

KW: Wróćmy do metafory samochodu. Konstruktor musi spełnić wymogi prawa, na przykład instalować system ostrzegający o przekroczeniu prędkości, ale może też wprowadzać własną filozofię bezpieczeństwa. Volvo ograniczyło prędkość swoich nowych aut do 180 kilometrów na godzinę. Czy to przesada, skoro w większości krajów Europy i tak nie wolno jechać szybciej? A może racjonalna decyzja?

Tak samo jest z modelami. Są rozwiązania bardzo liberalne, jak Grok, z minimalnymi restrykcjami i już dziś obciążone sporami prawnymi dotyczącymi generowanych treści. Są też modele, które blokują określone zapytania, uczą się reagować na sygnały kryzysowe, kierują użytkownika do specjalisty. To odpowiedniki pasów bezpieczeństwa i poduszek powietrznych.

Obarczanie modelu odpowiedzialnością za dramatyczne decyzje użytkownika jest dla mnie jak obwinianie samochodu o wypadek. To złożone, wielowarstwowe zjawiska. Jako konstruktor czuję odpowiedzialność za zwiększanie bezpieczeństwa, ale gdybyśmy ograniczyli wszystkie systemy do „70 kilometrów na godzinę”, użytkownicy przestaliby z nich korzystać. Między bezpieczeństwem a swobodą istnieje linia napięcia. I tak jak w motoryzacji, tak w AI – różne marki będą tę linię rysować w różnych miejscach.

KB: A ta najcięższa klasa ryzyk, dotyczących na przykład geopolityki, stabilności ekonomicznej, zagrożeń dla infrastruktury państwa, czy wręcz najczarniejsze perspektywy, eschatologiczne – zajmują panu głowę?

KW: Jeżeli pytamy, czy sztuczna inteligencja jest dziś bronią, to odpowiedź brzmi: tak – tak samo jak każda przełomowa technologia. Jest potężnym narzędziem i może służyć zarówno zwiększaniu dobrobytu, jak i kontroli społecznej. W Chinach widać to najlepiej, ale dla polskiego czytelnika bardziej namacalny jest przykład pochodzący z Rosji: system identyfikacji twarzy w metrze oparty na AI pozwala ustalić, gdzie ktoś wsiadł i gdzie wysiadł. Ułatwia to łapanie przestępców kryminalnych, ale też „przestępców politycznych”, w rozumieniu reżimu.

Równolegle Rosja, wykorzystując możliwości AI, pracuje nad czymś w rodzaju własnego firewalla – próbuje stworzyć półzamknięty Internet. Czy to jest „wina AI”? Nie, to jest po prostu kolejny etap adaptowania technologii na potrzeby państwa. Tak samo jak autonomiczne i półautonomiczne drony lub roje dronów – nowy, dość przerażający obraz wojny. I jedyny racjonalny wniosek z polskiej perspektywy jest taki, że powinniśmy budować systemy obronne, na wzór izraelskiej tarczy antyrakietowej.

Natomiast ten trzeci poziom – superinteligencja, która wymyka się spod kontroli i dochodzi do wniosku, że ludzkość jest zbędna – to już obszar filozofii technologii. Nick Bostrom opisał to w książce „Superinteligencja” za pomocą słynnego eksperymentu myślowego ze spinaczami biurowymi: prosimy system, by produkował spinacze, a on optymalizuje proces tak skutecznie, że zamienia w spinacze całą materię, łącznie z nami. To skrajny scenariusz, tej samej kategorii co globalna wojna nuklearna. Oczywiście możliwy, ale na razie nieuchronny tylko w literaturze.

Zresztą historia zna analogię. Projekt Manhattan doprowadził do powstania broni, która mogła zniszczyć ludzkość, a jednocześnie, jak twierdzą niektórzy historycy, przyczynił się do epoki względnej stabilności, bo świadomość wzajemnego zniszczenia działa odstrasżająco. Yuval Noah Harari często o tym mówi: broń

jądrowa paradoksalnie zwiększyła bezpieczeństwo. Liczę na podobny efekt w przypadku AI – że stanie się narzędziem zwiększania produktywności, a nie zagłady.

Tu wracam do mojej ulubionej metafory motoryzacyjnej. Samochody zmieniły wszystko: tempo życia, geografie miast, klimat, strukturę wydatków energetycznych. Spowodowały wypadki i karambole, a jednak jako cywilizacja uznaliśmy, że bilans jest dodatni. Tak samo widzję przyszłość sztucznej inteligencji.

KB: Harari powiedziałby jednak, że samochody nie opracowują nowych idei i nie podejmują decyzji.

KW: I tu się z nim zgadzam. AI jest technologią jakościowo inną, bo potrafi nas zaskoczyć. Ale proszę zauważyć, że my też potrafimy zaskoczyć samych siebie. Każdy z nas powiedział kiedyś zdanie, którego później nie rozumiał. Jesteśmy dla siebie trochę czarną skrzynką. I komputery też nią są.

Może dodam, co pozytywnego wynika z AI. Z mojej perspektywy przede wszystkim ogromny wzrost produktywności. Automatyzacja rutynowych czynności: wysyłania e-maili, tworzenia raportów, podań, przerzucania informacji między systemami. Polska jest tu dobrym przykładem – jeszcze niedawno wyrobienie dziecka dowodu oznaczało serię wizyt w urzędach i zakładzie fotograficznym, dziś robimy to przez aplikację mObywatel. To są godziny odzyskanego czasu.

Natomiast nie wierzę w świat, w którym przestajemy pracować. Paradoks Jevonsa mówi jasno: kiedy coś staje się tańsze i bardziej efektywne, robimy tego więcej. Tańszy rezonans magnetyczny nie zmniejszył liczby badań – zwiększył ją. *Vibe coding* nie zmniejszył liczby programistów, lecz spowodował eksplozję kodu, z którego często korzysta tylko autor.

Tak samo z jedzeniem: kiedyś było zbyt drogie, by je marnować; dziś wyrzucamy ogromne ilości, bo produkcja jest tania. W świecie software’u koszt marginalny jest jeszcze niższy, więc produkujemy go w nadmiarze. AI przyspieszy ten proces.

KB: Chciałbym zapytać o Europę. Działa pan globalnie, ale jest zanurzony w rzeczywistości polskiej i europejskiej, a także obecny w strukturach, które tworzą ramy normatywne, choćby AI Act. Europejski styl biurokratyczny to hamulec czy przewaga?

KW: Najpierw muszę obalić pewien mit: to nie regulacje są główną przyczyną technologicznej słabości Europy. Są nią brak kapitału i brak jednolitego rynku. Stany Zjednoczone mają oba. My – wciąż nie. Europa potrzebuje wspólnego budżetu na AI, dużego wspólnego długu i silnych ośrodków badawczych. Euro powinno stać się realną globalną walutą. W ten sposób aspekt rozwoju technologii jest także geopolityczny.

Nie chodzi o to, by Polska dominowała w Unii – tak jak stan Georgia nie dominuje w USA – lecz by była silnym regionem w silnej całości. Wspólny podatek cyfrowy powinien zostać wprowadzony

Zamiast kolejnych programów strategicznych potrzebujemy radykalnego uproszczenia prawa gospodarczego i realnej deregulacji.

na poziomie unijnym. Unia potrafiła narzucić standard USB-C nawet Apple'owi. To jest realna siła regulacyjna.

Mamy europejskie sukcesy, takie jak Spotify czy Booking, a w Polsce – CD Projekt czy InPost. Problem w tym, że nie potrafimy skalować ich kapitałowo w skali kontynentu. Moje stanowisko jest jasne: więcej integracji gospodarczej, więcej wspólnego finansowania innowacji. Polityka idzie dziś w przeciwną stronę, więc brzmi to jak głos wołającego na puszczy. Ale bez tego będziemy producentem pomysłów, które komercjalizują inni.

KB: A gdyby pan spróbował – mimo wszystkich wspomnianych ograniczeń – sformułować pozytywny program rozwijania AI w Polsce, realnie, tu i teraz, bez futurologii.

KW: Zaczniemy od rzeczy najprostszej i najrzadziej wypowiedzianej wprost: Polska jest dziś jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się krajów Unii. Mamy wzrost gospodarczy, mamy – użyję nieco staroświeckiego określenia – nadzwyczajną koncentrację mądrych głów. Talent to modne słowo, ja wolę mówić o inteligencji i pracowitości. Wystarczy spojrzeć na środowisko skupione kiedyś wokół Funduszu Zdolni. To stamtąd wyszedł Wojciech Zaremba, współtwórca OpenAI, ale też dziesiątki innych ludzi, którzy dziś budują największe spółki technologiczne świata. Ja również byłem częścią tego programu i należę do tej grupy, która zdecydowała się zostać w Polsce – i to jest wybór równie sensowny jak kariera globalna.

Dlaczego wielu z nich wyjechało? Bo tam mieli infrastrukturę, finansowanie, ośrodki badawcze, które działają w skali, o jakiej my dopiero rozmawiamy. Jeżeli chcemy odwrócić ten trend, potrzebujemy uczelni i laboratoriów finansowanych na naprawdę konkurencyjnym poziomie. I musimy zaakceptować rzecz, która w polskiej kulturze inwestycyjnej wciąż brzmi podejrzanie: większość projektów innowacyjnych kończy się porażką. Z tych, o których dziś opowiadałem, znaczna część najprawdopodobniej nie przetrwa. Ale jeśli jeden odniesie globalny sukces – powiedzmy, że będą to smartbroże – to zwrot z inwestycji w podatkach, w miejscach pracy, w kolejnych firmach zakładanych przez ludzi z „exitu” będzie milionowy.

Mamy już przykład spółki o polskim DNA, choć formalnie niepolskiej – ElevenLabs. Pięć lat działalności i wycena rzędu 11 mld dolarów. Dla porównania: to około 10 proc. wyceny Orlenu. To pokazuje skalę istniejącą w technologiach. Pytanie, dlaczego takie firmy powstają w Londynie, a nie w Warszawie.

Odpowiedź jest boleśnie prozaiczna: prawo. Nie wysokość podatków – te w Polsce wcale nie są szczególnie wysokie – tylko ich złożoność i nieprzejrzystość. U nas tworzy się kolejne prawne nakładki, kolejne wyjątki. Przedsiębiorca, który sprzedaje firmę, często nie płaci 19 proc. podatku od zysków kapitałowych, lecz – po

doliczeniu daniny solidarnościowej – 23. To jest sygnał demotywuujący, zwłaszcza gdy istnieją legalne konstrukcje pozwalające tego uniknąć przez przeniesienie aktywów do fundacji rodzinnej albo za granicę.

Chcemy w Polsce ludzi takich jak Paweł Marchewka z Techlandu, ludzi, któ-

rzy po sprzedaży firmy reinwestują kapitał w kolejne przedsięwzięcia, budują ekosystem, kupują, owszem, samochody i hotele, ale przede wszystkim finansują nowe spółki. Tak pracuje kapitał. Przy stawce 23 proc. jest niemal pewne, że takie transakcje będą strukturyzowane poza tym reżimem podatkowym. Dlatego zamiast kolejnych programów strategicznych potrzebujemy radykalnego uproszczenia prawa gospodarczego i realnej deregulacji, mierzonej nie konferencjami prasowymi, lecz liczbą zmienionych ustaw.

KB: Chciałbym dotknąć wątku bliskiego nazwie pana firmy Escola i temu, czym pan się zajmuje prywatnie. Jak w epoce AI powinien zachować się odpowiedzialny rodzic i odpowiedzialna szkoła?

KW: Odpowiem nie jako prezes, tylko jako ojciec trójki dzieci. Moja zasada jest prosta i wielu osobom wyda się radykalna: brak mediów społecznościowych co najmniej do 13. roku życia, a być może do 16. Traktuję je jak alkohol. Uzależniają, są neurobiologicznie szkodliwe, wywołują skoki dopaminy i permanentne pobudzenie. Dzieci nie powinny pić alkoholu, energetyków i nie powinny korzystać z mediów społecznościowych. Są państwa, które wprowadzają to ustawowo. Uważam, że podobną debatę powinna przeprowadzić Unia Europejska. Co innego komunikatory – tu diabeł tkwi w szczegółach – ale sama idea jest dla mnie jasna.

Druga sprawa to sztuczna inteligencja w edukacji. To narzędzie może być protezą myślenia albo jego katalizatorem. Jeżeli dziecko używa go do pogłębiania wiedzy – do tworzenia quizów, gier edukacyjnych, wspólnej zabawy z rodzicem – to jest to wspieranie. Jeżeli generuje gotowe eseje, których nie rozumie, mamy do czynienia z fundamentalnym kryzysem modelu edukacyjnego.

Dlatego na uczelni robię rzecz bardzo prostą, mianowicie proszę studentów o wystąpienia na żywo. Wygenerowałeś prezentację – opowiedz mi ją. Nie czytaj slajdów. Zrozum, co tam jest. Tego samego wymagam w firmie. Nie interesuje mnie *AI-slop* – dokumenty produkowane masowo i bezrefleksyjnie. Interesuje mnie człowiek, który potrafi wyjaśnić sens tego, co wygenerowała maszyna.

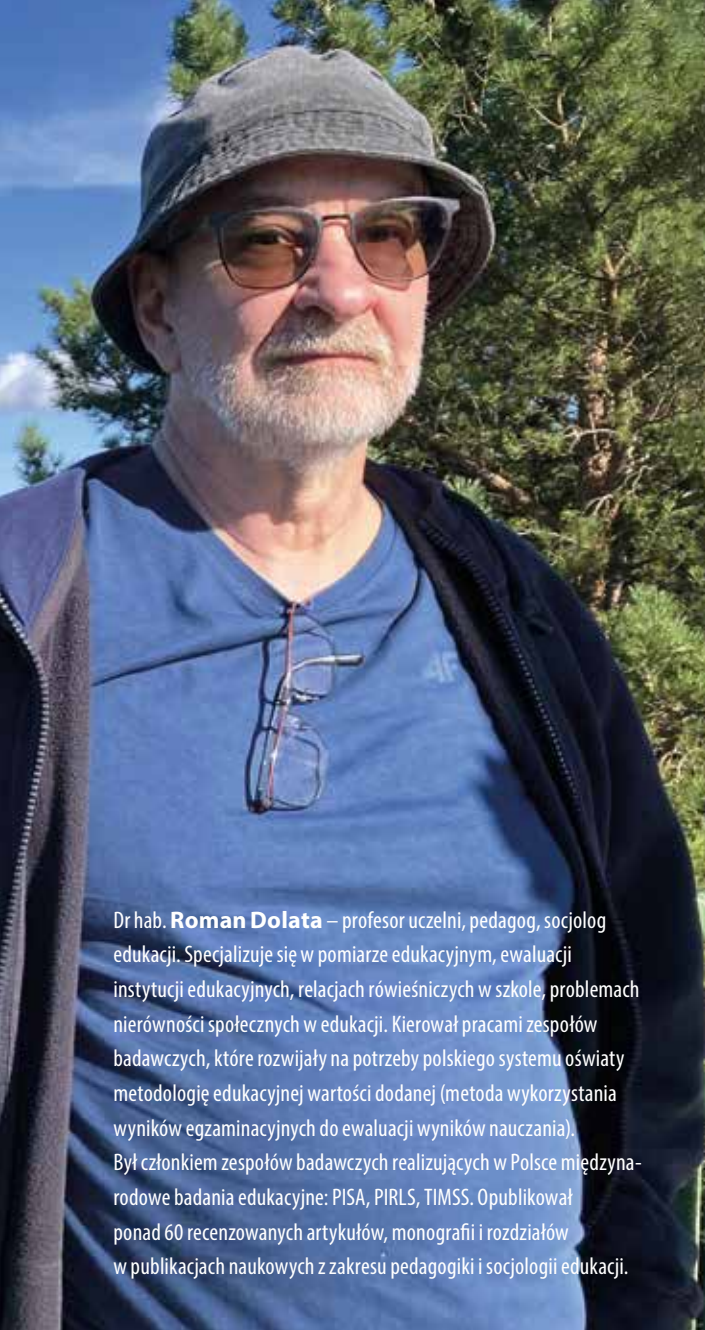
Gdybym miał sformułować dwa postulaty: po pierwsze – radykalne ograniczenie mediów społecznościowych w życiu dzieci, po drugie – bezwzględne egzekwowanie rozumienia treści tworzonych z pomocą AI. Reszta – wszystkie wielkie reformy edukacji – i tak nas czeka, bo system w obecnej formie nie przetrwa.

Wielokrotnie niższe szanse mimo tych samych wyników



- Miejsce urodzenia dziecka nadal w dużej mierze determinuje jego możliwości edukacyjne.
 - W wymiarze indywidualnym kluczowym czynnikiem wyjaśniającym zróżnicowanie osiągnięć są po prostu różnice jednostkowe, w tym również – co pokazują badania – różnice genetyczne.
 - Problem pojawia się wtedy, gdy stawiamy wszystkim identyczne, nierealistyczne wymagania. To prowadzi do frustracji i po stronie uczniów, i po stronie nauczycieli.
- Autonomia nauczyciela nie może być pustym hasłem, lecz musi być wsparta profesjonalną wiedzą i zaufaniem, że to on jest specjalistą odpowiedzialnym za proces nauczania.
 - Edukacja potrzebuje stabilnych ram na 5–10 lat, a nie corocznych korekt. Tymczasem wiele decyzji jest podejmowanych pod presją polityczną albo bez oglądania się na dowody.
 - W deklaracjach wyrównywanie szans, a w praktyce – wzmacnianie tych, którzy i tak są uprzywilejowani.

Z prof. **Romanem Dolatą** rozmawia Anna Siedlińska.



© ARCHIWUM ROMANA DOLATY

Dr hab. **Roman Dolata** – profesor uczelni, pedagog, socjolog edukacji. Specjalizuje się w pomiarze edukacyjnym, ewaluacji instytucji edukacyjnych, relacjach rówieśniczych w szkole, problemach nierówności społecznych w edukacji. Kierował pracami zespołów badawczych, które rozwijały na potrzeby polskiego systemu oświaty metodologię edukacyjnej wartości dodanej (metoda wykorzystania wyników egzaminacyjnych do ewaluacji wyników nauczania). Był członkiem zespołów badawczych realizujących w Polsce międzynarodowe badania edukacyjne: PISA, PIRLS, TIMSS. Opublikował ponad 60 recenzowanych artykułów, monografii i rozdziałów w publikacjach naukowych z zakresu pedagogiki i socjologii edukacji.

Anna Siedlińska: Panie profesorze, na ile dziś miejsce urodzenia dziecka determinuje jego edukacyjne możliwości?

Roman Dolata: Jeśli chcemy precyzyjnie opisać nierówności edukacyjne, warto zacząć od uporządkowania pojęć. W edukacji możemy mówić o dwóch wymiarach nierówności: indywidualnym i międzygrupowym. Z jednej strony mamy różnice między poszczególnymi uczniami, a z drugiej – różnice między grupami społecznymi, środowiskami czy typami szkół. Oba wymiary są ze sobą powiązane, ale każdy ma swoją własną logikę.

W wymiarze indywidualnym kluczowym czynnikiem wyjaśniającym zróżnicowanie osiągnięć są po prostu różnice jednostkowe, w tym również – co pokazują badania – różnice genetyczne. To oczywiście nie tłumaczy nierówności międzygrupowych, które wynikają z zupełnie innych mechanizmów: społecznych, kulturowych, ekonomicznych i instytucjonalnych.

Skoro mówimy o nierównościach edukacyjnych, warto pamiętać, że nie powstają one same z siebie. W wymiarze indywidual-

nym wytwarza je system edukacyjny – od przedszkola po szkolnictwo wyższe. To szkoła jest „maszyną produkującą” zróżnicowanie osiągnięć. Gdybyśmy chcieli całkowicie wyeliminować nierówności edukacyjne, musielibyśmy... zlikwidować szkołę. I rzeczywiście w latach 60. i 70. XX w. pojawiały się pomysły descholaryzacji.

AS: To radykalna koncepcja. Trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie nowoczesnego państwa bez systemu szkolnego, który pełni wiele ról – nie tylko edukacyjną, ale też społeczną i opiekuńczą. Skoro więc szkoła musi istnieć, to co właściwie generuje tak duże różnice w osiągnięciach uczniów?

RD: Na poziomie indywidualnym interesuje nas przede wszystkim kwestia minimum kompetencji – analfabetyzmu funkcjonalnego, czyli trudności w czytaniu, rozumowaniu matematycznym czy korzystaniu z nowych technologii. Międzynarodowe badania porównawcze, takie jak PISA, PIRLS czy TIMSS, pozwalają określać odsetek uczniów, którzy znajdują się na najniższych poziomach umiejętności. To deficyty szczególnie ważne, bo dotyczą kompetencji niezbędnych do uczestnictwa we współczesnym świecie. Polska w tych badaniach zazwyczaj wypada nieźle – na tle Europy jesteśmy zwykle w czołówce. Ale są dwa obszary, które powinny budzić nasz niepokój.

Pierwszy to wyniki badania PIAAC (umiejętności dorosłych). Ostatnia edycja przyniosła duży i dość zaskakujący spadek kompetencji populacji dorosłych Polaków w porównaniu z poprzednią edycją badania. Zespół badaczy z IBE bardzo starannie analizował, na ile to rzeczywisty spadek, a na ile efekt niskiej motywacji respondentów czy ogólnego znużenia nauką i badaniami. Ale nawet jeśli część różnicy da się wyjaśnić czynnikami pozamerytorycznymi, to przecież nie całą. To ważny sygnał ostrzegawczy.

Drugi obszar to nauczanie języka angielskiego w szkołach podstawowych. Tu mamy – mówiąc delikatnie – kryzys efektywności. W ośmioletniej szkole podstawowej uczeń ma około 900 godzin angielskiego. To ogromny zasób czasu i pieniędzy publicznych. A mimo to tylko co trzeci absolwent szkoły podstawowej osiąga poziom A2.

AS: To dramatycznie niska skuteczność.

RD: I właśnie na terenach wiejskich jest z nią najgorzej. Widać to wyraźnie w danych egzaminacyjnych, zarówno z dawnego egzaminu gimnazjalnego, jak i obecnego egzaminu ósmoklasisty. W analizach często posługujemy się kategorią „wieś”, ale trzeba pamiętać, że to zbiorcza etykieta. Obejmuje zarówno wsie peryferyjne, jak i te położone w bezpośrednim sąsiedztwie dużych miast, pełniące funkcję ich sypialni. To bardzo zróżnicowane środowiska. Mimo to słabość nauczania języka angielskiego jest na wsi wyraźna.

Zatem odpowiadając na pani pytanie: tak, miejsce urodzenia dziecka nadal w dużej mierze determinuje jego możliwości edukacyjne. Nie dlatego, że z zasady przesądza o losie ucznia, ale dlatego, że system edukacyjny działa gorzej w niektórych rejonach kraju. A szczególnie widoczne jest to w odniesieniu do

nauczania języków obcych – kompetencji kluczowej w XXI w., mimo rozwoju AI.

AS: A jak sami nauczyciele wyjaśniają sukcesy i porażki swoich uczniów? I na ile ich przekonania mogą wtórnie napędzać nierówności?

RD: To bardzo ważny, a rzadko poruszany temat. Polska socjolożka Marta Zahorska prowadziła badania w szkołach na terenach peryferyjnych, sprawdzając, jak nauczyciele tłumaczą niepowodzenia uczniów, czyli jak atrybuują przyczyny trudności. Jej wnioski były dość niepokojące: dominowały wyjaśnienia natywistyczne, czyli odwołujące się do „natury” dziecka, jego cech wrodzonych, „takiego świata”. W praktyce wyglądało to mniej więcej tak: „Dziewczynki lepiej piszą, chłopcy są lepsi z matematyki – tak po prostu jest”, „Dzieci z tych rodzin po prostu takie są”, „Z tego środowiska jeszcze nikt nie poszedł na studia”.

Takie „zdroworozsądkowe” przekonania w rzeczywistości mają ogromny wpływ na to, jakie oczekiwania nauczyciel ma wobec ucznia, ile wysiłku włoży w jego wsparcie i czy w ogóle dostrzeże w nim potencjał. Tymczasem wiemy z badań, że różnice między dziewczętami i chłopcami w matematyce można zmniejszyć decyzjami politycznymi i edukacyjnymi. Wielka Brytania w latach 90. wydała ogromne środki, żeby zachęcić dziewczęta do matematyki i kierunków ścisłych. I to zadziałało.

Jeżeli nauczyciel uzna, że „tak po prostu jest”, to nic nie zrobi, żeby coś zmienić. A jeśli uzna, że różnice są w dużej mierze wynikiem kultury, oczekiwań, praktyk szkolnych, może zacząć działać inaczej. Dlatego praca nad przekonaniem nauczycieli – nad tym, jak rozumieją sukces i porażkę – jest jednym z ważniejszych, choć trudniejszych, obszarów polityki edukacyjnej.

AS: Wspomniał pan o genach jako ważnym źródle różnic indywidualnych.

RD: Robert Plomin, jeden z najważniejszych badaczy w dziedzinie genetyki zachowania, która jest subdyscypliną psychologii, sprawdzał, w jakim stopniu zmienność różnych cech – takich jak inteligencja, osiągnięcia szkolne czy cechy osobowości – da się wyjaśnić zróżnicowaniem genetycznym między ludźmi. Wyniki tych badań są dość jednoznaczne: 50–70 proc. zróżnicowania osiągnięć szkolnych można powiązać z różnicami genetycznymi. Środowisko, w tym środowisko rodzinne, oczywiście ma znaczenie, ale okazuje się, że spora część tego, co przypisywaliśmy statusowi ekonomiczno-społecznemu rodziny, była w istocie efektem dziedziczenia.

AS: Dla niektórych to może brzmieć jak powód do pedagogicznego pesymizmu, bo skoro geny tyle wyjaśniają, to szkoła niewiele może...

RD: Zachęcam, by spojrzeć na tę kwestię z innej strony. Szkoła może bardzo dużo, tylko musi realistycznie rozumieć, z kim pra-

cuje. Skoro dzieci tak bardzo różnią się potencjałem, to zadaniem systemu edukacji nie jest udawanie, że wszyscy są tacy sami, tylko takie kształtowanie oferty, by każde dziecko mogło w miarę własnych możliwości zrealizować swój potencjał.

Problem pojawia się wtedy, gdy stawiamy wszystkim identyczne, nierealistyczne wymagania. To prowadzi do frustracji i po stronie uczniów, i po stronie nauczycieli. Jeżeli każemy komuś nauczyć się czegoś, czego obiektywnie nie jest w stanie opanować, to obie strony przegrywają.

AS: Co z tego wynika dla codziennej praktyki szkolnej? Jak powinna wyglądać szkoła, jeśli poważnie traktujemy różnice indywidualne, a jednocześnie chcemy unikać segregacji?

RD: Szkoła powinna oferować zróżnicowane możliwości i elastyczne standardy, zamiast działać według jednego schematu narzuconego wyimaginowanemu „przeciętnemu uczniowi”. W jednej klasie mamy dzieci bardzo różniące się potencjałem, tempem pracy, stylem uczenia się. Tymczasem polska szkoła wciąż funkcjonuje głównie według logiki jednego tempa, jednego programu i w zasadzie jednego standardu dla wszystkich.

Nie chodzi oczywiście o pełną indywidualizację – to byłoby niewykonalne organizacyjnie. Ale sensowne różnicowanie wymagań i ścieżek dochodzenia do celu jest konieczne. Uczeń powinien mieć szansę pracować na poziomie trudności odpowiadającym jego indywidualnym możliwościom: dla jednych będzie to przede wszystkim walka o osiągnięcie minimum, dla innych – rozwijanie ponadprzeciętnych zdolności.

Bardzo ważne jest przy tym odróżnienie indywidualizacji nauczania od segregacji społecznej. Nie zachęcam w żadnym razie do tworzenia odrębnych ścieżek dla uczniów zdolniejszych i słabszych. Badania pokazują, że wczesna selekcja oraz podział na „lepsze” i „gorsze” klasy czy szkoły zwykle nie poprawiają wyników najlepszych uczniów, a jednocześnie pogarszają sytuację tych słabszych.

Dlatego dobrą ramą jest tzw. model skandynawski, zakładający możliwie późną selekcję – mniej więcej do 16. roku życia wspólną, jednolitą programowo i organizacyjnie szkołę, obowiązkową i bezpłatną. W jej obrębie powinniśmy maksymalnie personalizować nauczanie – różnicować tempo, wymagania, sposoby pracy – aby dzieci nie były trwale przypisane do ścieżek wyznaczanych statusem społecznym.

Co ciekawe, wysokie oszacowania udziału genów w zróżnicowaniu osiągnięć można też czytać zupełnie inaczej – jako dowód sukcesu demokratycznych systemów edukacyjnych. Jeżeli środowisko szkolne i domowe dla większości populacji jest w miarę wyrównane, to przestaje być głównym źródłem różnic i wtedy w badaniach statystycznie „widać” geny. Innymi słowy: w wymiarze indywidualnym naprawdę sporo udało się zrobić na rzecz równości szans.

Niestety, to nie znaczy, że tak samo dobrze wygląda sytuacja, gdy zaczniemy patrzeć na wyniki z podziałem na grupy i środo-

wiska. I tu przechodzimy do drugiego wymiaru – nierówności międzygrupowych.

AS: Jakie nierówności między grupami uważa pan za najbardziej niepokojące?

RD: Najczęściej analizuje się związek między statusem ekonomiczno-społecznym rodziny a osiągnięciami szkolnymi i dalszymi ścieżkami edukacyjnymi. Ten związek istnieje: dzieci z rodzin o wyższym statusie częściej osiągają lepsze wyniki i kończą wyższe poziomy edukacji. Wciąż jednak nie wiemy dokładnie, w jakiej części odpowiadają za to czynniki środowiskowe, a w jakiej przekaz genetyczny.

Są jednak takie nierówności, których nie da się tłumaczyć genami. I tu wracamy do pani pierwotnego pytania o miejsce urodzenia. Dobrym przykładem są szanse dostania się do prestiżowych liceów przez absolwentów szkół podstawowych zlokalizowanych na wsi.

W swoich analizach zdefiniowałem „prestiżowe licea” w dość ostrożny, liberalny sposób: patrzymy na wszystkie licea w Polsce, liczymy średni wynik egzaminu ósmoklasisty uczniów przyjętych do danej szkoły i układamy szkoły w ranking. Następnie bierzemy od góry kolejne licea tak długo, aż obejmemy 20 proc. wszystkich uczniów w liceach. To jest ponad 200 szkół w skali kraju.

Przy tym samym poziomie wyników egzaminacyjnych oraz po uwzględnieniu innych czynników, m.in. płci, dziecko kończące szkołę podstawową na wsi ma około 7–10-krotnie mniejsze szanse dostania się do takiego prestiżowego liceum niż dziecko z dużego miasta. Nie trochę mniejsze, nie dwa razy mniejsze. Nawet 10-krotnie mniejsze!

AS: Ale sama natura nie tłumaczy tych dysproporcji. Tłumaczy je tylko architektura systemu, w którym takie same zdolności mają 10 razy mniejszą wartość tylko dlatego, że pojawiły się w złym miejscu na mapie.

RD: Częściowo wynika to faktycznie z faktu, że większość prestiżowych liceów znajduje się w dużych miastach, ale nawet po uwzględnieniu tego przestrzennego układu ten dysparytet pozostaje bardzo wyraźny. A mówimy przecież o ścieżce, która jest najważniejsza z punktu widzenia międzypokoleniowej mobilności społecznej: dobre liceum, dobre studia, a w efekcie większa szansa na stabilne, dobrze płatne zatrudnienie i możliwość wpływu na swoje życie. Nie chodzi o to, że poza tą ścieżką nie da się dobrze żyć, tylko o to, żeby żadna droga nie była zamknięta z powodów niezależnych od dziecka, takich jak miejsce urodzenia – symbolicznie rozumiany kod pocztowy.

Z tego płyną bardzo konkretne wnioski dla polityki społecznej i edukacyjnej. Jeśli miałbym wskazać priorytety, powiedziałbym, że należy radykalnie poprawić efektywność nauczania języka angielskiego, z wyraźnym skupieniem na szkołach wiejskich, i zwiększyć realną dostępność dobrych szkół średnich dla uczniów z obszarów wiejskich i małych miast.

Nie potrzeba kolejnych haseł i kolejnej reformy, tylko dobrze zdefiniowanych celów z przypisanymi środkami i systematycznym monitorowaniem, czy coś się faktycznie zmienia. Bez tego mamy po prostu do czynienia z marnowaniem publicznych pieniędzy.

AS: Z czego dokładnie wynika ta 10-krotnie niższa szansa dostania się do prestiżowego liceum przez uczniów ze szkół wiejskich? Co tu naprawdę odgrywa główną rolę: kilometry, pieniądze, aspiracje?

RD: To zjawisko ma kilka źródeł i na pewno nie da się go sprowadzić tylko do problemów transportowych, choć one są istotne. Zacznijmy jednak od tego, że rozmieszczenie liceów w Polsce jest skrajnie nierównomierne. Licea wysoko selekcyjne, czyli te, które przyciągają najlepszych z najlepszych, znajdują się niemal wyłącznie w większych miastach, najczęściej w miastach wojewódzkich. Co to oznacza dla dziecka z małego miasteczka lub wsi?

Po pierwsze, pojawia się faktyczny koszt migracji edukacyjnej. Uczeń musi codziennie dojeżdżać kilkanaście lub kilkadziesiąt kilometrów albo zamieszkać w bursie czy internacie. A bursy w Polsce są bardzo nierównomiernie rozmieszczone. Czasem istnieją i są dobre, czasem są przepełnione, a czasem w ogóle ich nie ma. To jest realna bariera: finansowa, logistyczna i emocjonalna, szczególnie dla młodych ludzi.

Po drugie, mamy do czynienia z autoselekcją aspiracji. Rodzice i dzieci, kierując się doświadczeniem, kulturą rodzinną czy lokalnym wzorcem życiowym, często wybierają ścieżki „bezpieczniejsze”.

AS: Doskonale znam te argumenty: „Wybierz technikum, będziesz mieć zawód”, „Liceum w mieście powiatowym też jest dobre”, „Po co tak daleko? Po co ten stres?”. Niejednokrotnie decydowały one o tym, że naprawdę zdolny uczeń zrezygnował z nauki w liceum ogólnokształcącym w większym mieście.

RD: To nie są irracjonalne decyzje, one wynikają z realnych ograniczeń. Ale z punktu widzenia rozwoju społecznego i gospodarczego kraju ma to wysoką cenę. Nowoczesna gospodarka potrzebuje wysoko kwalifikowanego kapitału ludzkiego. Jeśli część utalentowanej młodzieży nie ma możliwości wejścia na tę

Nauczyciel nie musi
być badaczem,
ale powinien
być świadomym
konsumentem wiedzy
naukowej.



ścieżkę tylko dlatego, że urodziła się w niewłaściwym miejscu, to jako społeczeństwo tracimy.

Ważna jest także kultura szkolna i infrastruktura edukacyjna w powiatach. Gdyby w każdym powiecie istniało przynajmniej jedno naprawdę dobre liceum – takie, które umożliwi rozwój uczniom aspirującym do studiów na najbardziej pożądanym kierunkach – dysproporcje byłyby mniejsze. Można oczywiście powiedzieć, że nie wszyscy muszą chodzić do najlepszych liceów, ale celem polityki edukacyjnej powinno być to, by ambitna ścieżka nie była zamknięta geograficznie.

Do tego dochodzi ogromna luka transportowa. Jeśli autobus kursuje o 6.20 i 14.45, to uczeń nie zostanie na zajęciach dodatkowych, konkursach, kołach zainteresowań. A to właśnie te aktywności pomagają rozwijać potencjał i budować poczucie kompetencji. W dużych miastach to standard, na wsi – luksus.

Krótko mówiąc: geografia dostępu, koszty migracji edukacyjnej, autoselekcja wynikająca z aspiracji i kultury rodzinnej, brak dobrej infrastruktury licealnej w powiatach, słaby transport publiczny sprawiają, że uczniowie wiejscy, nawet przy takich samych wynikach, mają dramatycznie niższe szanse dostania się do liceów wysoko selekcyjnych. I to jest problem nie jednostkowy, ale systemowy.

AS: Czy szkoły podstawowe, szczególnie te wiejskie, mają dziś jakiegokolwiek realne możliwości kompensowania braków środowiskowych? Mam na myśli ograniczony dostęp do kultury, inspirujących doświadczeń czy kapitału rodzinnego.

RD: Najkrócej mówiąc, szkoła może kompensować tylko wtedy, gdy dobrze uczy. A dobrze uczy wtedy, kiedy nauczyciele potrafią łączyć własne doświadczenie zawodowe z aktualną wiedzą naukową. Ta synteza – praktyki i badań – jest absolutnie kluczowa. Tyle że w polskich realiach wcale nie jest oczywista.

Nie możemy oczekiwać, że nauczyciel po lekcjach będzie czytał czasopisma naukowe, śledził metaanalizy i samodzielnie przekładał wyniki badań na praktykę. To nie jest realne oczekiwanie. Dlatego potrzebne są mosty między nauką a praktyką – instytucje, narzędzia i zasoby, które tłumaczą wiedzę naukową na język szkolnej codzienności.

Taką próbą stworzenia pomostu był choćby projekt „Visible Learning” Johna Hattiego, który zebrał ogromną liczbę badań dotyczących skutecznych i nieskutecznych metod nauczania. Uporządkował je, nadał im hierarchię, a dzięki pracy Centrum Edukacji Obywatelskiej stały się one dostępne po polsku w formie zrozumiałej dla praktyków. W Wielkiej Brytanii i innych krajach powstają podobne zestawienia tego, co działa.

Dziś Instytut Badań Edukacyjnych pracuje nad tłumaczeniem jednej z takich baz. To jest kierunek: udostępniać nauczycielom „przetrawioną” wiedzę naukową, którą mogą skonfrontować ze swoim doświadczeniem. Nauczyciel nie musi być badaczem, ale powinien być świadomym konsumentem wiedzy naukowej, który rozumie, jak ta wiedza powstaje, i umie z niej korzystać.

AS: To brzmi jak bardzo obiecujący kierunek, ale nawet najlepsza, profesjonalna wiedza nie zadziała, jeśli w codziennej praktyce nauczyciel wpadnie w rutynę.

RD: W każdej pracy działa mechanizm ekonomii wysiłku – robimy to, co znamy, co działało wcześniej. Ale dobra szkoła wymaga od nauczyciela gotowości do wychodzenia poza automatyzmy. To jest trudne, bo wiąże się z odpowiedzialnością i autonomią.

A autonomia, wbrew pozorom, budzi czasem lęk. Erich Fromm pisał o „ucieczce od wolności” – wolność wymaga odwagi i gotowości do brania odpowiedzialności. W edukacji bywa podobnie. Autonomia nauczyciela nie może być pustym hasłem, lecz musi być wsparta profesjonalną wiedzą i zaufaniem, że to on jest specjalistą odpowiedzialnym za proces nauczania.

Jeżeli szkoła i dom są słabe, dziecko może zatonać w Internecie praktycznie bez śladu.

AS: Tymczasem obserwujemy sytuacje dokładnie odwrotne, choćby niedawną decyzję ministerstwa w sprawie prac domowych, podjętą ponad głowami nauczycieli.

RD: Dyskusja o pracach domowych dobrze to pokazuje. Prace domowe są elementem metodyki nauczania; związane z nimi decyzje – podobnie

jak cała metodyka – powinny pozostawać w gestii nauczycieli. Tu nie powinny przesądzać polityczne gry, lecz kompetencje profesjonalistów, oparte na wiedzy pedagogicznej i diagnozie potrzeb danej klasy.

Krótko mówiąc, szkoła może pełnić funkcję kompensacyjną, jeśli dobrze uczy; nauczyciel może dobrze uczyć, jeśli ma dostęp do wiedzy; dostęp do wiedzy staje się realny tylko wtedy, gdy system zapewnia mu autonomię i spokój potrzebne do wykonywania zawodu. To nie jest proste, ale możliwe.

AS: Pozostaje jeszcze problem kadrowy. W wielu szkołach wiejskich nauczyciele uczą kilku przedmiotów, na przykład polonistka uczy historii, wuefista jest też informatykiem, a geograf biologiem... Jak taki kadrowy patchwork przekłada się na nierówności między wsią a miastem?

RD: To jest poważny problem strukturalny polskiej edukacji. W dużych miastach zwykle – choć tu działa czynnik rynkowy – mamy dostęp do specjalistów: anglistów, matematyków,

nauczycieli przyrody, fizyki, chemii. Na wsi – często tylko do jednej osoby, która kończy kolejne studia podyplomowe, żeby wypełnić luki kadrowe. Nie z powodu ambicji, tylko z czystej konieczności.

To oznacza kilka rzeczy. Po pierwsze, obciążenie nauczycieli. Osoba, która uczy czterech przedmiotów, nie jest w stanie równocześnie rozwijać się merytorycznie we wszystkich dziedzinach, śledzić nowości, doskonalić warsztat. To prowadzi do wypalenia i obniżenia jakości nauczania.

Po drugie, brakuje specjalistycznej wiedzy. Nauczanie matematyki czy języka angielskiego wymaga naprawdę solidnego przygotowania. Nie możemy oczekiwać cudów, jeśli anglistów w gminie jest trzech, a potrzeby – ogromne.

Po trzecie, prowadzi to do pogłębiania nierówności. Dziecko z dużego miasta częściej ma kontakt z nauczycielem o akademickim przygotowaniu merytorycznym, podczas gdy dziecko ze wsi nierzadko trafia na osobę uczącą przede wszystkim z konieczności. Nawet jeśli jest oddana, zaangażowana i pracowita, to system stawia ją w sytuacji nie do udźwignięcia.

To problem, którego nie rozwiąże żadna indywidualna heroiczna postawa. W tym obszarze potrzebna jest polityka państwa: poprawa warunków pracy, realne zachęty do podejmowania zatrudnienia w małych miejscowościach, stabilne wsparcie rozwoju zawodowego oraz zwolnienie szkół z obowiązku rozwiązywania kryzysów kadrowych. Najważniejsze są jednak stabilność wymagań i unikanie nadmiernego rozdrobnienia programowego. W przeciwnym razie nadal będziemy mieli sytuację, w której to, czy dziecko trafi na dobrego nauczyciela matematyki, zależy... od kodu pocztowego.

AS: Przez lata mówiło się, że na wsi nauczycielska pensja waży więcej niż w dużym mieście. Dziś już raczej nie jest ona atutem, który przyciąga dobrych nauczycieli.

RD: To jest ciekawy, trochę paradoksalny wątek. Rzeczywiście przez dłuższy czas pensja nauczycielska w małym mieście czy na wsi była relatywnie bardziej atrakcyjna niż w dużych ośrodkach. Ta sama kwota pieniędzy ma po prostu inną siłę nabywczą w różnych częściach kraju. Nauczyciel zarabiający średnią krajową ma inną pozycję w małym miasteczku niż w Warszawie.

Kilka dekad temu obserwowaliśmy wręcz migrację młodych nauczycieli na wieś – trochę z poczuciem misji, a trochę z przekonaniem, że tam da się zacząć, bo w mieście etaty były nieosiągalne. To miał być taki mechanizm kompensacyjny: skoro na wsi jest trudniej organizacyjnie, to przynajmniej finansowo jest odrobinę lepiej.

Problem w tym, że ta przewaga się kurczy. Wzrost kosztów życia, inflacja, zmiany na rynku pracy powodują, że różnica atrakcyjności już nie jest tak wyraźna. A jeśli do tego dochodzi zderzenie z systemem, biurokracją, rozdrobnieniem etatów, brakiem wsparcia, to nawet bardzo silne poczucie misji po kilku latach potrafi się wyczerpać.

AS: Czy nauczyciel na wsi to w praktyce ktoś inny niż nauczyciel w dużym mieście? Inna rola, inne oczekiwania, inne obciążenia?

RD: To trudne pytanie, bo kategoria „wieś” jest bardzo zróżnicowana. Mamy wsie peryferyjne, oddalone od centrów, ale mamy też wsie podmiejskie – bogate, dobrze skomunikowane, często zamieszkałe przez klasę średnią. Nie można wrzucać ich do jednego worka. Ale jeśli mówimy o wsi peryferyjnej, to tak, różnice są ogromne.

W dużym mieście, nawet jeśli szkoła nie pełni funkcji kulturotwórczej, to i tak wokół jest mnóstwo instytucji, wydarzeń i inspiracji. Uczeń może pójść do kina, na zajęcia plastyczne, na basen, do biblioteki miejskiej. Nawet jeśli szkoła nie zapewnia tych doświadczeń, to zapewnia je miasto.

Na wsi peryferyjnej jest inaczej. Tam często szkoła jest jedyną instytucją publiczną, jedynym miejscem, gdzie dziecko może zetknąć się z kulturą, inspiracją, wzorcami. Czasem znaczącą rolę pełni pojedyncza osoba, tzw. sąsiad inspirujący. Roman Gutek, jeden z najważniejszych animatorów kultury filmowej w Polsce, opowiadał wielokrotnie, że wyrósł na tego, kim jest, dzięki sąsiadowi, który pozwalał mu oglądać filmy, dawał dostęp do książek, rozmawiał z nim o kulturze. Poza tym sąsiadem była pustka.

Dla wielu dzieci ze wsi takim „sąsiadem” może być nauczyciel. To on może pokazać im inny świat, rozbudzić ambicje, przełamać niskie aspiracje środowiska domowego. Dlatego rola nauczyciela na wsi często wykracza daleko poza realizację programu nauczania, staje się on przewodnikiem kulturowym, źródłem inspiracji, kimś, kto mówi „możesz więcej” i otwiera uczniom okna na świat. Ale to rodzi też dylemat: każdy awans edukacyjny dziecka oznacza zwykle konieczność migracji – do miasta powiatowego, wojewódzkiego, a później na studia. To prowadzi do rzeczywistego pozbawiania wsi młodych, ambitnych ludzi. Wiele organizacji pozarządowych wspiera młodzież w wyjazdach do bardzo dobrych szkół średnich, i słusznie. Problem polega jednak na tym, że większość tych osób już nie wraca. To nie jest już kwestia dotycząca edukacji, tylko rozwoju regionalnego. Jeśli wszyscy najzdolniejsi wyjadą do dużych miast, to nie będzie komu budować lokalnych społeczności, prowadzić gabinetów psychologicznych, pracować w roli nauczyciela, rozwijać przedsiębiorczości. I to też trzeba mieć na uwadze, projektując polityki edukacyjne.

AS: Spróbujmy dostrzec mocne strony wiejskich szkół. Co może być ich atutem?

RD: Szczercze mówiąc, nie znam badań, które pokazywałyby całościowy obraz „pozytywnego kapitału” szkół wiejskich w Polsce. Raczej widzimy mozaikę: tu i ówdzie dzieją się fantastyczne rzeczy, szkoły budują własną kulturę, wychodzą poza rutynę, tworzą bardzo przyjazne środowisko. Przez chwilę mieliśmy ogromne nadzieje, że Internet i media społecznościowe zdemokratyzują dostęp do wiedzy. Dziś wiemy, że bywa odwrotnie. Internet nierzadko staje się

gwoździem do trumny demokracji. Social media potrafią „zamknąć wieko”, wzmacniając polaryzację, hejt, presję porównywania się.

AS: Na ile szkoły wiejskie radzą sobie z tymi nowymi zagrożeniami, z cyberprzemocą, uzależnieniem od smartfonów?

RD: To ciekawe pytanie, ale by na nie kompetentnie odpowiedzieć, niestety, brakuje danych. Z jednej strony mniejsze środowisko sprzyja temu, że wszyscy o wszystkich wiele wiedzą, więc sygnały alarmowe docierają szybciej. Z drugiej – jeżeli szkoła i dom są słabe, dziecko może zatonać w Internecie praktycznie bez śladu.

Możemy mówić o potencjale małej szkoły, o którym stanowią bliskość, znajomość rodzin, możliwość szybkiego reagowania. Ale znamy też szkoły, gdzie jest dokładnie odwrotnie – dzieci są pozostawione same sobie, rodzice są bierni, a szkoła nie ma zasobów, żeby cokolwiek robić. To dobrze ilustruje szerszy problem, mianowicie mamy do czynienia z całym zespołem wzajemnie powiązanych czynników: selekcją do zawodu, finansowaniem, dostępem do wsparcia specjalistycznego, infrastrukturą. Często nie wiadomo, za który sznurek pociągnąć, by zacząć rozplątywać ten węzeł. Tym bardziej ważne jest, by na każdym poziomie – szkoły, samorządu i państwa – szukać punktów, na które można realnie oddziaływać.

AS: W swoich wcześniejszych odpowiedziach wskazał pan dwa priorytety: poprawę nauczania języka angielskiego oraz zwiększenie dostępności dobrych szkół średnich dla młodzieży spoza dużych miast. A jeśli mielibyśmy pójść głębiej, do fundamentów systemu, to co należałoby zmienić?

RD: Wskazałem te dwa obszary jako priorytety, bo są realne do wdrożenia, nie wymagają rewolucji ani konfrontacji społecznej. Nauczanie języków i dostęp do liceów to cele możliwe do osiągnięcia krok po kroku, przy rozsądnym planowaniu.

Jeśli jednak sięgnąć głębiej, to dotykamy kwestii znacznie trudniejszych, wręcz z zakresu *political fiction*. Po pierwsze: selekcja do zawodu nauczyciela i autonomia tego zawodu. Obecnie wchodzenie do zawodu jest stosunkowo łatwe, a wynagrodzenia – niekonkurencyjne. Nie da się myśleć o wysokiej jakości edukacji, jeśli zawód nauczyciela nie będzie przyciągał bardzo dobrych absolwentów. Te dwie rzeczy – wysoka selektywność zawodu i godne wynagrodzenia – są ze sobą sprzężone. Ale to wymaga odwagi politycznej.

Po drugie: ramy organizacyjne pracy szkoły. Nie mówię o przeładowanym programie, tylko o rozfragmentowaniu etatów i pensum. To jeden z największych problemów polskiej szkoły. Przykładowo nauczyciel geografii ma w szkole jedną godzinę tygodniowo w każdym z kilkunastu oddziałów. To oznacza, że uczy kilkaset dzieci rocznie. Jak ma je poznać? Jak ma budować relacje, diagnozować potrzeby, prowadzić koło zainteresowań? Do tego dochodzi niemożność zrealizowania pełnego pensum w jednej szkole. Nauczyciel musi pracować w dwóch, trzech placówkach. Czy wyobraża sobie pani pracownika firmy, który codziennie zmie-

nia lokalizację? Tego nie da się uznać za efektywne rozwiązanie. To są sprawy organizacyjne, ale o fundamentalnym znaczeniu. Jeżeli nauczyciel nie może pracować w jednym środowisku, w jednej szkole, z grupą uczniów, którą zna i nad którą ma kontrolę, trudno mówić o wysokiej jakości nauczania.

Po trzecie: brak standardów pracy szkoły. Mamy standardy finansowania, ale nie mamy standardów organizacyjnych – nie precyzujemy, ile oddziałów może obsługiwać nauczyciel, jaka powinna być minimalna liczebność zespołu, ile godzin realnej pracy z uczniem jest potrzebne. W efekcie w niektórych szkołach nauczyciel ma dla każdego dziecka... parę minut rocznie. To nie jest metafora, lecz wynik prostego dzielenia godzin nauczyciela przez liczbę uczniów.

I wreszcie: długoterminowość. Edukacja potrzebuje stabilnych ram na 5–10 lat, a nie corocznych korekt. Tymczasem wiele decyzji jest podejmowanych pod presją polityczną albo bez oglądania się na dowody. To wszystko wymaga przemyślenia i odwagi, lecz jest niezbędne, by mówić o realnym wyrównywaniu szans.

AS: Na poziomie deklaracji politycznych wyrównywanie szans brzmi jak priorytet, ale gdy przyjrzymy się konkretnym działaniom, często okazuje się, że środki trafiają zupełnie gdzie indziej, niż powinny. Podobny postulat realizują też organizacje pozarządowe, ale rzadko widać efekty w miejscach, które naprawdę ich potrzebują.

RD: Kilkanaście lat temu rozmawiałem z dyrektorem departamentu w ministerstwie odpowiedzialnym za duży program wyrównywania szans edukacyjnych. Mówimy o setkach milionów złotych. Usłyszałem, że środki idą na nowe projekty dotyczące dodatkowej nauki języka obcego. Gdy dopytałem, czy chodzi o wsparcie szkół na obszarach wiejskich, okazało się, że beneficjentami są... szkoły dwujęzyczne w dużych miastach, czyli instytucje, które akurat najmniej potrzebują pomocy w ramach programu mającego na celu wyrównywanie szans. To jest dokładnie sedno problemu: w deklaracjach wyrównywanie szans, a w praktyce – wzmacnianie tych, którzy i tak są uprzywilejowani.

I w tym sensie odpowiedź na pani pytanie o relację między polityką państwa a realnymi potrzebami szkół jest gorzka. Mamy mnóstwo konsultacji, strategii, profili absolwenta, ale bardzo mało realnej koncentracji na tym, co jest dla szkół naprawdę kluczowe, czyli na stabilnym finansowaniu, sensownych ramach organizacyjnych, kadrach, wsparciu merytorycznym.

Zamiast tego produkujemy dokumenty, których nikt w szkole nie potrzebuje. Dobrym przykładem jest wspomniana sylwetka absolwenta – bardzo rozbudowany opis ideału osobowościowego, który szkoła ma jakoby kształtować. Kluczowe pytania brzmią: czy polska szkoła posiada narzędzia, aby to zrobić, i czy to rozwiązuje jakkolwiek realny problem nauczycieli? Obawiam się, że odpowiedzi są raczej negatywne.

AS: Czy w ogóle jest możliwe stworzenie systemu edukacji, który wyrównuje szanse? Czy równość szans to coś realnie osiągalnego, czy raczej ideał, do którego możemy się tylko zbliżyć?

RD: Równość szans jest ideałem – i dobrze. Dobre ideały mają tę zaletę, że są czytelne i motywują do działania, nawet jeśli nigdy nie uda się ich w pełni zrealizować. W nowoczesnych społeczeństwach demokratycznych pojawiła się idea merytokracji: nie dziedziczymy pozycji po przodkach, tylko nasza pozycja społeczna zależy od osiągnięć, a osiągnięcia w ogromnej mierze przechodzą przez system edukacji. Mówiąc brutalnym językiem ekonomiczno-socjologicznym: szkoła stała się mechanizmem alokacji zasobów ludzkich. To wielkie osiągnięcie, że nie decyduje już tylko kapitał, pochodzenie czy więzy krwi.

Alte ma swoją cenę, bo skoro szkoła jest głównym mechanizmem alokacji, to z definicji wytwarza zróżnicowanie osiągnięć. W wymiarze indywidualnym równość szans nie oznacza, że wszyscy będą mieli takie same wyniki. Oznacza, że różnice wynikają z indywidualnych predyspozycji i wyborów, a nie z tego, gdzie się urodziliśmy, jaką szkołę podstawową mieliśmy blisko domu, jaki był status naszej rodziny.

Jeśli serio traktujemy ten ideał, to powinniśmy pilnować sensownie zdefiniowanego minimum kompetencji dla wszystkich, a także identyfikować i „zasypywać” dziury systemowe, takie jak nieskuteczne nauczanie języka angielskiego i drastycznie niższy dostęp do prestiżowych liceów dla młodzieży ze wsi. W wymiarze indywidualnym nigdy nie osiągniemy równości wyników, ale w wymiarze międzygrupowym – różnic między środowiskami – możemy zrobić bardzo dużo. Szczególnie tam, gdzie nierówności mają charakter strukturalny, jak w przypadku obszarów wiejskich i małych miast.

AS: Jakie działania – na poziomie państwa, samorządu, ale też uczelni i samej szkoły – mogłyby w najbliższych latach przynieść realną poprawę?

RD: Odpowiedź zależy od tego, gdzie mamy jeszcze jakiekolwiek realne narzędzia wpływu. Z perspektywy systemowej wskazałbym kilka obszarów. Najpierw należy wspomnieć o elitaryzacji kształcenia nauczycieli. Trzeba ograniczyć liczbę uczelni przygotowujących do tego zawodu. Można to powiązać z kategoriami naukowymi – prawo do kształcenia nauczycieli miałyby tylko jednostki z najwyższą kategorią A. To oznaczałoby bardziej rygorystyczną rekrutację, ale pamiętajmy, że populacja uczniów maleje, więc to jest dobry moment, by postawić na jakość zamiast na masowość. Takie uczelnie należałoby mocno dofinansować, między innymi poprzez granty.

Równie ważna jest odbudowa dydaktyki szczegółowych. W Polsce kiedyś mieliśmy porządne dydaktyki przedmiotowe, szczególnie matematyki. Dziś są one w dużej mierze wymarłe. Trzeba je odbudować, i to nie tylko jako jednostki naukowe, ale jako centra wsparcia dla absolwentów-nauczycieli, do których mogą oni wracać po poradę, inspirację. To wymaga inwestycji w ludzi, którzy są jednocześnie dobrzy merytorycznie i gotowi zająć się dydaktyką.

Potrzebujemy również prawdziwych szkół ćwiczeń i szkół eksperymentalnych. Nie tylko z nazwy, ale z realnymi warunkami do obserwacji, eksperymentowania, testowania nowych metod. Praca w takiej szkole mogłaby być ważnym szczeblem kariery zawodowej nauczyciela, realnie docenianym i wynagradzanym. To także naturalne miejsce na tytuł profesora oświaty, będący nie pustą etykietą, lecz uznaniem za realne, innowacyjne działanie w klasie.

Kolejna kwestia to płace i warunki pracy. Bez godnych wynagrodzeń nic nie zrobimy. Zawód nauczyciela musi być atrakcyjny w porównaniu z innymi zawodami dla absolwentów dobrych liceów i studiów. Równolegle trzeba zmienić ramy organizacyjne

tak, by pełne pensum można było zrealizować w jednej szkole, z rozsądną liczbą oddziałów. Niezbędna jest również racjonalizacja szkoleń. Obecny system szkoleń to w dużej mierze mechanizm „utyliczacji” środków. Szkolenia, które służą głównie zdobyciu papierka, niewiele zmieniają w praktyce. Największy sens mają projekty obejmujące całą szkołę, a nie pojedynczych nauczycieli, tworzące przestrzeń do zmiany kultury organizacyjnej. To wszystko razem składa się na wizję, w której nauczyciel jest traktowany jak profesjonalista, a nie

wykonawca odgórných instrukcji.

AS: Z tego, co pan mówi, wynika dość jasno, że nauczyciel jest fundamentem – kluczowym czynnikiem wpływającym zarówno na jakość edukacji, jak i na skalę nierówności.

RD: Myślę, że to bardzo trafne podsumowanie. Możemy mówić o programach, podstawach, strukturach, finansowaniu, i to wszystko jest ważne, ale w ostatecznym rozrachunku to nauczyciel codziennie spotyka się z dziećmi. Od jego kompetencji merytorycznych, warsztatu dydaktycznego, dojrzałości emocjonalnej, przekonań na temat uczniów i ich potencjału, gotowości do refleksji i zmiany zależy niezwykle dużo.

Dlatego polityka, która nie zaczyna od nauczyciela – od kształcenia, płac, warunków pracy, wsparcia – jest polityką, która zawsze będzie rozmiącać się z rzeczywistością szkoły. Można powiedzieć wprost: jeżeli chcemy zmniejszać nierówności edukacyjne, musimy zacząć od tego, żeby najlepsi ludzie chcieli być nauczycielami, a system im na to naprawdę pozwalał.

Polityka, która nie zaczyna od nauczyciela – od kształcenia, płac, warunków pracy, wsparcia – zawsze będzie rozmiącać się z rzeczywistością szkoły.



Dr **Ewa Ziemińska** – historyczka sztuki, kuratorka wystaw, wykładowczyni (UW i IS PAN). Pracownik naukowy Muzeum Narodowego w Warszawie, kuratorka Zbiorów Rzeźby MNW oraz jego oddziału – Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni.



Dunikowski i inni, czyli co kryją magazyny studyjne w Muzeum Rzeźby w Królikarni

- Magazyn studyjny to nowoczesna forma prezentacji zbiorów muzealnych łącząca funkcję przechowywania dzieł z ich udostępnianiem publiczności w kameralnych warunkach.
 - Ekspozycja jest tak przygotowana, aby prześledzić dzieje rzeźby pod względem formy i stosowanych materiałów.
- Dunikowski był tytanem pracy. Swoje życie poświęcił sztuce. Często mówił, że artysta jest jak kapłan – nie może mieć rodziny, żeby mógł się skupić tylko na swojej twórczości.
- Powszechny jest pogląd, że dzięki Dunikowskiemu w Polsce nie powstał pomnik Stalina.
 - Stale monitorujemy stan zachowania naszych rzeźb. Często musimy rozstrzygać dylematy dotyczące pierwszeństwa na listach obiektów do konserwacji.

Z dr **Ewą Ziemińską** rozmawia Marzena Tataj.

Marzena Tataj: Z wielkim przejęciem przyjechaliśmy do słynnych magazynów studyjnych Muzeum Rzeźby w Królikarni.

Ewa Ziemińska: Znajdujemy się na terenie zespołu pałacowo-parkowego w Królikarni, gdzie mieści się Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego, będące oddziałem Muzeum Narodowego w Warszawie. W czasie II wojny światowej pałac został doszczętnie zburzony; odbudowano go po wojnie z zamysłem, aby stał się pracownią i muzeum prac Xawerego Dunikowskiego, który cały swój dorobek artystyczny zapisał państwu polskiemu. Muzeum zostało otwarte w 1965 r., w pierwszą rocznicę śmierci artysty, i ostatecznie przyjęło obecną nazwę. Dzięki zapisowi artysty, naszym zakupom i depozytom posiadamy ponad 500 rzeźb, ponad 100 obrazów, prawie 250 szkiców malarskich i blisko 400 rysunków Dunikowskiego.

MT: Czym w praktyce jest magazyn studyjny?

EZ: Magazyn studyjny, lub inaczej: otwarty, to nowoczesna forma prezentacji zbiorów muzealnych łącząca funkcję przechowywania dzieł z ich udostępnianiem publiczności w kameralnych warunkach. Pozwala zwiedzającym zobaczyć obiekty niebędące na stałej wystawie, oferując edukacyjny wgląd w „kuchnię” muzeum. W Polsce jesteśmy pionierami w tej dziedzinie, bowiem już od kilkunastu lat zapraszamy publiczność do oglądania naszych zasobów, organizujemy lekcje dla najmłodszych i dla studentów. Oprowadzamy po naszej kolekcji rzeźby XX i XXI w., organizujemy warsztaty rzeźbiarskie w glinie, aby można było poczuć specyfikę tworzywa i zrozumieć, czym jest przestrzenność, jak wygląda proces twórczy. Oczywiście to nie cała nasza kolekcja. Mamy kilka magazynów rzeźby, mamy niezwykle bogatą kolekcję zbiorów datowanych od wieku XVI aż do dziś. Stale ją powiększamy poprzez zakupy, dary lub depozyty. A czasem przytrafiają się nam cudowne odkrycia, kiedy przy zakupie dzieła wpisano do inwentarza: „artysta nieznany”. Rzeźba zostaje poddana gruntownym badaniom przez naszych kustoszów i konserwatorów i bywa, że okazuje się dziełem znanego twórcy. Dzieła z naszej kolekcji są prezentowane w ramach wystaw w Muzeum Rzeźby w Królikarni, część – w galeriach stałych w Muzeum Narodowym w Warszawie, a także na różnych wystawach w kraju i za granicą.

Początkiem kolekcji był szczodry dar Xawerego Dunikowskiego, który – zatroskany o los własnych prac – zdecydował się przekazać je narodowi. Dzięki temu mamy sposobność dogłębnie poznać jego twórczość. Kolekcja, zbudowana na bazie legatu, została następnie wzbogacona o zakupy, depozyty i darowizny od rozmaitych osób i instytucji, m.in. przyjaciela artysty, Antoine’a Cierplikowskiego, i córki – Marii Xawery Dunikowskiej.

Nasze spotkanie z kolekcją Dunikowskiego rozpoczniemy od jego studenckiej pracy „**Portret kuzynki**” z 1896 r., która jest wykonana w terakocie i zupełnie nie zapowiada kierunku jego dalszego rozwoju. A już kilka lat później, przed 1904 r., powstaje wspaniała rzeźba kubizująca „**Tchnienie**”.



Xawery Dunikowski, „Portret kuzynki”, terakota, 1896.



Xawery Dunikowski, „Tchnienie”, przed 1904 (gips), 1915–1917 (drewno).



Xawery Dunikowski, „Prometeusz”, gips patynowany, 1900.



Od lewej: Xawery Dunikowski, „Portret Henryka Szczyglińskiego”, brąz, 1898;

Xawery Dunikowski, „Portret matki”, brąz, 1899.



© KAKA.MEDIA (6)

Od lewej: Xawery Dunikowski, „Autoportret. Idę ku słońcu”, drewno polichromowane, 1917; Xawery Dunikowski, „Grobowiec Bolesława Śmiałego. Rapsod”, gips patynowany, 1917.

Warta uwagi jest także rzeźba „Prometeusz”, w której widać inspirację sztuką Rodina. Napięcie mięśni, ekspresja i zamasyłość ruchu są uwidocznione z wielką precyzją. Impresjonistyczny charakter ma również odlana w brązie praca dyplomowa „Portret Henryka Szczyglińskiego”, która dowodzi, z jak wielkim talentem mamy do czynienia. Wycucie formy, świetna, doskonale dopracowana kompozycja, ukazanie portretowanego jako melancholika, a przy tym dandysa. Obok eksponujemy „Portret matki”, który powstał w tym samym okresie.

MT: Mimo widocznych inspiracji Rodinem warto podkreślić, że Dunikowski kształcił się w kraju.

EZ: Tak, ukończył krakowską ASP ze złotym medalem za „Portret Henryka Szczyglińskiego”, otrzymał stypendium z warunkowym zakazem opuszczania kraju. W 1904 r., w wieku zaledwie 29 lat, został profesorem w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych i zajął się, oprócz pracy twórczej, także nauczaniem, co będzie kontynuował przez całe swoje życie, na różnych uczelniach, także w Krakowie i Wrocławiu. Szczególnie zabiegał o realizacje w przestrzeni publicznej, uważając, że one są powinnością rzeźbiarza, dadzą mu rozgłos i będą gwarancją tworzenia. Dopiero w 1914 r. wyjeżdża na kilka lat do Paryża. Ma dobry powód, bowiem tam żyje jego była uczennica i partnerka Sara Lipska oraz córka z tego związku, Maria Xawera.

Jednak nie może odnaleźć się w Paryżu, pozostaje w kręgu polskiej kolonii artystycznej, podczas gdy Sara Lipska już przynależy do paryskiej bohemy, współpracuje z Baletami Rosyjskimi Siergieja Diagiłewa i z zespołem Leona Baksta. Jej kariera zawodowa rozwija się w międzynarodowym środowisku, o czym świadczą postacie, które portretuje, tworząc obrazy i rzeźby. Ubiiera arystokrację, posiada butik z autorskimi kreacjami haute couture na Polach Elizejskich i w Monte Carlo. Przy tym jako samotna matka wychowuje córkę. Okres paryski Dunikowskiego zakończył się w 1921 r., przynosząc między innymi dwie kompozycje uznawane za arcydzieła: „Autoportret. Idę ku słońcu” i „Grobowiec Bolesława Śmiałego”, a także bliskie stylistyce art déco liczne portrety Polek, Amerykanek i Francuzek.

Co ciekawe, portrety z tego okresu mają uwidocznione misterne upięcia włosów i koafiury, czego brak w poprzednich realizacjach. Zapewne jest to konsekwencja jego przyjaźni z Antoine’em, czyli Antonim Cierplikowskim z Sieradza, uważanym w Paryżu za „króla fryzjerów i fryzjera królów”, autorem uczesania „na chłopczycę”, przyjacielem artystów i polityków, mecenasem sztuki. Cierplikowski próbuje sił w rzeźbie, wystawiając swoje prace na Salonach Paryskich, a Dunikowskiego uważa za swojego nauczyciela.

MT: „Autoportret. Idę ku słońcu” to przykład polichromii i kubizmu.

EZ: Ekspresję i monumentalizm tej rzeźby budują ostre geometrie.

tryczne formy. Przedstawia ona nagiego mężczyznę na wielobarwnym tle, który w uniesionych rękach trzyma coś na kształt kryształów. Jest to postać z dwoma obliczami: jedno, zwrócone ku dołowi, ma rysy rzeźbiarza, a drugie, zwrócone ku górze, przypomina maskę szamana. Dzieło jest wykonane w drewnie dębowym, powstało w latach 1917–1920 i jest przykładem wielobarwnej polichromii, wcale nie częstej w twórczości Dunikowskiego. Obok jest ustawiony „Grobowiec Bolesława Śmiałego”, również z okresu paryskiego.

Silną ekspresję widać w rzeźbie „**Macierzyństwo**”, w której nowe życie „wystrzela” z macierzy. Ta praca z naszej kolekcji została wykonana w białym gipsie i złożonym drewnie, które pięknie odbija światło. Kompozycja zachęca widza do obejrzenia z każdej strony. Refleksy świetlne wzmacniają odbiór dzieła. Koniec XIX w. i początek XX w. były przepełnione niepokojami o dalsze losy człowieka, pytaniami o narodziny, cykl życia i jego koniec. Te nastroje i rozważania widać bardzo dobitnie w twórczości Dunikowskiego z tego okresu.

Bardzo ważne prace artysty należą do cyklu „**Kobiety brzemiennie**”, który powstał w 1906 r., kiedy Dunikowski był już profesorem Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Do tej pory bardzo rzadko podejmowano tę tematykę, chyba że były to wizerunki sakralne brzemiennej Matki Boskiej. Tutaj podmiotem jest kobieta brzemienna, co okazało się tematem tak oburzającym, że jeden z widzów podczas wystawy w Zachęcie utracił łaską rękę jednej z rzeźb. Naturalnej wielkości postaci były ustawione – zgodnie z życzeniem artysty – wprost na podłodze, a nie na postumencie, co było wtedy wręcz rewolucyjnym podejściem do ekspozycji dzieła sztuki. Wolę twórcy w tej kwestii respektujemy do dziś. Po wydarzeniu w Zachęcie Dunikowski postanowił zrobić odlew z utraconą ręką, aby pokazać emocje towarzyszące temu dziełu, które naruszało obowiązujące społeczne kanony etyczne. Warto dodać, że „Brzemienna II” ma twarz Sary Lipskiej, jego uczennicy, partnerki i matki jego córki.

MT: W magazynach studyjnych odtworzono pracownię artysty.

EZ: Nigdy nie było tu pracowni, ale staraliśmy się przywołać jej klimat, bowiem mamy w posiadaniu skrzynie huculskie, ceramikę, drewniane fotele Dunikowskiego, na których zwykł przesiadywać, a nawet fartuch malarski, wiszący na sztaludze. Mamy też jego narzędzia: dłuta, młotki, podbijaki, pędzle, palety i tubki z farbą. Na ścianach jest wyeksponowany niezwykle cenny zbiór głów wawelskich z drugiej połowy lat 20. XX w., które były przeznaczone do umieszczenia w kasetonach Sali Poselskiej Zamku Królewskiego na Wawelu, ale ostatecznie zrezygnowano z tego pomysłu. Ponad 60 rzeźb tego cyklu zawiera portrety królów polskich i wieszczów (Mickiewicza, Słowackiego) oraz przyjaciół artysty (Władysława Jarockiego, Ludwika Solskiego, Józefa Kuczyńskiego). Jest także portret artysty, gdyż bardzo chciał trafić na Wawel. Na ścianie naprzeciwko widzimy drugi cykl „Panteon kultury polskiej”, który



Xawery Dunikowski, „Macierzyństwo”, gips, przed 1904.



Xawery Dunikowski, „Kobiety brzemiennie”, brąz, 1906.



Sara Lipska, „Portret Xawerego Dunikowskiego”, cement, 1953.



Xawery Dunikowski, „Boże Narodzenie w Oświęcimiu w 1944 roku”, olej na płótnie, 1950.



Xawery Dunikowski, projekt pomnika Józefa Stalina, gips, 1954.

powstał w latach 50., a tworzą go portrety osobistości kultury (Wysockiego, Boznańskiej, Modrzejewskiej), nauki (Śniadeckiego, Skłodowskiej-Curie) i polityki (Waryńskiego, Marchlewskiego, Dzierżyńskiego).

Możemy podziwiać także portret Xawerego Dunikowskiego autorstwa Sary Lipskiej, przekazany Muzeum przez ich córkę, Marię Xawerę.

MT: W osobnej przestrzeni prezentowana jest twórczość artysty z okresu powojennego.

EZ: Z powodu niemieckich represji od czerwca 1940 r. do 1945 r. Dunikowski był więźniem Auschwitz z numerem 774, jako polski artysta i intelektualista. Przetrwiał, choć był więźniem w podszłym wieku. Pracował w obozowej stolarni. Po wyzwoleniu przebywał w szpitalu, a swoją traumę przepracowywał poprzez malarstwo, co widać na wielu bardzo poruszających obrazach. „Boże Narodzenie w Oświęcimiu w 1944 roku” to obraz bardzo kolorowy, utrzymany w jasnej i dość pogodnej kolorystyce. Dopiero po chwili do nas dociera przerażający fakt, że na choince bożonarodzeniowej, zamiast bombek, wiszą ludzkie ciała.

MT: Wielkie, wybitne realizacje Dunikowskiego przypadają na okres socrealizmu.

EZ: Ale też powszechny jest pogląd, że dzięki Dunikowskiemu w Polsce nie powstał **pomnik Stalina**. Kiedy artysta został poproszony o projekt, zaproponował dość nieforemną postać z wyeksponowaną na piersi prawą dłoń, która ma rozczapierzone palce, a jak wiadomo, Stalin miał niedowład tej ręki. Po początkowej konsternacji jury projekt odrzucono. Posiadamy także makietę Pomnika Czynu Powstańczego na Górze Świętej Anny, na pylonach umieszczone są płaskorzeźby ilustrujące historię powstań śląskich.

MT: Bogaty dorobek Dunikowskiego świadczy o jego wielkiej pracowitości.

EZ: Dunikowski był tytanem pracy. Swoje życie poświęcił sztuce. Często mówił, że artysta jest jak kapłan – nie może mieć rodziny, żeby mógł się skupić tylko na swojej twórczości. Po wojnie nigdy nie mówił publicznie o Sarze, a już tym bardziej o jej dorobku. Nie wspominał też o córce.

MT: W magazynach Muzeum Rzeźby znajdujemy nie tylko Dunikowskiego, ale też szeroką kolekcję prac z XX i XXI w. Jest to prawdziwy skarbiec, zawierający mnogość eksponatów – nie wiadomo, na co patrzeć.

EZ: Ekspozycja jest tak przygotowana, aby prześledzić dzieje rzeźby pod względem formy i stosowanych materiałów, zarówno tradycyjnych, takich jak drewno, gips, kamień czy ceramika, jak i nowych, eksperymentatorskich surowców. Nasze magazyny studyjne są niczym żywy organizm, bo rzeźby często podróżują

po Polsce i za granicę, więc każda wizyta może przynieść inne wrażenia. Można spotkać nowe dzieło, które zastępuje „wielkiego nieobecnego”. Dziś proponuję skupić się na paru polskich uczennicach z paryskiej pracowni Bourdelle’a.

W Warszawie od marca 1904 r. kobiety mogły studiować w Szkole Sztuk Pięknych, zaś w Krakowie – formalnie dopiero od końca 1918 r. Wcześniej mogły się uczyć tylko w prywatnych szkołach i pracowniach artystów. Dlatego możliwości kształcenia szukano za granicą. Osobowością rzeźbiarską, która przyciągała wiele polskich artystek, był Antoine Bourdelle, profesor Académie de la Grande Chaumière, który był orędownikiem dążeń Polski do niepodległości i twórcą pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu.

MT: W kolejnym pomieszczeniu wspaniałe prace Aliny Szapocznikow zwiastują chyba przejście do epoki powojennej.

EZ: W naszej kolekcji znajduje się dziewięć rzeźb Szapocznikow pochodzących z wczesnego etapu jej twórczości, przypadającego na przełom lat 50. i 60. XX w. To głównie wielkoformatowe realizacje, takie jak „Pnąca”, „Maria Magdalena”, „Dłoń”. Z kolei „Żagiew” jest bardzo delikatną pracą w gipsie i dlatego nie jest wypożyczana na wystawy – ze względu na kruchość nie może podróżować. Nawiasem mówiąc, artystka często narzekała na lichotę materiałów, z których zmuszona była tworzyć w Polsce. Część prac tworzyła z lastryko, niektóre mają konstrukcję z prętów metalowych, więc po latach rdzewiały od środka i potrzebowały wówczas bezwzględnych procesów konserwacji. Tak było w przypadku rzeźby „Pnąca”, której konserwacja wymagała chirurgicznej precyzji. W tym czasie artystka chętnie tworzyła niewielkie formy z metalu, czego przykładem jest choćby „Plaża” z 1958 r., o którą uzupełniliśmy ostatnio naszą kolekcję.

MT: Prace rzeźbiarskie podlegają procesowi starzenia.

Kiedy wiadomo, że już czas na zabiegi konserwatorskie?

EZ: Stale monitorujemy stan zachowania naszych rzeźb. Często musimy rozstrzygać dylematy dotyczące pierwszeństwa na listach obiektów do konserwacji. Tworzymy programy przynajmniej z rocznym wyprzedzeniem. Dodatkowo zakres planowanych prac renowacyjnych często wymaga dyskusji lub konsultacji. Mamy przykładowo w naszych zbiorach prace Jerzego Jarnuszkiewicza, twórcy powszechnie znanego Pomnika Małego Powstańca na warszawskiej Starówce. Są to formy blaszane, które – zgodnie z założeniem artysty – mają rdzewieć. Zadaniem muzeum jest troska o posiadane dzieła i niedopuszczanie do pogarszania ich stanu. W tym przypadku można jednak odnieść wrażenie, że intencją twórcy było samounicestwienie dzieła. Dlatego przy nabywaniu obiektów prosimy dziś artystów o wypełnienie wielostronicowej ankiety, w której określają dopuszczalne ingerencje konserwatorskie i ewentualne modyfikacje. Na przykład jeżeli elementem dzieła jest żarówka, która w przyszłości może nie być już dostępna, to czy możemy zastąpić



Od lewej: Alina Szapocznikow, „Maria Magdalena”, brąz, 1957–1958 (odlew 1960); Alina Szapocznikow, „Maria Magdalena”, gips z opiłkami żelaza, 1957–1958.



Od lewej: Wanda Czełkowska, „Głowa”, gips, 1966; Alina Szapocznikow, „Bellissima”, gips, cement, opiłki żelaza, 1958; Alina Szapocznikow, „Róża”, brąz, 1958–1959.



Henryk Stażewski, „Stół i stołek”, drewno malowane, ok. 1960.



Od lewej: Jerzy Beres, „Ołtarz przetrwania”, drewno, ok. 1975;
 Roman Cieśliewicz, Bolesław Malmurowicz, Jerzy Chudzik,
 Alina Szapocznikow, makieta projektu na Międzynarodowy
 Konkurs na Pomnik Ofiar Faszyzmu w Oświęcimiu-Brzezince,
 gips, drewno;
 Jerzy Beres, „Zwid III”, drewno, 1960–1961;
 Jerzy Beres, „Cud”, drewno, 1991;
 Jerzy Jarnuszkiewicz, model formy przestrzennej
 na I Biennale w Elblągu, metal, 1965.



Zuzanna Janin, „Pocałunek (ZiM) / Kiss (Z&M)”,
 drut, wata cukrowa, 1998.

ją żarówką współczesną w nowej technologii, czy powinniśmy dziś nabyć zapas żarówek dla kolejnych pokoleń. Podobne dylematy pojawiają się w odniesieniu do **objektów Henryka Stażewskiego**, które charakteryzowały się intensywną kolorystyką. Zatem rozważamy, czy powinniśmy odświeżyć kolory i jakiej farby możemy użyć, skoro dokładnie takiej, jakiej artysta używał, już nie ma.

W przypadku Antoniego Starczewskiego, przedstawiciela łódzkiej awangardystów, mamy do czynienia z obiektem z lat 70. To stół przykryty białym obrusem, na którym leżą ceramiczne jabłka. Obrus z czasem zszarzał, ale wciąż był obiektem muzealnym. I tu pojawił się dylemat i pytania o jego wymianę. Na szczęście w archiwum zachowała się notatka ze wskazówką artysty, że powinien to być zawsze śnieżnobiały, świeżo nakrochmalony obrus, aby podkreślić uroczysty charakter chwili. I dzięki tej notatce wiemy, jak postępować z dziełem po 50 latach.

Skoro jesteśmy w Muzeum im. Xawerego Dunikowskiego, to chciałabym zwrócić uwagę na prace jego wybitnego ucznia, **Jerzego Beresia**. Jakże są odmienne od twórczości mistrza. To niezwykle wartościowe, że Dunikowski wykształcił tak wielu wspaniałych rzeźbiarzy, dając im całkowitą wolność twórczą. Beres już w latach 60. skłaniał się ku ekologii, wyjściu z pracą w plener, dzięki czemu powstają rzeźby z pni, patyków, konarów, które napotykał w naturze. Jesteśmy w posiadaniu kilku jego prac, odnośnie których mamy dokładne wytyczne artysty, jak łączyć poszczególne elementy i na jakich wysokościach je mocować. Istotne ze względu na ekspozycję jest też zastrzeżenie Beresia, aby nigdy nie stawiać jego prac na żadnych postumentach i podniesieniach.

MT: W przestrzeni ze zbiorami z XXI w. obowiązuje już totalny freestyle w wyborze materiałów i tematyce.

EZ: „Pocałunek” (ZiM) Zuzanny Janin to instalacja z drutu obłożonego wata cukrową. Ta praca jest bardzo wymagająca konserwatorsko, bowiem wata cukrowa, oględnie mówiąc, nienajlepiej się przechowuje, a na dodatek może przyciągać mrówki. Zatem w magazynie konstrukcja jest odpowiednio zabezpieczona, a kiedy dzieło ma być przygotowywane do wystawienia, sama artystka przyjeżdża z panem ze stanowiskiem do tworzenia nowej waty, aby pokryć drucziany stelaż świeżą porcją. Kiedy wystawialiśmy tę pracę w Muzeum Narodowym, zorganizowaliśmy performance, podczas którego pracownicy Muzeum przynosili Zuzannie kolejne porcje świeżo ukręconej waty, które ona nakładała na druczianą konstrukcję południków i równoleżników tworzącą parę w pocałunku. Instalacja na początku jest obłokiem, ale z każdą chwilą przeobraża się na oczach widzów, bowiem wata roztapia się, znika, a jej pozostałości brązowieją. Według otrzymanej od artystki instrukcji wszystkie odpadki i resztki waty mamy pozostawić na ekspozycji przy stelażu, gdyż w ten sposób pokazana jest destrukcja słodkiego pocałunku, degradacja nawet najsilniejszej, najbardziej namiętnej międzyludzkiej relacji. Mocny przekaz, ale też spore wyzwanie dla konserwatorów. I pole do dyskusji dla teoretyków muzealnictwa i historyków sztuki, czy jest to rzeźba, czy już instalacja przestrzenna.

Kolejny ciekawy obiekt to **„Królowa Midas szuka Bugsa”** duetu Kijewski/Kocur. Rzeźba składa się z dwóch elementów. Królowa Midas, zbudowana z klocków i mająca postać Kaczora Daffy’ego, wyciąga rękę w kierunku rzeźby Bugsa, która wcale nie przypomina królika. Bugs jest odlany z pianki poliuretanowej i betonu, kształtem przypomina marchewkę pokrytą płatkami 24-karatowego złota. W ten sposób artyści opowiadali o wczesnym kapitalizmie w polskiej kulturze wizualnej po transformacji ustrojowej. Tworzyli prace łączące elementy pop-artu z klasycznymi formami rzeźbiarskimi. Oprócz klocków Lego używali także żelek Haribo.

Uwagę zwraca również następne dzieło Małgorzaty Malinowskiej, „Kocur” – **„Ten, kto włada Włócznią Przeznaczenia, dzierży w rękach losy świata”**. Praca ta była prezentowana jako dekoracja Grobu Pańskiego w Kościele Sióstr Wizytek w Warszawie. Artystka bada granice między kiczem dewocjonalnym i bezrefleksyjnym udziałem w obrzędzie religijnym a głębokim przeżyciem duchowym, jakie rodzi krzyż. Rzeźbę tworzą świecące plastikowe krzyżyki, uformowane w kształcie Włóczni Świętego Maurycego, która jest relikwią chrześcijańską. Jak wspominała sama artystka, dużym wzruszeniem był dla niej moment, kiedy zobaczyła prawdziwie rozmodlony tłum pod jej „świecącymi krzyżykami”. W tym przypadku ładunek duchowy użytego symbolu krzyża i włóczni przeważał nad powierzchownością elementów popkultury.

W rozmowie przedstawione zostały wybrane obiekty z obfitych zbiorów Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni. Zachęcamy do odbycia własnej wędrowki po magazynach studyjnych. Terminy oprowadzania są ogłaszane na stronie Krolikarnia.mnw.art.pl.



Od lewej: Marek Kijewski i Małgorzata Malinowska „Kocur”, „Królowa Midas szuka Bugsa”, klocki Lego, stal, pianka poliuretanowa, beton, 1995; Hubert Czerepok, „Inherent Light”, neon, stal, 2014.



Małgorzata Malinowska „Kocur”, „Ten, kto włada Włócznią Przeznaczenia, dzierży w rękach losy świata”, plastik, metal, płyta stolarska, 2016.



Ośrodek Chopinowski w Szafarni



Do maleńkiej wioski w Kujawsko-Pomorskiem zjeżdżają młodzi pianiści z całego świata

- W Szafarni Chopin słuchał pieśni ludowych, muzyki wiejskich grajków instrumentalnych, zapoznał się z miejscowymi obrzędami. Echa tych wakacji słyszemy w jego mazurkach.
- Fryderyk postępnie jadł specjalnie dla niego pieczone bułeczki, pił wywary ziołowe i kawę żołądźkową, łykał przywiezione ze sobą lekarstwa.
- W latach 1957–1977 ośrodek nosił oficjalną nazwę Salonu im. F. Chopina. Podstawowym problemem utrudniającym organizowanie koncertów był jednak brak fortepianu.
- Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina dla Dzieci i Młodzieży w Szafarni cieszy się uznaniem i jest ceniony przez pedagogów i młodych adeptów sztuki pianistycznej na całym świecie.

Z dr [Agnieszka Brzezińska](#) rozmawia Marzena Tataj.

Dr Agnieszka Brzezińska

– pedagog, animatorka kultury i nauczycielka akademicka. Od 2009 r. dyrektor Ośrodka Chopinowskiego w Szafarni – instytucji samorządu województwa kujawsko-pomorskiego. Stale umacnia jego pozycję jako ważnego miejsca na mapie polskiej kultury. Jest inicjatorką licznych wydarzeń artystycznych i edukacyjnych, organizatorką konferencji naukowych oraz współzałożycielką Fundacji Chopin w Ogrodzie Sztuk. Za działalność artystyczną i społeczną została uhonorowana m.in. Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.



© ARCHIWUM AGNIESZKI BRZEZIŃSKIEJ

Marzena Tataj: Jakie związki łączą Fryderyka Chopina z Szafarnią?

Agnieszka Brzezińska: Szafarnia to miejscowość w województwie kujawsko-pomorskim niedaleko Golubia-Dobrzynia, która zaistniała na kulturalnej mapie Europy dzięki obecności w tym miejscu młodego Fryderyka Chopina, a było to w 1824 i 1825 r. Po ukończeniu IV klasy Liceum Warszawskiego 14-letni Fryderyk został zaproszony przez rodziców swego szkolnego kolegi, Dominika Dziewanowskiego, do ich rodzinnego majątku – Szafarni. Państwo Chopinowie chętnie wyrazili zgodę na wyjazd chłopca, tym bardziej że uzyskali zapewnienie rodziny Dziewanowskich, że będą dbać o wątłe zdrowie ich syna. Fryderyk posłusznie jadł specjalnie dla niego pieczone bułeczki, pił wywary ziołowe i kawę żołądźkową, łykał przywiezione ze sobą lekarstwa. A choć nie mógł skorzystać ze wszystkich atrakcji wiejskiego życia, w pierwszym liście zawiadamiał: „Jestem zdrow z łaski Pana Boga i najprzyjemniej zawsze czas mi schodzi. Nie czytam, nie piszę, ale gram, rysuję, biegam, używam świeżego powietrza”.

Odwiedzając okolice, Chopin zetknął się z polskim folklorem, który później miał wpływ na jego kompozycje. Słuchał pieśni ludowych, muzyki wiejskich grajków instrumentalnych, zapoznał się z miejscowymi obrzędami. Echa tych wakacji w Szafarni słyszymy w jego mazurkach, w których wykorzystywał elementy melodii, rytmu i harmonii usłyszanych tańców, takich jak kujawiak, mazur i oberek.

MT: Od 2009 r. jest pani dyrektorem Ośrodka Chopinowskiego w Szafarni. Jakie były losy tego majątku na przestrzeni lat?

AB: Historia tego miejsca rozpoczęła się, jak wspominałam wcześniej, od wizyty młodego Chopina. O Szafarni na dobre przypomniano sobie w setną rocznicę urodzin kompozytora, w 1949 r. Zaplanowano wówczas Festiwal Chopinowski połączony z wystawą zaprojektowaną przez Mieczysława Tomaszewskiego. Podczas uroczystości z koncertem wystąpili m.in. Stanisław Szpinalski, Irena Jęsiakówna oraz Pomorska Orkiestra Symfoniczna pod batutą Arnolda Rezlera. To w takich okolicznościach powołano do życia Izbę Pamięci Fryderyka Chopina, nad którą patronat objęli robotnicy z cukrowni w Ostrowitem.

Kolejne lata przynosiły następne znaki pamięci o kompozytorze w naszym regionie. Odsłonięto tablicę pamiątkową, nadano szkole w Szafarni imię Fryderyka Chopina oraz przekształcono Izbę Pamięci w Ośrodek Kultury Fryderyka Chopina. W latach 1957–1977 ośrodek nosił oficjalną nazwę Salonu im. F. Chopina. Podstawowym problemem utrudniającym organizowanie koncertów był jednak brak fortepianu. Instrument został zakupiony dopiero w 1977 r., wówczas Salon został również wyposażony w liczne nagrania muzyki Chopina oraz adapter stereofoniczny. W latach 1970–1976 z powodu braku zainteresowania władz lokalnych ośrodek popadał w coraz większą ruinę i był zamknięty dla turystów. W 1979 r. w Dworku Dziewanowskich wybuchł pożar, który sprawił, że działalność ośrodka została zawieszona. Wiele eksponatów przekazanych przez Towarzystwo im. F. Chopina w Warszawie uległo tym samym zniszczeniu. Na szczęście w kolejnych latach przeprowadzono kompleksowy remont budynku.

Po jego zakończeniu, dokładnie 10 września 1988 r., po ośmiu latach prac, w obecności władz wojewódzkich i lokalnych nastąpiło oficjalne otwarcie Ośrodka Kultury im. Fryderyka Chopi-



© ARCHIWUM OŚRODKA CHOPINOWSKIEGO W SZAFARNI (2)

Występy młodych uczestników Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina dla Dzieci i Młodzieży w Szafarni.

na w Szafarni. Wydarzeniu towarzyszył recital Ewy Pobłockiej połączony z czytaniem „Kuriera Szafarskiego” przez aktora Igora Śmiałowski. Pierwszym dyrektorem odremontowanego ośrodka, łączącego przestrzeń ze szkołą podstawową, została Hanna Kończalska. Po pewnych perturbacjach związanych z zakończeniem aktywności edukacyjnej udało się doprowadzić do powołania 1 września 2004 r. Ośrodka Chopinowskiego w Szafarni, instytucji kultury prowadzonej przez samorząd województwa kujawsko-pomorskiego we współpracy z gminą Radomin.

Od stycznia 2009 r. mam przyjemność prowadzenia Ośrodka Chopinowskiego w Szafarni. Za główne cele postawiłam sobie promocję instytucji wśród turystów polskich i zagranicznych, poszerzenie oferty skierowanej do dzieci i młodzieży, umiędzynarodowienie Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina dla Dzieci i Młodzieży w Szafarni oraz wzbogacenie sal muzealnych w interaktywną galerię. Chodziło o stworzenie ciekawej oferty koncertowej ukierunkowanej na różne gatunki muzyczne oraz dotarcie z ofertą edukacyjną i promocją twórczości Fryderyka Chopina do wszystkich szkół w województwie kujawsko-pomorskim, a także w całej Polsce. Myślę, że wiele udało się zrealizować. Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny w Szafarni cieszy się dziś niekwestionowaną renomą na świecie. W 2025 r. działalność instytucji zaowocowała realizacją ponad 126 audycji szkolnych poświę-

conych Fryderykowi Chopinowi oraz 64 koncertami otwartymi w Szafarni. Wynik ten należy uznać za wyjątkowy w skali działalności tak kameralnego ośrodka.

W tym okresie udało się wprowadzić nowe przedsięwzięcia, takie jak: cykl wakacyjnych koncertów pod nazwą Wakacje z Chopinem, Szafarska Scena Młodych (koncerty młodych artystów, dyplomantów szkół muzycznych), Międzynarodowe Warsztaty Pianistyczne, warsztaty skrzypcowe, wiolonczelowe i kontrabasowe. Realizowane są nowe konkursy: Wojewódzki Konkurs Literacki, Wojewódzki Konkurs Wiedzy o Fryderyku Chopinie dla Szkół Podstawowych w zmienionej formie oraz poszerzony Wojewódzki Konkurs Recytatorski Poezji i Prozy poświęconej Fryderykowi Chopinowi i muzyce. Wprowadzono cykl zajęć dla przedszkolaków „Rytmika u Fryderyka”. Dla społeczności lokalnej corocznie organizowany jest Szafarski Wieczór Kolęd.

MT: W tym roku odbędzie się już 33. edycja Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina dla Dzieci i Młodzieży w Szafarni. Jego celem jest wykrycie talentów pianistycznych na możliwie wczesnym etapie oraz promowanie muzyki Chopina wśród najmłodszych. Kto ze znanych dziś pianistów zaczynał swoją muzyczną drogę w Szafarni?



AB: Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina dla Dzieci i Młodzieży w Szafarni cieszy się uznaniem i jest ceniony przez pedagogów i młodych adeptów sztuki pianistycznej na całym świecie. Do tegorocznej edycji zgłosiło się 106 pianistów z 24 krajów. Zgodnie z regulaminem możemy przyjąć 55 uczestników, i tak się stało tym razem. Śmiało możemy mówić o sukcesie, ponieważ do Szafarni przyjadą młodzi pianiści z całego świata, m.in. z Australii, Nowej Zelandii, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Chin, Hongkongu, Japonii, Tajlandii, Włoch, Francji, Niemiec, Islandii, Belgii, Czech, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Białorusi, Ukrainy i Polski.

Oczywiście uważnie obserwujemy muzyczne poczynania naszych laureatów. Jesteśmy dumni, gdy zdobywają kolejne nagrody i koncertują w wielkich salach na całym świecie, co potwierdza wysoki poziom naszego konkursu. Nasi laureaci zakwalifikowali się do XIX Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie, a niektórzy zostali finalistami. W Szafarni swoją muzyczną drogę rozpoczęło wielu znakomitych pianistów, m.in. Paweł Wakarecy, Jacek Kortus, Natalia Sawościanik, Kamil Pacholec, Jewa Gieworgian, Piotr Pawlak, Łukasz Krupiński, Adam Goździewski, Piotr Nowak, Zuzanna Pietrzak, Julia Łozowska, Aleksandra Hortensja Dąbek, Adam Kałduński, Mateusz Tomica, Yehuda Prokopowicz.

MT: Nie samym Chopinem człowiek żyje. Dla pani szczególnie ważna jest także muzyka chóralna, mam tu na myśli założenie chóru dziewczęcego Portamus Gaudium czy Chóru Uniwersytetu Trzeciego Wieku UMK w Toruniu. Proszę rozwinąć ten temat.

AB: Tak, dobrze mieć jakąś odskocznnię, dlatego z przyjemnością zamieniam się w dyrygenta. Od 20 lat prowadzę najstarszy chór miasta Torunia – Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia”, którego historia rozpoczęła się w 1898 r. Miałam przyjemność założyć i poprowadzić dziewczęcy zespół wokalny Portamus Gaudium, działający na początku przy Katedrze Świętych Janów w Toruniu, a następnie na Wydziale Teologicznym UMK w Toruniu. Z tym zespołem miałam okazję odbyć turnée po Hiszpanii, gdzie dziewczęta ze swoim polskim repertuarem zostały bardzo gorąco przyjęte.

Praca z chórami i koncerty to wielka przyjemność, ale i odpowiedzialność za ludzi, repertuar oraz dobrą atmosferę, aby chórzyści chętnie uczestniczyli w próbach i chcieli nieustannie się doskonalić. Choć nie samym Chopinem człowiek żyje, to jednak nie da się uciec od pracy, która jest także pasją, i w repertuarze każdego mojego zespołu znajdują się pieśni tego kompozytora.

Poproszono mnie, by stworzyć chór uniwersytetu trzeciego wieku, który także prowadziłam przez kilka lat, obecnie jego stery przejęli młodzi dyrygenci. Może warto dodać, że od 1992 r. współtworzę wraz z moimi przyjaciółmi zespół wokально-instrumentalny Claritas, który w Toruniu uświetnia wiele uroczystości.

MT: Jest pani menedżerem kultury o wielkim doświadczeniu, co potwierdzają zdobyte liczne nagrody i odznaczenia, jak choćby Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” czy Medal 100-lecia Odzyskania Niepodległości.

W tym roku – w uznaniu dla bogatej działalności w szeroko pojętym obszarze kultury – otrzymała pani tytuł Promotora Polski, przyznawany przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”. Czy jest pani osobą spełnioną i czy ma jeszcze jakieś cele?

AB: Nie pracuję, by zdobywać laury i wyróżnienia, choć oczywiście jeśli ktoś zauważy moje zaangażowanie, jest mi bardzo miło. Pan marszałek województwa kujawsko-pomorskiego Piotr Całbecki obdarzył mnie zaufaniem, powołując na stanowisko dyrektora tak ważnej chopinowskiej instytucji, i chciałabym sprostać pokładanym we mnie nadziejom. Muszę przyznać, że spełniam się w roli, jaką mi powierzono, i codziennie z radością przemierzam drogę z Torunia do Szafarni – 45 kilometrów – aby tam realizować się w obszarze kultury.

A jeśli mam się odnieść do celów... Moim marzeniem jest jeszcze bardziej rozwinąć działalność, a do tego konieczna jest duża inwestycja, mianowicie wybudowanie nowoczesnego audytorium – sali koncertowej z zapleczem dla Ośrodka Chopinowskiego w Szafarni, aby przyjmować gości ze świata w jeszcze lepszych warunkach. Ufam, że jestem na dobrej drodze do realizacji marzeń.



© KAKA MEDIA (5)

Od lewej: Michał Lipiński, prof. Hanna Górska-Warsewicz, Katarzyna Łysoń-Wiktor, Piotr Borowski, dr inż. Andrzej Gantner.

Jak tworzyć polską markę spożywczą i osiągnąć sukces globalny

Michał Lipiński zaprasza na relację z Debaty „Teraz Polska”.

Polska żywność od lat bije rekordy eksportu, a rodzime firmy coraz śmielej konkurują na półkach europejskich i globalnych sieci. Jednocześnie przed całym sektorem stoi kluczowe pytanie: jak z taniego, solidnego dostawcy stać się rozpoznawalną marką, która dyktuje warunki gry, a nie tylko je akceptuje?

14 kwietnia br. w trakcie targów WorldFood Poland odbyła się debata „Siła polskich marek spożywczych w kraju i na świecie”. Panel został zorganizowany przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska” w ramach patronatu nad 12. edycją targów.

Debatę poprowadził wiceprezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego, dyrektor Konkursu „Teraz Polska”, Michał Lipiński, a udział w niej wzięli: dr hab. Hanna Górska-Warsewicz (prof. SGGW), Katarzyna Łysoń-Wiktor (prezes zarządu, Gospodarstwo Pasieczne Łysoń), Piotr Borowski (prezes zarządu, Spółdzielnia Mleczarska Udziałowców w Strzałkowie), dr inż. Andrzej Gantner

(wiceprezes zarządu, dyrektor generalny, Polska Federacja Producentów Żywności – Związek Pracodawców).

Jakość to dopiero punkt wyjścia



Debata „Teraz Polska” poświęcona polskim markom spożywczym pokazuje jasno, że sama jakość nie jest już przewagą konkurencyjną, lecz obowiązkowym biletem wstępu na rynek. – *Trudno budować silną markę, kiedy nie ma produktu, który ma dobrą i bardzo dobrą jakość, natomiast*

to jest dopiero początek całego procesu – mówi prof. Hanna Górka-Warsewicz.

Współczesny konsument oczekuje nie tylko bezdyskusyjnie dobrego produktu, lecz również spójnego zestawu wartości: autentyczności, transparentnego składu, dotrzymanej obietnicy oraz poczucia, że za marką stoi coś więcej niż tylko linia produkcyjna. Stąd coraz większe znaczenie pojęć takich jak reputacja, kapitał marki czy zaufanie – to one decydują o lojalności odbiorcy.

Marka jako zbiór potrzeb, nie logo



Zdaniem panelistów obecnie doświadczamy zmiany paradygmatu. – *Marka nie jest dziś jedynie nazwą na opakowaniu, ale zbiorem potrzeb, które my jako konsumenci chcemy otrzymać poprzez zakup produktu tej marki* – mówi dr Andrzej Gantner. To radykalne przesunięcie akcentów – z produktu jako fizycznego dobra na emocje, aspiracje i styl życia, z którym konsument chce się utożsamiać.

Dlatego tak istotne jest, by polska marka parasolowa – zarówno na poziomie kraju pochodzenia, jak i całych kategorii (nabiał, przetwórstwo mięsne, produkty pszczele) – była jasno zdefiniowana poprzez wartości i potrzeby, które zaspokaja. Włoskie wędliny, francuskie sery czy japońska whisky nie powstały jako concept marketingowy z PowerPointa, lecz jako długofalowa obietnica jakości, stylu życia i określonych doznań, konsekwentnie realizowana przez dekady. Polski sektor rolno-spożywczy dopiero stoi przed zadaniem podobnego zdefiniowania siebie.

Architektura marek i siła opowieści

W tym kontekście warto przywołać pojęcie architektury marek, znane z praktyki największych koncernów spożywczych. – *Na szczycie znajduje się ogólna marka parasolowa z czytelną wizją i misją, pod którą może się spójnie wpisać 500, 600 albo i 1000 marek produktowych, niezależnie od kraju* – przekonuje prof. Górka-Warsewicz.

Dopiero na najniższym poziomie tej architektury funkcjonują marki produktowe, z bardzo precyzyjnie adresowanym „problemem konsumenta” – od zdrowia, przez wygodę, po aspiracje i doświadczenie smakowe. Wspólnym mianownikiem skutecznych marek jest umiejętność opowiadania historii: o założycielu, o miejscu, o procesie wytwarzania. Brand storytelling przestaje być dodatkiem, a staje się narzędziem budowania długotrwałej relacji, którego naturalnym środowiskiem są dziś media społecznościowe.

Autentyczność jako przewaga konkurencyjna

Przykład Gospodarstwa Pasiiecznego Łysoń, laureata Godła „Teraz Polska”, pokazuje, jak ogromną siłą może być autentyczna,



rodzinna historia. – *My nie musimy budować tej historii, bo my ją mamy* – mówi prezes Katarzyna Łysoń-Wiktor. – *Fundamentami marki są odpowiedzialność, edukacja i realna wiara w wartość produktów pszczelich* – dodaje.

Kluczowe okazało się uświadomienie sobie, że sama obecność historii nie wystarczy, trzeba umieć ją profesjonalnie opowiedzieć. Stąd współpraca z agencjami marketingowymi, które pomagają przełożyć autentyczny rodowód i kompetencje na spójny przekaz, zrozumiały zarówno dla polskiego konsumenta, jak i dla odbiorcy zagranicznego, szukającego żywności funkcjonalnej oraz wiarygodnego producenta.

Premiumizacja codzienności



Spółdzielnia Mleczarska Udziałowców w Strzałkowie, kolejny znakomity laureat Godła „Teraz Polska”, udowadnia, jak nawet najbardziej codzienne produkty – masło, twaróg, jogurt – mogą zostać wyniesione do rangi oferty premium. Prezes Piotr Borowski opowiada o procesie odejścia od masowej, anonimowej produkcji na rzecz

konsekwentnego kształtowania bezpośrednich relacji z konsumentami. – *Istotnym elementem strategii jest traktowanie klienta jako partnera i stałe rozwijanie historii produktu, poprzez innowacje, dialog online i edukację żywieniową. Ważnym narzędziem budowania wiarygodności stał się też znak „Teraz Polska”, który stanowi zewnętrzne, instytucjonalne potwierdzenie jakości i ułatwia rozmowy handlowe na coraz bardziej wymagających rynkach* – tłumaczy Borowski.

Od eksportera produktów do eksportera marek

Debatą pokazuje wyraźnie, że Polska z powodzeniem eksportuje dziś żywność, ale wciąż za mało eksportuje silnych marek. Ekspertci są zgodni: aby dbać o polską markę spożywczą i osiągnąć sukces globalny, konieczne jest przejście z logiki wolumenu i ceny do logiki wartości, reputacji i konsekwentnie realizowanej obietnicy.

Oznacza to połączenie kilku porządków: długoterminowej strategii marki parasolowej – tę rolę może pełnić Godło „Teraz Polska” – symbolizującej kraj wysokiej jakości i bezpiecznej żywności, profesjonalnej architektury marek sektorowych, mocnych historii pojedynczych firm oraz głębokiego zrozumienia, jakie naprawdę potrzeby – funkcjonalne i emocjonalne – ma zaspokajać polski produkt na półce w Berlinie, Paryżu czy Tokio. Tylko wtedy polska żywność ma szansę stać się nie tańszą alternatywą, lecz pierwszym, świadomym wyborem globalnego konsumenta.